

PLEMIONA I DEMOKRACJA

Jesienne wybory wygra
poczucie wyższości

JACEK DUKAJ

Nowy wspaniały świat
bez sensu i słów

BĘDZIE REFORMACJA?

Kościelne frakcje
w czasach wielkich napięć

WOJCIECH JAGIELSKI

Odwieczne spory
o królewskie głowy

Kraków 16 czerwca 2019 nr 24 (3649)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Wychowanie seksualne CO KAŻDY RODZIC WIEDZIEĆ POWINIEN

W NUMERZE
DODATEK
NAUKA
CIEKAWOŚCI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480901

WSZYSTKIE MODELE JEEPA
W NAJMOCNIEJSZEJ OFERCIE

NOC
Cudów



PRZYJDŹ DO SALONÓW JEEPA **14 CZERWCA DO 24.00**
LUB SPRAWDŹ NA **NOCUDOW.PL**

Promocja obowiązuje w dniu 14.06.2019 r. do godziny 24.00 i obejmuje samochody marki Jeep, z roczników 2018 i 2019, będące na stanie danego salonu, w wybranych wersjach. Lista aut objętych promocją u autoryzowanych dealerów Jeepa i na stronie nocudow.pl. Dane spółki: FCA Poland S.A. z siedzibą w Bielsku-Białej, ul. Grażyńskiego 141. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Prezentacja produktu ma charakter wyłącznie poglądowy. Rzeczywisty wygląd i cechy samochodu oraz wyposażenia mogą się różnić od prezentowanych na zdjęciu. Jeep Compass – emisja CO₂ w cyklu mieszanym od 127 do 190 g/km, a zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,8 do 8,3 l/100 km. Jeep Renegade – emisja CO₂ w cyklu mieszanym od 120 do 160 g/km, a zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,6 do 6,9 l/100 km. Szczegółowe informacje o odzysku i recyklingu pojazdów, postępie dokonany w tej dziedzinie, konstrukcji pojazdów zgodnej z przepisami o recyklingu i lista punktów zbierania pojazdów wycofanych z eksploatacji znajdują się na stronie <http://jeep.mopar.eu/jeep/pl/pl/recycling>.  **FCA BANK**

Jeep[®]

THERE'S ONLY ONE

KS. ADAM

Boniecki: Kościół jak las

CORAZ CZĘŚCIEJ PYTAJĄ MNIE, CO BĘDZIE Z KOŚCIO-
łem. Nie tylko w związku z filmem „Tylko nie
mów nikomu”, ale w związku z frekwencją na nie-
dzielnych Mszach św., z polaryzacją opinii w Ko-
ściele i ewidentnym, jak się wydaje, podziałem w sa-
mym Episkopacie, z atakami na księży i coraz bar-
dziej rozpowszechnianym obrazem Kościoła, jak-
by tylko i zawsze zajmował się szerzeniem zła oraz
ukrywaniem go przez stulecia aż do ujawnienia dzi-
siasz. Nie jestem jasnowidzem, nie wiem, jaka będzie przyszłość,
ale jestem spokojny, bo „wierzę w Ducha Świętego” oraz „je-
den święty, powszechny i apostołski Kościół”, co podczas nie-
dzielnej Mszy św. wszyscy wyznajemy. Nie oznacza to wiary we
wszystkie ziemskie kościelne instytucje ani w duchowny per-
sonel Kościoła, chociaż wyznam, że w życiu spotkałem bardzo
dużo wspaniałych księży, którym wiele zawdzięczam.

Ze smutkiem słucham tych, którzy twierdzą, że do tego, aby
żyć wiarą, nie potrzebują Kościoła. Kościół dla mnie jest speł-
nieniem obietnicy Jezusa: „jestem z wami po wszystkie dni aż
do skończenia świata”. Właśnie Kościół: sakramenty, Słowo
Boże i wspólnota zgromadzona w imię Jezusa jest miejscem,
gdzie zawsze i na pewno mogę się z Nim spotkać. Oczywiście,
Bóg „tchnie kędy chce”, więc spotkać Go można wszędzie, lecz
w Kościele mam pewność, że to On, a nie siła autosugestii, pro-
jekcji własnych oczekiwań czy po prostu własnej lub cudzej,
mało obiektywnej wyobraźni.

Być może nastawienie „Kościół nie jest mi potrzebny” za-
czyna się już od traktowania Kościoła z pozycji klienta, jako in-
stytucji świadczącej usługi dla ludności. Klient korzysta z usług,
jest lub nie jest zadowolony z obsługi. Ocenia, płaci, ale jest tu
tylko klientem z zewnątrz, nie kimś odpowiedzialnym, więc
kiedy poziom usług uzna za niezadowalający, szuka lepszego
dostawcy. Relacja klient–instytucja świadcząca usługi może,
zwłaszcza w wielkich miastach, być pokusą. Żaden proboszcz
nie ludzi się, że wszyscy parafianie wstąpią do neokatechume-
natu czy czegoś w tym rodzaju, świeckim zaś jest wygodnie zło-



żyć całą troskę o Kościół na barki księży. Korzystają
z usług Kościoła, wspierając go materialnie, i nie-
koniecznie są zainteresowani własnym dążeniem
do świętości.

Ale czy na pewno Kościół ma składać się tylko
z ludzi głęboko religijnie zaangażowanych? Iluż
uczyszczających w niedzielę do kościoła na co
dzień żyje niezupełnie w zgodzie z Ewangelią?
Czy powinni być skreśleni? Marzenie o „Kościół
doskonałych” nigdy nie zostało w Kościele zaakceptowane.
Czy byłby to prawdziwy Kościół, skoro Jezus siadał do stołu
z grzesznikami?

Ujawnione dziś zło rzuciło ponury cień na Kościół, podwa-
żyło jego wiarygodność. Ojciec Jacek Salij pociesza nas chiń-
skim przysłowiem, że jedno upadające drzewo robi więcej huku
w lesie niż to, że cały las rośnie. W Kościele jest mnóstwo dobra
– pisze o. Jacek – jednak zło jest o wiele bardziej zauważane,
bo gdzie jak gdzie, ale w Kościele wielkie zło naprawdę nie po-
winno się zdarzać. Papież Franciszek przemawiając 7 maja do
duchownych w Skopje powiedział za św. Teresą Benedyktą od
Krzyża, że „decydujące wydarzenia w dziejach świata były za-
sadniczo spowodowane przez dusze, o których książki histo-
ryczne nic nie mówią”. I dodał: „Reforma wspólnoty kościelnej
zaczyna się od świętych, a następnie ogarnia cały świat”.

Rzeczywiście, w przeszłości inspiratorami wielkich reform
Kościoła byli święci. Wierzę, że tak będzie i w obecnej godzi-
nie kryzysu zaufania do Kościoła. Odnowa będzie polegała na
tym, że cicho jak las wyrosnie nowe pokolenie świętych księży,
świętych zakonników i zakonnic, świętych biskupów i świę-
tych ludzi świeckich. Bo – jak kiedyś zauważył kard. Ratzin-
ger – historia Kościoła to nie historia urzędów i instytucji, ale
historia świętych.

Jestem przekonany – i niech mi to nie będzie poczytane za
klerykalizm – że o reformie Kościoła przede wszystkim zade-
cyduje obecność świętych księży. Po to zostali wymyśleni, żeby
byli święci.

©P



Wydawnictwo ZNAK ma 60 lat!

Drogiemu Jubilatowi życzymy co najmniej DWUSTU lat publikowania wielkiej literatury i towarzyszenia Czytelnikom w ich poszukiwaniach intelektualnych i duchowych. Wydawnictwu i jego Autorom życzymy finansowego zdrowia i pomyślności, życzymy także twórczej wierności naszemu wspólnemu korzeniom. Życzymy, by ZNAK prowadził nas do Polski, w której czytelnictwo będzie najwyższe w Europie, a książki staną się najbardziej powszechnymi przedmiotami codziennego użytku.

Wszystkiego dobrego!
„TYGODNIK POWSZECHNY”



20 Nasza plemienna demokracja

RAFAŁ MATYJA

W jesiennych wyborach chodzi nie tylko o władzę, ale również o satysfakcję. O poczucie wyższości i niższości – odczuwane przede wszystkim przez wyborców.

56 Siłaczka niezmyślona

REMIGIUSZ OKRASKA

Faustyna Morzycka, działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej, była pierwowzorem słynnej postaci literackiej Żeromskiego. Niewiele miała wspólnego z wizją zmuszania kogoś do kiepsko płatnej pracy.



40 Widzę w nich po prostu ludzi

ROZMOWA Z KS. GEORGE'EM WILLIAMSEM, AMERYKAŃSKIM JEZUITĄ, KAPELANEM W WIEZIENIU SAN QUENTIN:

Jestem przeciwnikiem kary śmierci, ale skazywanie kogoś na dożywocie bez nadziei na zwolnienie warunkowe jest gorsze.

30 Czy Kościołowi grozi nowa reformacja

Z PAWŁEM MILCARKIEM, REDAKTOREM NACZELNYM „CHRISTIANITAS”,

ROZMAWIA PIOTR SIKORA:

Jeśli zmiany teraz pójdą w złym kierunku, to nastąpi daleko idąca fragmentacja Kościoła. Podzielimy się na grupy, które nie będą w stanie ze sobą rozmawiać.



70 Ministerstwo sensu

ROZMOWA Z JACKIEM DUKAJEM, PISARZEM:

Możesz być przekonany, że decyzję o jakimś zakupie podjąłeś z własnej woli. Ale dla tych, co posiadli odpowiednią wiedzę, jesteś przewidywalny jak narkoman na głodzie.



86 Biebrznięty

KRZYSZTOF STORY

Krzysztof Kawenczyński spakował walizki i uciekł nad Biebrzę. Uciekł w miejsce przy Carskiej Drodze, w którym zakochał się 20 lat wcześniej. Z czasem poznał dolinę jak nikt inny. Został jej Królem.

6 Inny kraj
MARCIN ŻYŁA

7-11 Wiadomości / Komentarze

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

20 Nasza plemienna demokracja
RAFAŁ MATYJA

24 Lipski murem podzielony
RAFAŁ WOŚ: *Czy w Polsce jest
zapotrzebowanie na lewicę spod
znaku demokratycznego socjalizmu?*

26 Nieuleczalne źródło dowcipów
MARIUSZ SEPIOŁO: *Choroba żartuje
z niego, więc on żartuje z choroby*

■ ■ **WIARA**

**30 Czy Kościołowi grozi nowa
reformacja** ROZMOWA
Z PAWEŁM MILCARKIEM

**35 Tischner w esbeckich
teczkach** WOJCIECH BONOWICZ

37 Ewangelia na morzu
BARTOSZ HLEBOWICZ: *o księdzu,
który ratuje uchodźców
z Morza Śródziemnego*

■ ■ **ŚWIAT**

**40 Widzę w nich po prostu
ludzi** ROZMOWA Z KS. GEORGE'EM
WILLIAMSEM, JEZUITĄ

44 Piekło w kształcie igreka
DALIA MIKULSKA: *Ahmad na
cztery lata trafił do więzienia, był
torturowany. Oto jego historia*

TEMAT „TYGODNIKA”



JOANNA RUSINEK

12 Porozmawiajcie z nimi
MACIEJ MÜLLER

Edukacja seksualna nie jest kategorią wyodrębnioną od reszty rzeczywistości, o której mówi się specjalnym tonem w specjalnym czasie. Ona wpisuje się w codzienną relację z dzieckiem.

16 Co czytać z dzieckiem
KATARZYNA KUBISIOWSKA

KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW

Ze względu na święto Bożego Ciała i następujący po nim tzw. długi weekend następne wydanie „Tygodnika Powszechnego” w wersji papierowej ukaże się już **we wtorek 18 czerwca**. Wersje cyfrowe będzie można czytać tego samego dnia wieczorem.

■ **DODATEK SPECJALNY** ■

65 Nauka ciekawości

■ **FELIETONY** ■

29 ANNA DZIEWIT-MELLER 39 SZYMON HOŁOWNIA
63 ANDRZEJ STASIUK 82 JAN KLATA
83 PAWEŁ BRAVO 90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JOANNA RUSINEK
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

47 Wysypiska Zachodu AGATA
KASPROLEWICZ: *Gdzie i jak kończą
śmieci, które „sprzedaje” Zachód*

**49 Przeludnienie gorsze niż
terroryzm** SARA NOWACKA:
W Egipcie rośnie liczba ludności

■ ■ **Z ODDECHEM**

52 Oddajcie głowy królów
WOJCIECH JAGIELSKI: *Odrąbana
głowa kaukaskiego wojownika
zostanie zwrócona jego rodakom*

■ ■ **HISTORIA**

56 Siłaczka niezmyślona
REMIGIUSZ OKRASKA

■ ■ **NAUKA**

**60 W poszukiwaniu naturalnego
snu** JAKUB MEJER

■ ■ **KULTURA**

70 Ministerstwo sensu
ROZMOWA Z JACKIEM DUKAJEM

75 Multikino DARIUSZ KOSIŃSKI
*o spektaklu Michała Borczucha
„Kino moralnego niepokoju”*

78 Stan przedzawałowy
PIOTR KOSIEWSKI: *Lista zarzutów
wobec dyrektora warszawskiego
Muzeum Narodowego się wydłuża*

80 Filozofia niemego dialogu
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Krew Boga”

82 Bóg, który nas przespał
LEKTOR *o tomie „Spotkanie innego
rodzaju. Wiersze” Enzensbergera*

84 Tygodnik Czytelników

■ ■ **ZMYŚŁY**

86 Biebrznięty KRZYSZTOF STORY

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Woś się jeży**

Dlaczego mówienie o alternatywnym modelu polskiej transformacji budzi tyle wściekłości? Cóż strasznego się wydarzy, jeśli dopuścimy myśl, że można było inaczej? – pyta **RAFAŁ WOŚ**
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ **Hańba! [Podkast Powszechny]**

W jubileusz Czerwca 1989 o tym, czy językiem międzywojnia da się opisywać dzisiejszą Polskę, dlaczego powracają ówczesne upiory i o czym nigdy nie dość krzyczenia – rozmawiamy z **ANDRZEJEM ZAGAJEWSKIM**, liderem punkowego zespołu Hańba!
powszech.net/podkast-hanba

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



INNY KRAJ

Za nami obchody 30. rocznicy 4 czerwca 1989 r.
Co i jak właściwie świętowaliśmy?

MARCIN ŻYŁA

OŚWICIE 5 CZERWCA SŁOŃCE WSCHODZĄCE zza żurawi gdańskiej stoczni oświetliło wielką białą-czerwoną flagę, którą dzień wcześniej wywieszono na fasadzie przemysłowej hali. Obok, w sąsiedztwie Europejskiego Centrum Solidarności, likwidowano już Strefę Społeczną – miejsce czterodniowego spotkania organizacji pozarządowych z całego kraju z mieszkańcami Gdańska, elementu obchodów 30. rocznicy wyborów z 1989 r.

W mediach o Strefie (którą w ciągu czterech dni odwiedziło, według organizatorów, ok. 40 tys. ludzi) nie mówiono zbyt dużo – dominowały relacje z debat byłych prezydentów, samorządowców czy uczestników wydarzeń z 1989 r., które odbywały się w ECS. Telewizja publiczna rytualnie czyhała na każde sło-

wo Lecha Wałęsy, Donalda Tuska czy będącej gospodarzem obchodów prezydent Gdańska Aleksandry Dulnikiewicz, które – opatrzone odpowiednim komentarzem – mogłyby wykorzystać przeciwko całej imprezie. Sprzyjający opozycji publicyści głowili się z kolei, czy w samorządach drzemie potencjał, który pomógłby zrealizować cel najważniejszy (ważniejszy nawet od merytorycznych programów) – pokonanie PiS w jesiennych wyborach.

Tymczasem istotniejsze pytania – bo bliższe życiu i stawiane w sposób sprzyjający porozumieniu – padały właśnie w Strefie Społecznej. To tu, w przerwach między śpiewaniem „Mazurka Dąbrowskiego”, kursem tańca wietnamskiego, spotkaniami z Adamem Bodnarem czy Tomaszem Sekielskim, warsztatami z instru-

*Święto Wolności
i Solidarności,
Gdańsk,
4 czerwca 2019 r.*

mentów kaszubskich, zajęciami organizowanymi przez Ochotniczą Straż Pożarną i nauką wytwarzania myjek z worka jutowego, pośród aktywistów organizacji, którym zależy na profilaktyce raka piersi czy porządku urbanistycznym naszych miast – zastanawiano się, jak sprawić, by po zakończeniu obchodów we wspólnej Polsce dało się żyć.

Odpowiedź brzmiąca najbardziej banalnie – „zacząć od siebie” – jest w naszym kraju realizowana dzięki tysiącom takich ludzi jak ci w gdańskiej Strefie Społecznej. Tych światów, mikrokosmosów dobra i zaangażowania, w dużej mierze odpornych na polityczne spory, wymienić można немало. Ich animatorzy spotykają się w gminnych bibliotekach, domach kultury, szkołach, muzeach, kinach i teatrach; realizują się w dobroczynności czy w akcjach crowdfundingowych; o tym, co wspólne, dyskutują na festiwalach, warsztatach i pokazach filmowych.

W zwykłym, codziennym kontakcie większość z nas intuicyjnie przecieży czuje, jak się wzajemnie nie obrażać i jak akceptować każdą inność. Gdańska Deklaracja Wolności i Solidarności, ogłoszona 4 czerwca pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców, najlepiej oddaje sens społecznego zaangażowania: przywiązanie do demokracji, niechęć do fanatyzmu, codzienną pracę na rzecz lokalnych wspólnot. To one mogą nas połączyć – jeśli tylko wychodząc ze swoich „bani” znajdziemy sposób, jak mówić do siebie bez ukrytego założenia przekonania rozmówcy do określonego wyboru politycznego. I jeśli naprawdę uznamy, że ani powtórna wygrana PiS w wyborach, ani mityczny „powrót Tuska” nie będą końcem świata.

Nieależnie od losów ewentualnego projektu politycznego polskich samorządów polska wspólnota, dzięki nim i organizacjom pozarządowym, już odniosła wielki sukces. Dowodem ta białoczerwona flaga, rozwieszona nad dawnym terenem stoczni. Uszyły ją czeczeńskie uchodźczynie, które wraz z rodzinami w Gdańsku, m.in. za sprawą programów integracyjnych wprowadzonych przez administrację zamordowanego w styczniu prezydenta miasta Pawła Adamowicza, znalazły dom. Dom wolny, ciepły i gościnny – taki, jakim może być cała Polska.

©P

Podaj rękę państwu

PAWEŁ BRAVO



KILKORO EUROPOSŁÓW OPOZYCJI NIE podaje ręki premierowi obecnemu w trakcie uroczystości wręczania zawia-domienia o wyborze. Premier ostentacyjnie omija i nie podejmuje rozmowy z prezydent Gdańska, która stoi na trasie jego świty. Można by rzec, że takie symboliczne ignorowanie osób z przeciwnego obozu politycznego jest i tak dość łagodną czy nieszkodliwą sprawą w kraju i epoce, w których retorycznym standardem jest przypisywanie im niskich intencji lub w najlepszym razie naiwnej głupoty. Jednak takie drobne gesty szkodzą nam wszystkim niekiedy więcej niż setki obraźliwych słów i świadczą o niezrozumieniu, czym jest państwo, jego struktura instytucjonalna różna od wspólnoty o charakterze „organicznym”, takiej jak ród, sekta czy kółko wzajemnej adoracji. To nie o dłoń oraz osobę (choćby najbardziej niesympatycz-

ną) Mateusza Morawieckiego chodzi, ale o urząd, który pełni. To nie ta konkretna pani polityk, tylko miasto Gdańsk zamierzalo prosić premiera o udział w debacie. W każdej okoliczności od polityków – czyli ludzi deklarujących gotowość uczestniczenia w wyborczej i parlamentarnej grze, aspirujących do ról państwowych – należy oczekiwać szacunku dla urzędów i struktur, które są ponad nimi, które nie mają twarzy ani nazwiska. Działacze opozycji mogą być przekonani o swoich racjach i mieć tysiąc powodów chcieć zastąpić obecną władzę. Ale przez sam fakt, że próbują ich zastąpić, przyznają, że pod pewnym względem należą do tego samego świata, co tamci. Odwracanie się plecami każe wątpić, że komuś tu chodzi o zarządzanie krajem w imieniu i na rzecz wspólnoty obywateli, a nie władzę nad podwórką. ©P

Edukacja ministra

JEŚLI KTOŚ NAIWNIE WIERZYŁ, że nominacja Dariusza Piontkowskiego na ministra jest sygnałem nowego otwarcia, musiał się zawieść. Nie tylko nie jest – co było oczywiste – znakiem korekty reformatorskiego kursu, który jest nieodwracalny. Nie jest także znakiem jakiegokolwiek refleksji nad sposobem przeprowadzenia reform: Piontkowski już w pierwszych medialnych wypowiedziach zdążył – w ślad za swoją zawsze zadowoloną z siebie poprzedniczką Anną Zalewską – zapewnić, że nie widzi żadnego chaosu w szkole, i że podwójny licealny rocznik to nie problem. Ta nominacja nie jest też zapowiedzią nowego kursu w ewentualnych negocjacjach z nauczycielami: w rozmowie z Robertem Mazurkiem w RMF Piontkowski pytany, jak przekona nauczycieli, by we wrześniu nie strajkowali, odpowiedział zgodnie z twardą partyjną linią: „Przekonać ZNP czy nauczycieli?”.

Czym więc ta nominacja jest? Nagrodą dla politycznego prymusa, który cierpliwie zbierał „oczka” w partyjnej punktacji. Piontkowski (rocznik 1964), magister historii i były nauczyciel tego przedmiotu, od początku lat 90. działał w Porozumieniu Centrum, by później zapisać się do PiS. Najpierw radny w Białymstoku, później marszałek województwa (odchodząc do-



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

puścił się przywłaszczenia funkcji publicznej, bo podpisywał dokumenty już nie będąc marszałkiem), poseł, wreszcie z początkiem 2019 r. szef partyjnych struktur na Podlasiu. Światopoglądowo krew z krwi PiS-u. Jeszcze zanim został ministrem, wypowiedział znany jak refren zgranej piosenki pogląd, że „seksualizacja dziecka od drugiego czy trzeciego roku” to „próba wychowania dzieci, które w jakimś momencie zostaną oddane pedofilom”. Już jako minister pogląd ten z całą mocą podtrzymał, nie czując się w obowiązku wyjaśnić, kto miałby polskie dwulatki „seksualizować”, i co to ma wspólnego z pedofilami.

Ta nominacja jest jak promowany przez PiS model edukacji: bądź zdyscyplinowany, nie wychylaj się, wypowiadaj się okrągłymi zdaniem i zgodnie z „kluczem odpowiedzi” / „przekazem dnia”, to dostaniesz piątkę / tekę ministra.

©P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Płeć piłki

TO BYŁA SPONTANICZNA DECYZJA – przyznają zawodniczki. Gdy na początku roku skrzyknęły się i zapisały na rozgrywki w Kalwarii Zebrzydowskiej, nie sądziły, że w swoim pierwszym sezonie wygrają wszystkie spotkania. A ponieważ w całym turnieju nie straciły nawet bramki, sposób, w jaki zdobyły mistrzostwo Małopolski Zachodniej, jest godny pozazdroszczenia. Tym bardziej że sukces przyniósł też awans: od przyszłego sezonu zagrają w barwach Cracovii, która przechodzi tym samym do historii jako pierwszy zespół ekstraklasy z drużyną piłkarek.

Wszystko to dzieje się podczas trwających we Francji ósmych Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej Kobiet. Rozpoczęło je wspaniałe 4:0 gospydów z reprezentantkami Korei Południowej, ale tytułu bronią Amerykanki. Napastniczką reprezentacji USA jest Alex Morgan, jedna ze stu najbardziej wpływowych postaci wg magazynu „Time”. Morgan na co dzień walczy o wyrównanie płac w amerykańskim sporcie i zwiększenie aktywności fizycznej dziewczyny, ale promuje też czytelnictwo – jej książka dla dzieci znalazła się na liście bestsellerów „New York Timesa”.

Z kolei dobrym duchem grającej w mistrzostwach reprezentacji Jamajki jest córka Boba Marleya, Cedella (na zdjęciu u dołu, pierwsza z prawej). To dzięki jej uporowi i wsparciu (Marley nie tylko wskrzesiła drużynę, ale znalazła jej sponzorów) Jamajki przyjechały na mundial jako jedyna drużyna regionu.

Mistrzostwa potrwają do 7 lipca, mecze transmituje TVP Sport.

© P MONIKA OCHĘDOWSKA



ANGELA WEISS / AFP / EAST NEWS

KRAJ W SKRÓCIE



PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

NARUSZANIE STANDARDÓW. Komisja etyki Polskiego Radia ma sprawdzić, czy Wojciech Mann nie naruszył panujących ponoć w tej instytucji standardów, mówiąc przed piosenką „Neandertalczyk” o premierze, „który, przebrany za dżentelmena, potraktował próbującą go przywitać panią tak, jak to widzieliśmy”. Chodziło o incydent z udziałem Mateusza Morawieckiego i Aleksandry Dulkiewicz w Gdańsku, którego niestety nie można zgłosić do komisji etyki polskiego rządu.

CO SIĘ KOMU KOJARZY. Nie istnieją komisje etyki, do których można by zgłosić Jacka Saryusza-Wolskiego za zamieszczenie na portalu społecznościowym zdjęć gestykujących Adolfa Hitlera i Donalda Tuska, z komentarzem „Zbyt podobne, by spać spokojnie”, oraz Rafała Ziembkiewicza, który napisał w felietonie, że „Do LGBT trzeba strzelać! Nie w sensie dosłownym, oczywiście”, gdyż są to „nowi naziści”.

PARADNIE NA PARADZIE. Społeczności LGBT+ z pewnością nie przysłużyło się zorganizowane przed Paradą Równości w Warszawie (skądinąd liczną i zorganizowaną po raz pierwszy pod patronatem prezydenta miasta) nabożeństwo ekumeniczne prowadzone przez mężczyznę przedstawiającego się jako „kapłan katolicki bez przynależności konfesyjnej”, do niedawna będącego ordynariuszem działającego bez rejestracji, a obecnie likwidowanego Zjednoczonego Ekumenicznego Kościoła Katolickiego w Polsce. Kościoły działające w ramach Polskiej Rady Ekumenicznej zdystansowały się od tej postaci.

PRAWDZIWE PROBLEMY. A tymczasem w Skierniewicach w związku z falą upałów za brakto wody – władze miasta zaczęły wyłączać ją w godzinach nocnych, żeby uzupełnić zapasy.

Andrej Babiš pod presją

PREMIER CZECH MA CORAZ WIĘKSZE KŁOPOTY – i w kraju, i w Unii. Babiš jest szefem rządu, a zarazem jednym z najbogatszych ludzi w Europie. Gdy został premierem, kierowanie swoim koncernem Agrofert przekazał funduszowi powierniczemu. Jednak z ujawnionego audytu (zleciła go Komisja Europejska) wynika, że nadal dochodzi do konfliktu interesów Babiša-premiera i Babiša-przedsiębiorcy. Ponadto policja właśnie zakończyła śledztwo w sprawie podejrzenia, że wyłudzał on unijne dotacje. Sam premier nie ma sobie nic do zarzucenia i twierdzi, że raport Komisji uderza w całe czeskie państwo. Ustępować nie ma zamiaru. Tymczasem presja narasta: w kolejnych demonstracjach z żądaniem dymisji Babiša na ulice wychodzi coraz więcej Czechów. W minionym tygodniu w Pradze protestowało 120 tys. ludzi – była to jedna z największych demonstracji od czasu „aksamitnej rewolucji” w 1989 r. Planowane są kolejne.

Dotąd takie protesty premiera nie wzruszały. Ale teraz musi się zmierzyć nie tylko z oburzonymi obywatelami i opozycją w parlamencie, ale też z Komisją Europejską. W Pradze zapowiada się gorące lato.

© PATRYCJA BUKALSKA

Chińskie 500 plus, czyli gospodarka w potrzebie



MAREK RABI

6 PROC. – TYLKO O TYLE WZROŚNIE W TYM ROKU PRODUKT krajowy Chin. Jeśli spełnią się prognozy, które opublikował Bank Światowy, będzie to najslabszy rok najszybciej rosnącej gospodarki świata od 1989 r.

W ostatnich dekadach Chiny przyzwyczały świat do komunikatów o wzroście PKB na poziomie 8–10 proc. rocznie (jak i do tego, że oficjalne dane z Pekinu nie są w pełni wiarygodne). Prognozę BŚ potwierdzają jednak same władze: gospodarka Chin hamuje.

Po latach wzrostu opartego na taniej produkcji na eksport, Pekin chce ożywienia popytu wewnętrznego. Partia stymulowała go dotąd olbrzymimi wydatkami publicznymi, które częściowo – w formie pensji – trafiały do kieszeni Chińczyków, zwiększając też ich siłę nabywczą. W efekcie, jak szacuje Institute of International Finance, łączne zadłużenie Chin wzrosło do poziomu około 300 proc. PKB i Pekin musi znaleźć tańszy sposób. Partia nie wyklucza więc, że uruchomi pierwsze w dziejach kraju programy socjalne dla wybranych grup społecznych.

© P MAREK RABI

Sudan: armia kontra mieszkańcy Chartumu

WOJCIECH JAGIELSKI



PO WIOSENNEJ REWOLUCJI W CHARTUMIE, stolicy Sudanu, nastał czas kontrrewolucji. Wojskowi, którzy wcześniej stanęli po stronie ulicznych protestów i odsunęli od władzy dyktatora Omara al-Baszira, właśnie zwrócili się przeciwko buntownikom.

Obalili Baszira, bo nie gwarantował wojskowym dalszych rządów, które z krótkimi przerwami sprawują od pierwszego dnia niepodległości Sudanu w 1956 r. Taki sam sposób na zachowanie władzy sprawowanej od niepodległości w 1962 r. i zagrożonej wiosną przez rewoltę władzy wymyślili wojskowi z Algierii – odsunęli od władzy zniedołężniałego prezydenta, wtręci do więzienia kilku jego zauszników. Ale rewolucjoniści w Chartumie i Algierze nie zamierzają się zadowolić zmianą dekoracji. Wołają: „Wynocha wszyscy!”.

W Sudanie przeciwko opozycji ruszyli dawni dzandzawidzi, cieszące się najgorszą sławą arabskie pospolite ruszenie, które na początku wieku brutalnie stłumiło antyrządowe

powstanie w Darfurze (ponad ćwierć miliona zabitych). W ostatnich dniach w pogromach w Chartumie zginęło ponad sto osób, ponad pół tysiąca zostało rannych. Żołnierze urządzają w mieście łapanki przywódców opozycji. Wydarzenia okrzyknięto „sudańskim Tiananmenem”. Doszło do niego w 30. rocznicę masakry studentów, którzy w Pekinie zbuntowali się przeciwko komunistycznej dyktaturze i – tak jak dziś Sudańczycy – upomnieli się o wolność. Sudańska opozycja (podobnie jak algierska) rozpoczęła teraz kampanię nieposłuszeństwa obywatelskiego i odgraża się, że jak pokonała Baszira, tak zmusi do odwrotu też jego generałów.

Ale czasy sprzyjają kontrrewolucjonistom w mundurach i ich sprzymierzeńcom – prezydentowi Egiptu (w 2013 r. wskutek puczu zakończył Arabską Wiosnę w Kairze), koronnym księżętowi z Rijadu i Abu Zabi. Oni nienawidzą rewolucji, i demokracji. A w dodatku prezydent USA ma ich za najlepszych przyjaciół i przewodników po Bliskim Wschodzie. ©P

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WZORZEC Z SÈVRES. Jean-Marc Sauvé, b. wiceprzewodniczący francuskiego najwyższego sądu administracyjnego, pokieruje niezależną komisją, która na prośbę episkopatu zbada przestępstwa seksualne duchownych i mechanizmy ich tuszowania. Komisja planuje kilkadziesiąt przypadków poddać pogłębionym badaniom. Podjęła też badania w archiwach diecezji, zakonów, sądów i prasy. W skład komisji wchodzi prawnicy, psychologowie i socjologowie, ludzie różnych wyznań.



PASCAL DELOCHE / EAST NEWS

LOURDES POD LUPĄ. Franciszek powołał specjalnego delegata ds. sanktuarium w Lourdes, bp. Antoine'a Hérouarda. Andrea Tornielli, dyrektor programowy mediów watykańskich, tłumaczył, że „Franciszek pragnie, aby w sanktuariach sprawy duchowe miały pierwszeństwo przed administracyjnymi i finansowymi, chce także wspierać pobożność ludową”. Decyzję przyjęto z zaskoczeniem, Watykan nie konsultował jej z francuskim episkopatem.

PYTANIA O CELIBAT. „Wielu biskupów opowiada się za zniesieniem obowiązkowego celibatu” – powiedział abp Giovanni Ricchiuti z Altamura-Gravina-Acquaviva delle Fonti na południu Włoch. Wyraził nadzieję, że październikowy Synod o Amazonii dopuści do święceń żonatych mężczyzn, opowiedział się za powszechnym przyjęciem tego rozwiązania.

SŁUCHANIE. „Skłania mnie do płaczu, gdy widzę Kościół przekonany o swej wierności Panu, który dostosowuje się do wymagań czasu, szukając dróg czysto funkcjonalnych, nie pochodzących od Ducha Bożego – powiedział Franciszek w homilii na wigilię Zesłania Ducha Świętego (8 czerwca). – Taki Kościół nie potrafi zstąpić [między braci], a jeśli nie zstąpi, to nie będzie to duch jutra. Chodzi o otwieranie oczu i uszu, ale przede wszystkim o słuchanie sercem”.



CPL JAMIE HART / BRITISH MINISTRY OF DEFENCE / EPA / PAP

OSTATNIA TAKA ROCZNICA. W nocy z 5 na 6 czerwca 1944 r. Harry Read i John Hutton byli wśród kilku tysięcy brytyjskich spadochroniarzy, którzy wylądowali w Normandii, by wesprzeć tych alianckich żołnierzy, którzy rankiem 6 czerwca zaczęli desant na plażach. Był to początek wyzwolenia Europy Zachodniej spod niemieckiej okupacji. Teraz 95-letni Read (na zdjęciu) i 94-letni Hutton przybyli na obchody 75. rocznicy tak jak wtedy: skoczyli na spadochronach (tym razem w tandemie, asekurowani przez brytyjskich komandosów). Organizatorzy zatroszczyli się, by w uroczystościach wzięło udział ok. 500 weteranów. W powszechnym odczuciu to ostatnia „okrągła” rocznica z tak licznym udziałem uczestników bitwy o Normandię; najmłodszy z nich mają po 93 lata. Uczestniczący w obchodach zachodni politycy, w tym Donald Trump, podkreślali zgodnie, że transatlantycki sojusz Zachodu trwa nadal. Sojuszniczy są „obywatelami wolnych, niezależnych narodów”, a więzi między nimi są „nierozwalne” – mówił prezydent USA. ©P WP

Po samobójstwie młodej Holenderki

„**PRZESTAŁAM JEŚĆ I PIĆ**, a po wielu dyskusjach i ocenach pozwolono mi odejść, ponieważ moje cierpienie jest nie do zniesienia” – napisała na Instagramie 17-letnia Holenderka Noa Pothoven. Jako 11-letnia dziewczynka była molestowana, a w wieku 14 lat została zgwałcona przez dwóch mężczyzn. Rodzice dowiedzieli się o jej traumie, gdy w wieku 16 lat zgłosiła się do kliniki z prośbą o eutanazję, której jej odmówiono. Zmagająca się z depresją i anoreksją. Rok temu wydała książkę, w której opisała swoje cierpienie. Zmarła z wycieńczenia 2 czerwca w swoim rodzinnym domu.

© P ASK

S. BARBARA CHYROWICZ

Póki żyjesz, masz szansę

ARTUR SPORNIAK: Czy mamy obowiązek ratować samobójców wbrew ich woli?

S. BARBARA CHYROWICZ:

Przypadek Noi Pothoven jest trudny do oceny moralnej. Potwornie skrzywdzona dziewczyna decyduje o pożegnaniu się z życiem podejmując mając zaledwie 17 lat – to wiek, w którym życie się zaczyna, a Noa uznaje, że dla niej wszystko już skończone. Niektórzy psychologowie twierdzą, że instynkt życia jest tak silny, iż chęć odebrania sobie życia musi być oznaką jakiegoś zaburzenia. Jeśli tak, to mamy ewidentny obowiązek ratowania dziewczyny. Istnieją też tacy, którzy uznają, że przynajmniej część samobójczych decyzji może być podejmowana w sposób w pełni racjonalny – nie powinniśmy takim samobójcom przeszkadzać, bo to ich decyzja i ich życie. Nawet jeśli przyjąć, że tacy samobójcy istnieją, Noa nie jest jednym z nich – trauma po dramatycznych przeżyciach spowodowała u niej depresję, anoreksję, samookaleczenia, próby samobójcze. Noa nie radzi sobie z samą sobą, potrzebuje pomocy specjalistów.

I była leczona, tyle że – jak Noa twierdziła – nieskutecznie.

To porażka tych, którzy nie potrafili jej pomóc. Noi brakło już sił, ale ci, którzy je mieli, mogli jeszcze o jej życie „zawalczyć”. Było o co, póki Noa żyła, istniała szansa, że



ARCHIWUM PRYWATNE

poradzi sobie z traumą. Nie zapominajmy też, że nasza bezradność może być wołaniem o pomoc do Boga, który wspiera nasze beznadziejne wysiłki – to droga wierzących. Nie znamy przekonań Noi i jej bliskich, nie

mamy prawa ich osądzać. Kochali córkę, pogodzili się z jej decyzją nie dostrzegając innego wyjścia. Możemy tylko pytać, czy za wcześniej się nie poddali.

Domyślam się, że rodzice uznali, iż ratowanie córki na siłę byłoby przeciwko niej.

Siedemnastolatce mogło się wydawać, że nie poradzi sobie z tym, co ją spotkało. Dopiero z perspektywy lat wiemy, że z tym, co wydawało się nam kiedyś dramatem nie do przejścia, można sobie poradzić. Noa ma zbyt małe doświadczenie, by o tym wiedzieć, opiekujący się nią dorośli już to wiedzą!

Przed śmiercią napisała: „Kochać to w tej sytuacji pozwolić odejść”.

Noa nie radziła sobie z życiem. Dlatego powinniśmy pomóc jej żyć, a nie odejść. Jeśli ratujemy samobójców, to dokładnie dlatego, że zakładamy, iż nie radzą sobie z życiem. © P

S. BARBARA CHYROWICZ jest etykiem, kierownikiem Katedry Etyki Szczegółowej KUL, autorką m.in. książki „O sytuacjach bez wyjścia w etyce”.

Bezkarność w kopercie

EDWARD AUGUSTYN



BISKUP MICHAEL BRANSFIELD, ODWOŁANY PÓŁ ROKU temu przez papieża po 13 latach kierowania diecezją Wheeling-Charleston (Wirginia Zachodnia, USA), nie tylko molestował kleryków i młodych księży, ale marnotrawił też kościelne fundusze – wykazał raport jego następcy, abp. Williama Loriego. Rozwiązyli biskup wydał 2,4 mln dolarów na prywatne podróże, dwa razy tyle na remont rezydencji, 350 tys. dolarów na prezenty – wszystko to w jednym z najbardziej amerykańskich stanów.

Dziennik „The Washington Post” zwrócił uwagę na ostatni punkt, podejrzewając, że gotówka i drogie upominki były sposobem bp. Bransfielda na zapewnienie sobie bezkarności. Dziennikarskie śledztwo wykazało, że hojnie obdarowywał niemal wszystkich kardynałów i biskupów z USA, papieskich nuncjuszy (w tym słynnego Carla Marię Viganò, który oskarżał papieża o bezczynność w niemal identycznej sprawie kard. Theodore’a McCarricka), a nawet abp. Loriego – który chroniąc siebie zadbał, by w sporządzonym dla Watykanu raporcie nie pojawiły się nazwiska beneficjentów.

Amerykański przykład uczy, że nie da się wytepić jednych nadużyć, przemilczając inne. I że żadna kościelna komisja nie będzie teraz wolna od podejrzeń. A także, że niekontrolowany obieg gotówki („koperty”), nietransparentne decyzje personalne (nagradzanie intratnymi stanowiskami popleczników i zyskanie na biedne parafie niepokornych) to nie polski wynalazek. Choć to akurat żadne pocieszenie. © P

Młodzi odchodzą od Kościoła

POLSKA MŁODZIEŻ jest coraz mniej religijna. Jako głęboko wierzący i wierzący łącznie określili się w 2018 r. 63 proc. uczniów ostatnich klas szkół ponadgimnazjalnych, podczas gdy w 2008 r. było ich 81 proc. Coraz mniej młodych chodzi też na religię – w 2018 r. zadeklarowało to 70 proc., a jeszcze w 2010 r. – 93 proc. – wynika z badania CBOS zrealizowanego w ramach projektu „Młodzież”. Z kolei nie uczestniczy w ogóle w praktykach religijnych 35 proc. 18-, 19-latków w porównaniu z 11 proc. ogółu Polaków.

Religijność młodych polaryzuje się – komentuje ks. Wojciech Sadłoń z Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego – zmniejsza się grupa osób o średnich wskaźnikach religijności, rośnie zaś grupa osób niereligijnych przy utrzymywaniu się grupy o najwyższej religijności. Z kolei socjolog z UKSW ks. Sławomir Zareba mówi o zjawisku „odkościelnienia” młodzieży, czyli odchodzeniu od masowej religijności tradycyjnej, kształtowanej przez Kościół instytucjonalny, i przechodzeniu do religijności zindywidualizowanej.

© P ASK



„POSTANOWILIŚMY Z NICH ZREZYGNOWAĆ DLA ICH DOBRA” – tak dyrekcja niemieckiego cyrku Roncalli tłumaczy decyzję o zastąpieniu w widowiskach żywych zwierząt ich holograficznymi wyobrażeniami. Jej zdaniem, trójwymiarowe obrazy stoni, koni, tygrysów i innych zwierząt trafiają w gusta młodej publiczności, która lubi nowe technologie, ale dotychczas omijała tego typu widowiska w proteście przeciwko okrucieństwu tresury cyrkowej.

© © MR

Conrad nagrodzony



MONIKA OCHĘDOWSKA

FESTIWAL CONRADA TO JEDNO Z NAJWAŻNIEJSZYCH wydarzeń kulturalnych Starego Kontynentu – ogłosiło w poniedziałek Europejskie Stowarzyszenie Festiwalu, przyznając imprezie tytuł EFFE Laureate 2019-20. Festiwal – wymyślony dekadę temu w „Tygodniku Powszechnym”, a organizowany przez naszą Fundację wraz z miastem Kraków i Krakowskim Biurem Festiwalowym – nagrodzono nie tylko za wysoką wartość artystyczną; doceniono także jego inkluzywność, wpływ na zrównoważony rozwój społeczny i międzynarodową otwartość.

Zresztą, nie po raz pierwszy. Dwa lata temu Akademia Pisarzy, działająca przy jednym z czołowych wydawnictw anglosaskich Penguin Random House, zaliczyła Conrada do grona najważniejszych wydarzeń literackich świata. Doceniany przez międzynarodowe gremia festiwal nie może jednak liczyć na wsparcie polskiego Ministerstwa Kultury – na tegoroczną edycję przyznano mu ledwie jedną trzecią wnioskowanej kwoty. Tymczasem program 11. edycji jest właśnie dopinany na ostatni guzik – pierwszych gości oraz program ogłosimy w przyszłym tygodniu. A wchodząc na stronę powszech.net/wal-czeoconrada, już dziś można zastąpić ministra kultury w roli mecenasa Festiwalu.

© ©

Plastik: jest gorzej, niż myśleliśmy

WSZYSCY WIDZIELIŚMY FOTOGRAFIE wysp plastikowych śmieci pływających na powierzchni mórz i oceanów, ale słabo zrealizowaliśmy skalę skażenia głębszych wód. Badania przeprowadzone przez Anelę Choy i współpracowników u wybrzeży Kalifornii nie pozostawiają złudzeń. W tzw. strefie pelagialnej, na głębokości do tysiąca metrów, która stanowi największy ekosystem na świecie, w każdym metrze sześciennej wody unosi się kilkanaście cząstek mikroplastiku (prawdopodobnie pochodzących głównie z jednorazówek i butelek na napoje). Są one pożerane m.in. przez czerwone kraby i ogonice, na których żerują kolejne organizmy – w ten sposób cząsteczki plastiku trafiają do układów pokarmowych mnóstwa zwierząt, także tych, które ostatecznie lądują na naszych stołach. A jak pokazały inne niedawne badania, przeprowadzone przez Kierana D. Coxa i współpracowników, co roku sami zjadamy ok. 40–50 tys. plastikowych mikrocząstek (najmniej ci, którzy piją tylko wodę z kranu) – i drugie tyle wdychamy.

Już teraz prowadzi się eksperymenty z glonami oraz meduzami, które mogłyby pochłaniać i rozkładać plastikowe cząstki w oceanach. Ale trudno powiedzieć, czy zdążymy wdrożyć skuteczne rozwiązania, zanim przyroda zmieni się nieodwracalnie.

© © ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

INSPIRACJA. Szukającym lektur na nadchodzące lato „The New Yorker” poleca powieść Olgi Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych”. Zekranizowana przez Agnieszkę Holland i przetłumaczona na język angielski przez Antonię Lloyd-Jones książka była kandydatką do tegorocznej Międzynarodowej Nagrody Bookera. „To jedna z bardziej inspirujących powieści, jakie miałam okazję przeczytać w ostatnim czasie” – napisała krytyczka nowojorskiego tygodnika.

NAGRODA. Laureatką tegorocznej Nagrody im. Wisławy Szymborskiej została Marta Podgórnik – wyróżniono jej najnowszy tom „Mordercze ballady”. Można traktować tę książkę jako zbiór tekstów rozprawiających się z romantycznymi i popkulturowymi kliszami, kreujących nowy model ironicznej, okrutnej „ballady panieńskiej” – uzasadniał wybór jeden z jurorów, poeta Karol Maliszewski. Nagrodę Szymborskiej przyznano po raz siódmy.



KRYSZTOF DOBUSZYŃSKI / REPORTER

POŻEGNANIE. 7 czerwca zmarł Ryszard Bugajski, reżyser i scenarzysta, twórca legendarnego „Prze-słuchania”, a także „Układu zamkniętego” i „Začmy”. Portretował ludzi uwikłanych w historię i ideologię, badał mechanizmy prowadzące do nadużycia władzy. Bugajski był laureatem wielu nagród i wyróżnień. Za „wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce” odznaczono go w 2008 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W tym samym roku otrzymał Złoty Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis.



POROZMAWIAJCIE Z NIMI

Edukacja seksualna nie jest kategorią wyodrębnioną od reszty rzeczywistości, o której mówi się specjalnym tonem w specjalnym czasie. Ona wpisuje się w codzienną relację z dzieckiem.

TEKST **MACIEJ MÜLLER** ILUSTRACJE **JOANNA RUSINEK**

ULTRACIENKIE, COMFORT XL, TRUSKAWKOWE. Tuż przed kasą w dyskoncie dziecko, może pięcioletnie, wskazuje na gablotkę z kolorowymi pudełkami i pyta: „Co to?”.

Odpowiedź matki i ojca pada unisono: „Nie wiem”. Ze szkoły wraca drugoklasista

i przy obiedzie pyta: „A co to znaczy wyruchać kogoś głową?”.

Psycholożki Agnieszki Stein nie dziwi, że podobne pytania odbierają rodzicom mowę. Bo pokolenie trzydziestokilkulatów wychowujących dziś dzieci raczej nie miało okazji rozmawiać o seksualno-

ści z własnymi rodzicami. – Problem z komunikacją w tym temacie mamy od urodzenia, on się nie pojawił nagle, kiedy urodziły nam się dzieci. Rodzice uważali, że to temat, na który się nie rozmawia, w najlepszym razie podsuwali nam książki, i to na ogół dopiero w okresie dojrzewania.



nia. A tam głównie fizjologia, „skąd się dzieci biorą” i niewiele więcej. Boimy się tej sfery, bo wydaje się pełna tabu, brakuje nam wiedzy. W rezultacie jeśli w ogóle opowiadamy dzieciom o seksualności, to w kontekście zagrożeń i problemów – mówi Stein.

Wielu rodziców ma też skłonność do nerwowych reakcji typu: „co ty robisz, a fuj”, kiedy syn czy córka, np. podczas oglądania bajki czy wieczornego czytania, wsunie rękę do majtek.

Dziecko bardzo wcześnie może odkryć, że dotykanie genitaliów sprawia przyjemność; problem w tym, że tzw. masturbacja dziecięca nie ma nic wspólnego z masturbacją osoby dorosłej, która służy zaspokojeniu seksualnemu. To z tego braku wiedzy na temat pojęć wynikła spora część nieporozumień wokół osławionej tabelki ze standardów WHO dotyczących edukacji seksualnej.

Na własną rękę

Co zrobić, kiedy dziecko zada trudne pytanie? – W takim momencie widać

czarno na białym, że to sfera, od której nie da się uciec i trzeba się nią zająć – mówi Stein. – Jeśli dziecko usłyszało jakieś określenie czy coś zaobserwowało, mleko się wylało. Ono już wie. Rodzic powinien się tym doświadczeniem „zaopiekować”, wyjaśnić je na poziomie adekwatnym dla dojrzałości dziecka. Przecież ono nie wykasuje sobie pamięci dla naszego poczucia komfortu.

– Czy jeśli dziecko zapytałoby np. o śmierć, rodzice też by to zbagatelizowali? – pyta z kolei Alina Synakiewicz, pedagogka i edukatorka seksualna, która uczyła wychowania do życia w rodzinie w jednej z warszawskich podstawówek. – Dla małego człowieka pytanie dotyczące seksualności jest zupełnie neutralne, tak samo jak o to, skąd się bierze śnieg. Zmieszanie rodziców i ucieczka od rozmowy jest dla niego komunikatem, że zrobiło coś złego. A jeśli sytuacja będzie się powtarzać, pewnie przestanie pytać rodziców. I może się spełnić najgorszy scenariusz: zacznie szukać informacji na własną rękę, po czym trafi na strony pornograficzne.

Stein: – Już uczniowie podstawówki świetnie się orientują, o co nie ma sensu pytać dorosłych. Konsekwencją jest utrata wpływu na to, czego się dowiadują. Żadne zabiegi rodziców nie powstrzymają dziecięcej ciekawości.

Synakiewicz pamięta z dyżuru przy telefonie zaufania rozmowę z matką 11-latką, przerażoną, bo właśnie odkryła, że jej córka oglądała na telefonie komórkowym film pornograficzny: – Próbowałam ją uspokoić i powiedziałam, że jednorazowa ekspozycja na tego typu treści nie musi od razu skończyć się dramatycznie. Podczas rozmowy okazało się, że dziewczynka weszła na stronę porno, bo była ciekawa, czym jest „seks”, o którym rozmawiają rówieśnicy. W domu się o tym nie mówiło.

Strach

Efekt jest łatwy do wyobrażenia.

Synakiewicz: – Młodzież ma niski poziom wiedzy na temat elementarnych spraw, jak anatomia i fizjologia układu rozrodczego, a jednocześnie posługuje się →

→ terminologią zaczerpniętą z pornografii. Pytają o seks analny albo czy dziewczyny lubią wytrysk na twarz.

Chłopców interesują dwie rzeczy. Rozmiar członka (to zdecydowanie pokłósi mitów i stereotypów zaczerpniętych z porno – mówi edukatorka) i to, czy masturbacja może mieć negatywne konsekwencje zdrowotne, np. doprowadzić do bezpłodności.

A dziewczyny? – Dzwonią najczęściej po niezabezpieczonym stosunku, boją się, że mogą być w ciąży. Dzwonią też takie, które uprawiają seks, a wcale tego nie chcą. To smutna konsekwencja tego, że nikt im nie powiedział, że mogą mówić „nie”. Dziewczynki od najmłodszych lat uczą się, że mają być miłe i wszystkim się podobać.

W 2011 r. Grupa Edukatorów Seksualnych „Ponton” opublikowała raport na temat edukacji seksualnej w polskich domach: okazało się, że blisko połowa badanych nigdy nie rozmawiała z opiekunami na temat seksu. Synakiewicz: – A osoby, które odbyły takie rozmowy, nie mają dobrych doświadczeń: przeważało straszenie seksem albo pokazywanie go jako czegoś złego.

„Ten” temat

Dziecko pyta o otaczający je świat, od kiedy tylko zacznie mówić. Agnieszka Stein: – Sęk w tym, że my znajdujemy energię na rozmawianie z dzieckiem wtedy, kiedy chcemy je przed czymś przestrzec.

Efekt? W dziecku kształtuje się przekonanie, że seksualność to sfera pełna negatywnych, groźnych zjawisk. I z takim nastawieniem podejdzie kiedyś do własnych dzieci.

Jak wyrwać się z błędnego koła i nie przenieść na kolejne pokolenie własnych problemów? – Uważnie słuchać dziecka, zwracać uwagę na to, czym się interesuje, czego chce się dowiedzieć, czego doświadcza, towarzyszyć mu w tym – wskazuje psycholożka. – W ten sposób buduje się pozytywny obraz seksualności, a w dziecku kształtuje się zaufanie do samego siebie. Wychowywanie to coś znacznie więcej niż przekazywanie zbioru informacji: to doświadczenie życiowe, nabywanie umiejętności związanych z byciem w relacji.

Stein w swojej głośnej książce „Nowe wychowanie seksualne” zachęca do postawy zaufania wobec dziecka – wyłączając sytuacje ewidentnego zagrożenia dla jego bezpieczeństwa. Dowodzi, że znacznie lepiej powiedzieć: „Zawsze, jeśli wpadniesz w kłopoty, możesz do nas przyjść, pomożemy ci bez zadawania dużej liczby trudnych pytań” niż „Skoro nas nie słuchasz, radź sobie sam”.

Edukacja seksualna nie powinna więc być tematem specjalnym, kategorią wyodrębnioną od reszty rzeczywistości, o której mówi się specjalnym tonem w specjalnym czasie: – Nie, ona wpisuje się w zwykłą, codzienną relację z dzieckiem, dzieje się wszędzie i przez cały czas – mówi psycholożka. – Dziecko nie widzi rozgrani-

czenia między seksualnością a innymi sferami życia. Nie ma poczucia, że zadaje pytanie na „ten” temat, no chyba że je sami w nim wykształcimy. Ono po prostu pyta o życie, o to, co widzi, jak działa świat.

Granice

Z codzienności nie jest wyłączone także takie zadanie, jak prewencja pedofilii.

– Prewencja polega na tym, że odpowiadając na pytania dziecka i szanując jego granice – uważa Stein. Jeśli przez całe życie na siłę myję je i ubieram, a potem np. w wieku siedmiu lat mu powiem: „Twoje ciało należy do ciebie”, to ono pomyśli: „Akurat”. Dzieci nie uczą się przez to, co im powiemy, tylko przez obserwację. Niestety, zarówno w domu, jak w przedszkolu czy w szkole wpaja im się, że mają być posłuszne. Uczą się zaprzeczać własnym potrzebom i podmiotowości, żeby rodzice czy wychowawcy byli zadowoleni.

Alina Synakiewicz: – Dziecko w wieku przedszkolnym powinno dowiedzieć się, że nie wolno dotykać, przytulać, całować kogoś, kto nie ma na to ochoty. Powinno też dostać informację, że bywają sytuacje, w których dorośli dotykają dzieci, np. lekarz podczas badania czy rodzice podczas kąpieli. Dziecko powinno także wiedzieć, że może powiedzieć zaufanej dorosłej osobie, jeśli ktoś dotyka je w sposób, który mu się nie podoba. Na tym etapie nie trzeba mówić o zjawisku pedofilii. Przy okazji chciałabym przypomnieć, że wbrew obiegowej opinii dzieci są najczęściej molestowane przez osoby znajome, wykorzystu-

W harmonii z sobą samym i innymi

KIEDY LUDZIE MYŚLĄ O SEKSUALNOŚCI,

przychodzą im do głowy kwestie związane z aktem seksualnym, erotyzmem, pobudzeniem seksualnym i różnymi sposobami na jego rozładowanie. Rzadziej pamiętamy, że seksualność to również różnice między płciami, relacja z własnym ciałem i jego potrzebami. W seksualności mieszczą się również relacje z innymi ludźmi, i to nie tylko romantyczne, bo na każdą

naszą relację w jakiś sposób oddziałuje to, że mamy płeć. W seksualności mieści się nasz stosunek do własnego ciała i do ciał innych ludzi. Mieści się rodzicielstwo, bycie matką, ojcem. Przeżywanie okresu oczekiwania na dziecko i narodzin, a także karmienie piersią. To, jak płeć dziecka i płeć rodzica mają znaczenie w ich wzajemnych relacjach. W seksualności mieści się dbanie o swoje zdrowie i bezpieczeństwo. (...) Udział w kulturze i to, jak kultura

definiuje płeć i wynikające z niej oczekiwania. To, co dorośli myślą o seksualności i jak przekazują to dzieciom, także na nieświadomym poziomie. (...) Kiedy człowiek nie interesuje się seksem, to nie przestaje być seksualny. (...) Jest kłopot z przekazywaniem postaw i umiejętności przez formalną edukację, bo one się przenoszą głównie przez bycie w relacjach i obserwację ludzi w autentycznych sytuacjach życiowych, a nie w rolach. W szkole nauczanie się pewnych rzeczy jest trudne, a do pewnego stopnia

nawet niemożliwe. Edukacja nieformalna to obserwowanie, jak ludzie wchodzą między sobą w relacje, jak rodzice reagują na różne dziecięce zachowania, jak odpowiadają na pytania, które padają przy obiedzie albo przed zasypianiem (...). Rola rodziców i tego, czego uczą swoje dzieci poprzez relacje z nimi, jest nie do zastąpienia poprzez formalną edukację. ©

Fragmenty książki Agnieszki Stein „Nowe wychowanie seksualne”, Mamania, Warszawa 2018.

jące zaufanie, a nie przez obcych, którzy polują na nie, gdy bawią się w piaskownicy.

Jak uczyć stawiania granic? – Przecież dzieci stawiają je od urodzenia. Wystarczy im nie przeszkadzać – podkreśla Agnieszka Stein. – Mówią „nie”, odwracają głowę, krzyczą. To jest oczywiście dla nas niewygodne, bo oznacza, że dziecko nie wszystko zrobi tak, jak byśmy chcieli. Dlatego mamy skłonność, żeby ten opór przełamywać.

Wszechobecny seks

Z poglądem, że kłopot z podejściem do edukacji seksualnej wynika z tabu, nie zgadza się Krzysztof Mazur, filozof, były prezes Klubu Jagiellońskiego. – Przecież to temat wszechobecny. Seksualny podtekst ma reklama batona, a poważne portale informacyjne pod wieczór zmieniają się w *quasi*-erotyczne – zauważa. I podkreśla, że trudno tego nie wziąć pod uwagę w rozmowach z dziećmi. – Nie chciałbym, żeby seksualność traktowały jako coś wulgarnego, tak jak to widzi współczesna kultura. Niedobrze, jeśli coś, co powinno być przeżywane w intymności, zostaje uprzedmiotowione przez speców od marketingu. Dlatego jestem wyczulony na ideologiczny, zwulgaryzowany przekaz na potrzeby polityki czy rynku.

Według Mazura problemem jest brak dobrej przestrzeni do rozmowy o seksualności. W środowisku Klubu Jagiellońskiego powstał kiedyś pomysł edukacji seksualnej prowadzonej w możliwie pluralistyczny sposób. – W zajęciach uczestniczyłyby dzieci wspólnie z rodzicami. Najpierw przedstawiano by tematy czyśto biologiczne, potem uczestnicy dzieliliby się na grupy o przekonaniach bardziej konserwatywnych i bardziej progresywnych i rozchodzili na odpowiednie warsztaty – tłumaczy Mazur. – Po nich spotykałby się znowu i rozmawiali o różnych spojrzeniach na te same sprawy, np. na stosowanie pigułki czy aborcję, i o przekonaniach, jakie za tym stoją. Nikt by nie mógł powiedzieć, że odbywa się tam ideologizacja dzieci. Wszyscy natomiast wyszliby z poczuciem, że zagadnienie jest złożone i żyjemy w społeczeństwie, w którym na ten sam problem patrzymy w odmienny sposób.

Wartości

Czy lekcje albo warsztaty z edukacji seksualnej da się prowadzić bez żadnych przed-



Rozmawiamy z dzieckiem dopiero, gdy chcemy je przed czymś przestrzec.

Efekt? Kształtuje się w nim przekonanie, że seksualność to sfera pełna groźnych zjawisk. Przekonanie, z którym podejdziesz kiedyś do własnych dzieci.

założeń? Czy da się uszanować wrażliwość tych rodziców, dla których nauczanie Kościół jest głównym punktem odniesienia?

– Rzetelna edukacja seksualna opiera się na założeniu, że każdy człowiek ma prawo do podejmowania niezależnych decyzji dotyczących własnej seksualności – podkreśla edukatorka Alina Synakiewicz. – Podczas zajęć prezentowane są fakty naukowe, np. że masturbacja nie szkodzi zdrowiu i jest jednym z zachowań seksualnych człowieka. Nie ma jednak mowy o nakłanianiu do takich czy innych zachowań. Osoba wyposażona w wiedzę, a także umiejąca stawiać granice (bo nauka asertywności to także część edukacji seksualnej), musi zdecydować sama, czy dane zachowanie jej odpowiada, czy jest w zgo-

dzie z jej wartościami, czy czuje się z tym komfortowo.

Nie dotyczy to zresztą tylko religii. Synakiewicz: – Chodzi w ogóle o granice psychiczne i fizyczne. To, co jest w porządku dla jednej osoby, dla innej nie będzie. Dla jednego nastolatka *petting* jest OK, inny woli poprzestać na trzymaniu się za ręce i pocałunkach.

– Jestem chrześcijaninem, więc istotne jest dla mnie, żeby rozmawiać o seksualności w kontekście duchowym – podkreśla Krzysztof Mazur. – Według podejścia progresywnego problem z seksualnością polega na tym, że to sfera otoczona tabu; kiedy je zniszczymy, wszystko się rozwiąże. A to nieprawda. Nie jest rozwiązaniem powiedzenie: jeśli pozbędziesz się obaw, znikną problemy. Nie uznaję postulatu likwidacji norm społecznych, które próbują doradzić, jak radzić sobie z własną seksualnością. Człowiek zostałby wtedy sam na sam z własnym, nagim popędem. To nie droga do wolności, tylko zniewolenia. Akcja #MeToo pokazała, że również dla liberalno-lewicowej opinii publicznej pewne normy określające poprawne relacje między kobietami i mężczyznami muszą zostać zachowane. Spojrzenie chrześcijańskie, odwołujące się do szacunku i godności drugiej osoby, współgrało tu z postulatami części feministek.

Za poważny problem Mazur uważa łatwy dostęp do pornografii. Istotnie, raport Fundacji Dzieci Niczyje z 2017 r. wykazał, że 21 proc. dzieci w wieku 11–12 lat i 36 proc. w wieku 13–14 lat miało kontakt z takimi materiałami. Polskie nastolatki przodują pod tym względem w Europie.

– Z jednej strony rodzice są przeczułeni na punkcie bezpieczeństwa dzieci, z drugiej dają im do ręki telefon z nieograniczonym dostępem do internetu – zauważa Mazur. – Ale coś się zmienia: kilka lat temu na ludzi, którzy zwracali na to uwagę, patrzono jak na Amisów. A dzisiaj widzę np., że ważnym elementem oferty wielu prywatnych szkół jest ścisłe przestrzeganie zakazu używania smartfonów.

Czystość

Były szef Klubu Jagiellońskiego uważa, że w rozmowach z dziećmi istotny powinien być temat wstydu, czystości i wstrzemięźliwości, które, jak podkreśla, są wartościami przez współczesną kulturę wyśmiewanymi: – Seksualność nie może abstrahować od celu, któremu służy: od

Co czytać z dzieckiem



■ **Oscar Brenifier,**
Serge Bloch
UCZUCIA,
CO TO TAKIEGO?
Zakamarki,
Poznań 2012

GDY TRZYŁATEK PYTA, jak znalazł się w brzuchu mamy, wystarczy odpowiedzieć, że najpierw były wtulone w siebie ciała rodziców spragnionych bliskości. Rzecz jasna, to dopiero początek – pytania dziecka i odpowiedzi dorosłych będą dojrzewać (czytaj: uszczegóławiać się) z biegiem lat, ale zawsze należy powtarzać jedno: emocja jest trampoliną do odkrywania świata seksu. Pierwszorzędnie pokazuje to książka „Uczucia, co to takiego?”, gdzie miłość idzie łeb w łeb z zazdrością, konfliktem, nieśmiałością. Autorzy nie są oderwanymi od życia idealistami: nie skupiają się wyłącznie na „motylach w brzuchu” i „odrobinie szaleństwa”, piszą też o smutku – konsekwencji odrzucenia. „Ale choć miłość czasami nas przerasta, pozwala nam też odkryć, kim tak naprawdę jesteśmy” – pada w tej książce zdanie i jest uczciwym drogowskazem na każdy kolejny rok życia.



■ **Iwona Chmielewska**
KRÓLESTWO
DZIEWCZYNI
Entliczek,
Warszawa 2014

PRZYPowieść o zagubionej dziewczynie przeistaczającej się w świadomą kobietę. Zawstydzona ciałem zmieniającym proporcje i rządzącym się dotąd nieznanymi prawami. Przerazonej sygnałami pożądania – czymś, co zawsze zostaje poza kontrolą. Pomalutku, krok po kroku, luzującej gorset powściągliwości – dającej sobie prawo do odczuwania rozkoszy i celebracji własnego piękna. Oswajającej dorosłość w kontakcie z mężczyzną – przestającą traktować go jak rywala i uznającą w nim partnera, z którym można zaznać spełnienia. W „Królestwie dziewczynki” oniryczne ilustracje są równie ważne jak tekst – oszczędny i metaforyczny, lecz dotykający istoty kobiecej seksualności o wiele przenikliwiej niż niejedna książka wyposażona w fachowe pojęcia, opisy i przekroje poprzeczne.



■ **Katharina von der Gathen,**
Anke Kuhl
ODPOWIEDZ MI! DZIECI
PYTAJĄ O INTYMNE
SPRAWY, *Dwie Siostry,*
Warszawa 2018

NAJPIERW DZIECI ZE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH na karteczkach pisały pytania. Dalej odpowiedzi pisała Katharina von der Gathen. Potem Anke Kuhl wykonała ilustracje – w ten sposób zrodziło się coś na kształt przewodnika po świecie ciała i seksu. „Odpowiedz mi” jest adresowane do obu płci, nie ma podziału „one” i „oni”, dlatego dziewczyny dowiedzą się, czym jest wytrysk, chłopcy – co to miesiącza. Autorkom z takim, humorem i bez cienia pruderii udało się opowiedzieć o sprawach najintymniejszych. Świat seksu jest pokazany pluralistycznie, z miejscem na różnorodność i odmienność. Jest też miejsce na brak zainteresowania seksem czy na seks jako wyraz stanu ducha – smutku lub radości. Uczciwie wyjaśniona jest kwestia aborcji w różnych kręgach kulturowych oraz to, co zawsze budzi przerażenie – gwałt. Ta książka – ponadideologiczna i ponadreligijna – powinna trafić do biblioteki każdego młodego człowieka.

© KATARZYNA KUBISIOWSKA

→ budowania głębokiej relacji z drugą osobą. Problemem nie jest to, jakiej użyjesz metody, by nie zejść w ciążę, tylko jaki masz stosunek do osoby, z którą współżyciesz.

– Znalezienie własnego języka jest też wielkim problemem Kościoła – kontynuuje Krzysztof Mazur. – Kiedyś nauczanie moralne, którego elementem jest etyka seksualna, było związane z nauką „o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie”. Głoszono, że są akty obiektywnie złe, za które może nas spotkać potępienie i piekło. Dziś Kościół ma kłopot z takimi sformułowaniami. Bo nie dość, że drastyczne, to nieempiryczne. Jak w świecie naukowych dowodów dowieść prawdziwości takich tez? Dlatego Kościół unika takiego tematu. Efektem ubocznym jest oderwanie nauczania o seksualności od obiektywnego dobra i zła, od nauczania o naturze człowieka i celu jego życia.

– Wobec dzieci nie stosuje się kategorii grzechu i tego naucza sam Kościół – podkreśla Agnieszka Stein. – A w przypadku starszych: jest różnica między powiedzeniem uczniowi, jakie w danej religii są oczekiwania, a przekazywaniem informacji fantastycznych, straszaniem i naruszaniem granic w celu kontrolowania.

Jak w wysmiewanym już na szczęście klasycznym straszaku, że od masturbacji pogarsza się wzrok.

Zamknięte drzwi

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby powiedzieć, iż według moralności katolickiej tego i tego nie należy robić, ale pozostawiając dziecku wolność decyzji, czy będzie się tego trzymać – uważa Stein. – To kwestia uznania podmiotowości drugiego człowieka. Ja mogę postanowić, że nie będę się masturbować, ale ciało dziecka należy do niego. Rodzice czasem pytają mnie podczas warsztatów: co zrobić, jak wejść do pokoju i zobaczyć masturbujące się dziecko? Odpowiadam: przeprosić i na drugi raz zapukać. W pewnym momencie seksualność staje się prywatną, intymną sferą człowieka, którą dzieli z tymi, z którymi chce ją dzielić. Nie zaglądamy dzieciom do łóżek i nie każmy spać z rękami na kółdrze. Szanowanie granic drugiego człowieka uważam za kluczową wartość etyczną. Chodzi o to, żeby seksualność przeżywać jako sferę, w której dokonujemy wyborów wolnych, a nie determinowanych nakazami z zewnątrz.

– Standardem powinno być prowadzenie zajęć z edukacji seksualnej opartych na zasadzie wzajemnego szacunku – dodaje Alina Synakiewicz. – Nie wyobrażam sobie prowadzenia ich „na kontrze”.

Stein: – Proponuję rozwiązania, które zgodnie z moimi przekonaniami i wiedzą wspierają dzieci w rozwoju. Ale to zadaniem czytelnika jest przełożenie tego na własne potrzeby w świetle własnych poglądów. Każdy ma prawo do przekonań tak długo, jak nie krzywdzą innych.

Mazur: – Ktoś może np. powiedzieć, że wstrzeźliwość prowadzi do wielu wewnętrznych napięć. Przyznając: tak, tylko że celem chrześcijaństwa nie jest to, żeby człowiek miał komfortowe życie tu, na ziemi. Czy mamy porzucić wymagania moralne, bo są trudne i wymagające?

Seksualizacja?

Duchowni i spora część mediów w dyskusjach na temat edukacji przez wszystkie przypadki odmieniają słowo „seksualizacja”. Dziecko jej poddane to takie, któremu opowiemy o tematach dotyczących płciowości, skracając w ten sposób niewinne dzieciństwo i deprawując.

– Ten termin dotyczy czegoś zupełnie innego – tłumaczy Stein. – Dziecko ma płęć, a więc jest istotą seksualną, od momentu zapłodnienia. Na jego funkcjonowanie i budowanie relacji z innymi wpływa fakt, że ma płęć. A seksualizacja to traktowanie dziecka jak obiektu seksualnego: przebieganie małych dzieci za dorosłych, konkursy małej miss. To zjawisko szkodliwe, bo zaprzecza godności człowieka, uprzedmiotawia go.

Prewencja pedofilii

polega na tym, że
**odpowiadam
na pytania dziecka
i szanuję jego granice.**

Jeśli na siłę je myję i ubieram,
a potem mówię: „Twoje ciało
należy do ciebie”, to ono
pomyśli: „Akurat”.

– Do coraz młodszych dziewczynek docierają komunikaty, że muszą być atrakcyjne i seksowne – dodaje Alina Synakiewicz. – W sklepach z ubraniami dla dzieci można znaleźć koszulki z logo Playboya, a w internecie zestaw do tańca na rurze dla kilkulatek. Wymóg bycia atrakcyjną i dostosowania się do norm dotyczących wyglądu ma poważne konsekwencje psychiczne; wiele dziewcząt cierpi na depresję czy zaburzenia odżywiania. Dlatego to zdecydowanie temat dla edukacji seksualnej. Młode osoby powinny być uczone asertywności i krytycznego stosunku do treści płynących z kultury masowej.

Edukatorka zdaje sobie sprawę z przekonania przeciwników edukacji seksualnej, że takie zajęcia rozbudzają seksualnie młodych ludzi: – Zainteresowanie seksem

jest normą rozwojową typową dla okresu dojrzewania, a młodzież i bez edukacji interesuje się tym tematem – wskazuje. – Jak pokazują badania przeprowadzone przez ONZ w kilkudziesięciu krajach, rzetelnie prowadzone zajęcia powodują odroczenie przez młode osoby decyzji o inicjacji seksualnej.

Polski system edukacji oferuje obecnie tylko lekcje wychowania do życia w rodzinie, i to od 10. roku życia.

– Program i podręczniki do tego przedmiotu prezentują informacje sprzeczne z osiągnięciami współczesnej nauki oraz bagatelizują potrzeby rozwojowe dzieci i młodzieży – uważa Synakiewicz. – Na zajęciach z WDŻ młodzież może np. usłyszeć, że dziewczyna, która doświadczyła gwałtu, jest sama sobie winna, bo prowokując się zachowywała, albo że bycie osobą homoseksualną to zbrodnienie, które trzeba leczyć. Choć warto podkreślić, że jest też masa wspaniałych pedagogów i pedagożek, którzy stają na wysokości zadania i starają się przekazać młodym ludziom rzetelną wiedzę.

Szkoła i zajęcia pozalekcyjne powinny pełnić funkcję jedynie pomocniczą – tu zgadzają się zarówno papież Franciszek, polscy biskupi, jak pracownicy „Pontonu”. Kluczowym środowiskiem dla dobrego rozwoju seksualnego jest rodzina.

Agnieszka Stein: – Kiedy dzieci rosną, rodzice przyglądają się własnemu życiu i uświadamiają sobie własne trudności. To szansa na rozwój. Bo jeśli mamy problem z tym, żeby porozmawiać o seksualności z mężem czy żoną, to jak mielibyśmy nauczyć tego dzieci? © MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioto, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdat, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kucmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziwilt-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Manciewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Rys, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kucmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *W brzuchu wielkiej ryby*



Z BIBLIJ NIE DOWIEMY SIĘ, JAK WYGLĄDAŁA wielka ryba. Nie wiemy też, co czuł Jonasz, gdy znalazł się w środku jej wielkiego brzucha. Ulgę? Panikę? Obojętność? Musimy w tym momencie poprosić o wyjaśnienia autorów midraszy i agad. Jeden z nich pisał, że Jonasz

w paszczy zwierzęcia miał wrażenie, jakby wkroczył do wielkiej synagogi. Dwoje oczu ryby były niczym wielkie okna, które udzielały prorokowi światła. Już sam ten opis sugeruje, że ryba została wysłana nie tylko po to, by udzielić pomocy Jonaszowi, ale też wzbudzić w nim grozę i podziw. Światło dawało mu poczucie, że nie wszystko jest stracone, że morska ciemność nie jest ostateczna i doskonała. Jonasz czuł, że ryba została wysłana nie jako kara przeciw jego pragnieniu śmierci, ale jako dzieło boskiej miłości. A sama synagoga wzywała do skruchy, modlitw, medytacji i pokory. Przede wszystkim wyrывała go z bierności, w jaką popadł na statku. Bóg użył raz jeszcze tworców natury w swoich opatrnościowych planach. Najpierw zawołał do pomocy wiatry i burzę. Potem rybę i na koniec spiekotę oraz małego robaka i krzak rycynowy. Bóg przywoływał kolejne naturalne zdarzenia, by pchać Jonasz do jego misji.

Jonasz unoszony w wielkiej rybie był – wedle zachowanych komentarzy – kimś podobnym do Dantego wędrującego po piekielnych kręgach, a ryba przypomina nam zarazem Wergiliusza, jak i komentatora Tory. Tak oto pisał dawny uczony w Piśmie. Z pewnością nie czytał „Boskiej Komedii”. Ale miał dość wyobraźni i odwagi, by zobaczyć podwodną wyprawę. „Ryba pokazała mu wielką rzekę niosącą wodę Oceanusa, jak zostało powiedziane: »wody sięgały mi aż do gardła«” (Jon 2, 6), a potem pokazała mu morze sitowia, przez które przeszli Izraelici wychodząc z Egiptu („sitowie wiło się koło mojej głowy”), zobaczył podpory ziemi („zstąpiłem do stóp gór, zawory ziemi na zawsze się za mną zamknęły”) i Gehennę („Lecz ty wydobyłeś z przepaści moje życie”). Stamtąd Jonasz wołał do „umarłych o pomoc i wysłuchałem ich głosu”. A potem doprowadziła go ryba do fundamentów ziemi, do podstaw Świątyni Jerozolimskiej („zstąpiłem do stóp gór”). Nad nią stoją od pokoleń w nieustającej modlitwie synowie Koracha. I wtedy ryba rzekła mu: módl się tutaj, a modlitwa twoja zostanie wysłuchana. „Czekaj, czekaj tutaj, będę się teraz modlił” – odpowiedział Jonasz.

Teraz wiemy, że ryba była czymś więcej niż ocaleniem. Ona otworzyła mu drogę do duchowego wzrostu. Do przemiany. Znalazł się pod Jerozolimą i w tym miejscu skrytym przed ludzkim okiem Jonasz, prorok, mógł się modlić. I dopiero wtedy, gdy Jonasz złożył „ofiara z pięknym dziękczynieniem” i rzekł: „spełnię, co ślubowałem”, ryba na rozkaz Pana wypuściła go na ląd. Ta nauczyla go podwodnych krain, tłumaczyła mu dzieła Boga i służyła w roli wygodnego pasażerskiego wehikułu, sprawnie nawigując po wielkich morzach. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Świat pod sercem*



KIEDY MÓWIMY: „W IMIĘ OJCA I SYNA, I Ducha Świętego”, tym samym ogłaszamy, że tu, gdzie teraz jesteśmy, jest Bóg, który dał nam życie na swój obraz i podobieństwo. To upodobnianie człowieka do Boga nie jest procesem mechanicznym, ale wymaga nie-

ustannej zmiany mentalności, czyli nawrócenia. Chrzęścianie nie uprawiają magii. Nie wystarczy samo wymówienie słowa „Jezus” czy deklaracja, że „Jezus jest moim Panem”. Na nic się też zda samo noszenie różańca w kieszeni, traktowanie relikwii jako talizmanu chroniącego przed złym losem, albo wody z Lourdes jako cudownego lekarstwa na wszelkie choroby. W ogóle oczekiwanie, że Bóg będzie trzymał nas pod kloszem, jest pobożną naiwnością. Takim nadziejom przeczą szeregi męczenników.

Jak w takim razie podchodzić do zagrażających nam niebezpieczeństw, jak powinniśmy się zachowywać, kiedy one już na nas spadną, żeby nasze reakcje były chrześcijańskie, a więc pełne Ducha Bożego? Odpowiedź znajdziemy obserwując, jak zachowywał się Jezus, gdy znalazł się w sytuacji podobnej do naszej. Jezus mówi, że Jego Duch będzie przypominał o tym, co było, ale też nauczy nas, jak tę biblijną wiedzę zastosować w praktyce dnia dzisiejszego. Ale żeby się czegoś nauczyć, trzeba chcieć się uczyć. W tym przypadku potrzebna jest ciągła lektura Biblii. Konfrontując nasze wyobrażenia o Bogu i sposób przeżywania wiary z Bogiem z tym, jak Boga widzieli i przeżywali ludzie, co do których wierzymy, że żyli naprawdę po chrześcijańsku, „ponieważ miłość Boga wypełniła [ich] serca przez Ducha Świętego” – zyskujemy możliwość jaśniejszego widzenia Boga w świecie.

W ósmym psalmie autor tak zwraca się do Boga: „Uczyniłeś [człowieka] niewiele mniejszym od aniołów. Chwałą i cziągą ukoronowałeś. Ustanowiłeś go nad dziełami rąk Twoich, wszystko poddałeś pod jego stopy: wszystkie owce i bydło, a także dzikie zwierzęta, ptactwo powietrzne i ryby morskie, wędrujące szlakami mórz”. Nasza dzisiejsza wrażliwość ekologiczna wzdryga się słysząc, że całe stworzenie ma leżeć u stóp człowieka, niby niewolnik przed panem. Słusznie. Duch Święty, przez encyklikę „Laudato si”, umacnia ten sprzeciw serca i rozumu.

Dziesiątki lat temu Pierre Teilhard de Chardin pisał, że tak jak w pierwszych wiekach istnienia Kościoła głównym przedmiotem zainteresowania teologii było rozumowe i mistyczne określenie miejsca Chrystusa w Trójcy Świętej, tak dziś jej najważniejszym zadaniem jest określenie – pod kątem bytowym i pod względem oddziaływania – relacji pomiędzy Chrystusem a wszechświatem”. W innym miejscu dodaje: „głównym fundamentem mej wiary jest miłość. Za bardzo Kocham wszechświat, który mnie otacza, bym miał mu nie ufać”. Świat zatem mamy mieć nie pod stopami, ale pod sercem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Kompas zamiast GPS

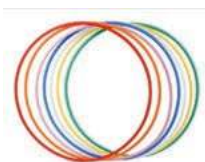
Jedno jest
najwyższą zasadą. (...)
A nie jest jednym z bytów,
lecz jest czymś więcej.
Lecz wobec siebie
nie jest czymś więcej
– jest, czym jest.

APOKRYF JANA



Każdy byt istnieje dzięki
jedności. (...) Jeśli ją utraci
– nie jest już tym,
czego nazwę nosi.

PLOTYN



NIEWIELKI – PRZYWO-
łany niedawno przez
Liturgię – fragment
18. rozdziału „Dziejów
Apostolskich” (Dz 18,
23-28), opowiadający
o spotkaniu najbliższych współpracowni-
ków św. Pawła – Pryski i Akwili z Apollo-
sem, aż dwukrotnie nazywa chrześcijań-
stwo „drogą”: „Znał on [Apollos] już drogę
Pańską”, i potem: „wyłożyli mu dokładnie
drogę Bożą”. W tym drugim przypadku
w wielu lekcjach owego wersetu nie-
obecne jest ostatnie słowo. W ten sposób
„Droga” staje się nazwą własną – nowym
imieniem chrześcijaństwa.

Wiara jest drogą. Ważne – by to pamię-
tać.

Mówimy czasami – idąc za Słowem – że
wiara jest „słuchaniem”; rodzi się ze słu-
chania, jest przyjęciem Słowa. Jest także
według Pisma rodzajem wzroku – widze-
niem wszystkiego na nowy sposób, wi-
dzeniem po Bożemu; ślepotą, a zwłaszcza
zaślepieniem jest symbolem niewiary. Jest
więc wiara słuchaniem i widzeniem. Jest
jednak także drogą, a dokładniej „pójściem
w drogę”, gdyż nie chodzi jedynie o po-
tencjalną wędrówkę – nie chodzi jedynie
o teoretyczną znajomość drogi (bez wyru-
szenia w nią).

Nie wystarczy widzieć i słyszeć – jeśli
mnie to nie uruchamia.

Widzieliście kiedyś Rysy? Na zdjęciu?
Na filmie? Z poziomu Morskiego Oka?

A może słyszeliście opowiadania ludzi,
którzy poszli na Rysy – w lecie, jesienią,
a może nawet w zimie?

Zupełnie inną emocję wywołują w nas
jednak inne pytania: byliście kiedyś na
Rysach? A byliście na Rysach w jednym
z tych dni, kiedy widać z nich tysiąc szczy-
tów? (To wtedy dopiero mamy doświad-
czenie prawdy wyrażonej przez Franciszka
w „Lumen fidei”, że „wiara widzi w takiej
mierze, w jakiej się porusza naprzód” – ze
szczytu rozciąga się widok, którego na dole
nie sposób sobie nawet wyobrazić).

A odkryliście w trakcie wędrówki zmianę
dokonującą się w was samych, albo w rela-
cjach między wami a towarzyszami drogi
– poczuiliście się zespołem? Wspólnotą lu-
dzi, którzy mogą na siebie liczyć? W której
tempo dyktuje najsłabszy? Bez jakichkol-
wiek pretensji, żalu i wyśmiania?

Wiara jest drogą – na pewno nie jest jedy-
nie znajomością marszruty.

Fragmentowi „Dziejów” towarzyszyła
w Liturgii perykopa zaczerpnięta z Ewan-
gelii Janowej – również mówiąca o drodze –
o drodze podjętej przez Jezusa: „Wyszedłem
od Ojca i przyszedłem na świat; znowu
opuszczam świat i idę do Ojca” (J 16, 28).

Mamy w tym zdaniu zapisany plan
drogi. Powie ktoś pewnie: mało szczegó-
łowy; niedokładny; więcej niż skromny.
Ujęto w nim jedynie dwa punkty: punkt
wyjścia i punkt dojścia. A sama droga?

Musi być pewnie indywidualnie wy-
pracowana i odnaleziona. Będzie mieć
z całą pewnością bardzo osobisty i twór-
czy przebieg. Ten brak szczegółowych od-
powiedzi (podpowiedzi) dobrze się chyba
ma do stwierdzenia ostatniego Synodu
Biskupów, iż Pan Bóg woli wyposażać nas
w kompas, a nie GPS. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 VI)

Uroczystość Najświętszej Trójcy:

Prz 8, 22-31; Ps 8; Rz 5, 1-5; J 16, 12-15;

Poniedziałek: 2 Kor 6, 1-10; Ps 98;

Mt 5, 38-42;

Wtorek: 2 Kor 8, 1-9; Ps 146; Mt 5, 43-48;

Środa: 2 Kor 9, 6-11; Ps 112; Mt 6, 1-6. 16-18;

Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa:

Rdz 14, 18-20; Ps 110; 1 Kor 11, 23-26; Łk 9, 11b-17;

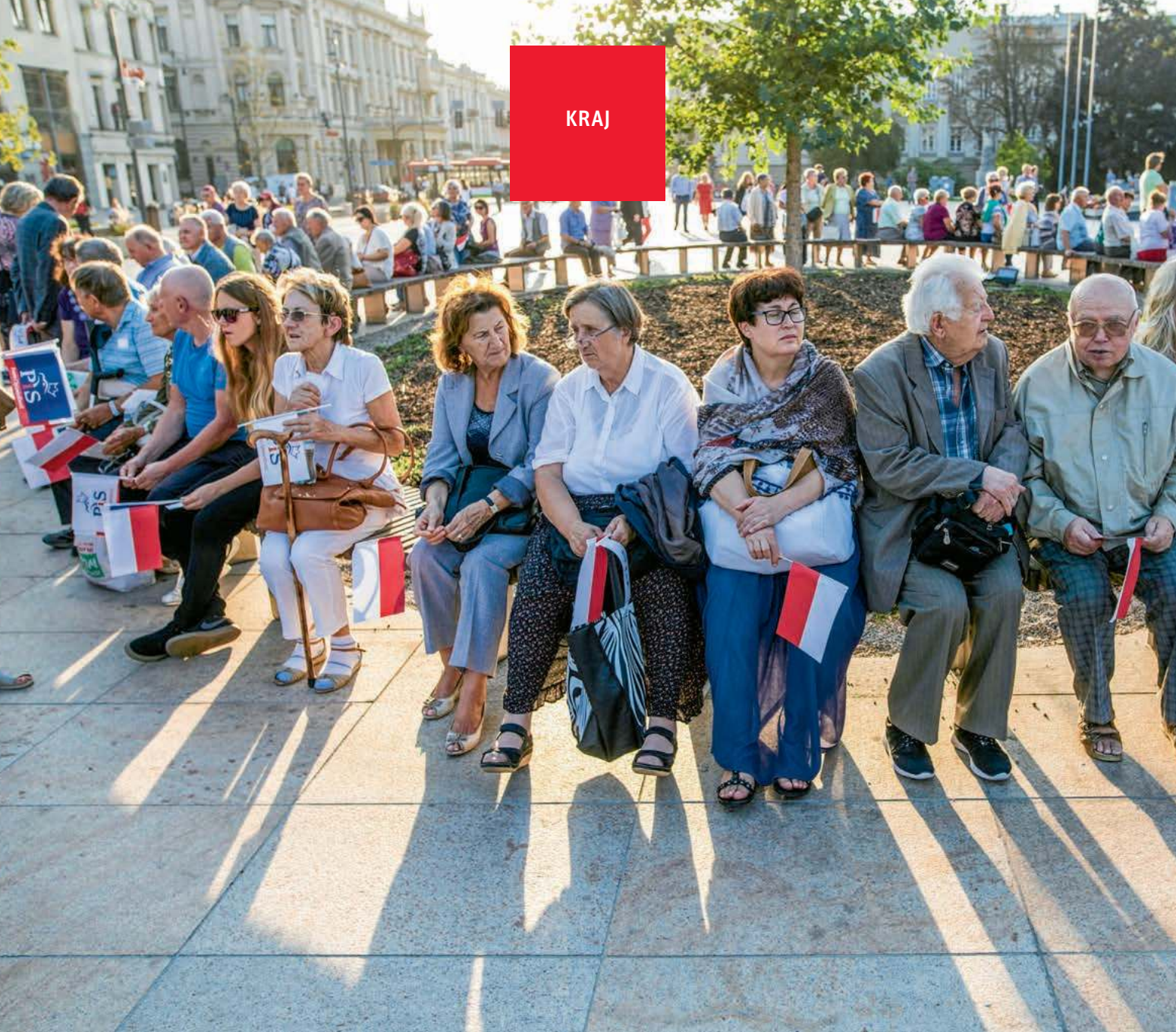
Piątek: 2 Kor 11, 18. 21b-30; Ps 34; Mt 6, 19-23;

Sobota: 2 Kor 12, 1-10; Ps 34; Mt 6, 24-34;

12. niedziela zwykła: Za 12, 10-11; 13, 1; Ps 63;

Ga 3, 26-29; Łk 9, 18-24.

Wybrał PIOTR SIKORA



KRAJ

NASZA PLEMIENNA DEMOKRACJA

Psychologiczny aspekt jesiennych wyborów jest niezwykle ważny. Chodzi w nich nie tylko o władzę, ale również, mówiąc najłagodniej: o satysfakcję. O poczucie wyższości i niższości – odczuwane przede wszystkim przez wyborców.

RAFAŁ MATYJA



*Spotkanie mieszkańców Lublina
z Beatą Szydło, wrzesień 2018 r.*

państwa w tym zakresie, w jakim reguluje go nie konstytucja, lecz praktyczne reguły.

W opublikowanej 15 lat temu książce „Demokracja nieformalna” Artur Wołek dobrze pokazywał różnice między krajami, w których reguły formalne (konstytucyjne) i nieformalne są do siebie zbliżone, a takimi, w których konstytucją można sobie głowy nie zawracać, bo to, co realne, opiera się na innych niż ona zasadach. Przez lata żyliśmy nadzieją, że to, co formalne, i to, co realne, będzie się u nas zbliżać, że dyskomfort właściwy wielu postkomunistycznym demokracjom będzie słabł. Zwłaszcza z odejściem elit postkomunistycznych.

To ostatnie okazało się jednym z najważniejszych błędów intelektualnych mojego pokolenia. Do większego ugruntowania formalnych reguł władzy przyczyniły się związki organizacyjne z Zachodem, NATO czy UE, a w procesie ich nawiązywania prezydent Kwaśniewski był bardziej konsekwentny i jednoznaczny niż prezydent Wałęsa. Dziś wybór nie dotyczy tylko tego, kto będzie nami rządził, ale też – na ile będzie prowadził do zachwiania reguł formalnych na rzecz nieformalnych. I jaka będzie logika tych nieformalnych porządków.

Realne strategie rządzenia

Podstawowy zarzut, który sformułowałbym wobec PiS, dotyczy poważnego zakwestionowania poczucia pewności, jakie daje respektowanie przez polityków formalnych reguł gry. Wprowadzenia strategii rządzenia, w której kluczowe zasady określa doraźnie Jarosław Kaczyński. Nie tylko w obrębie własnego obozu, ale i w obrębie tego, co dopuszczalne i niedopuszczalne w sferze państwowej. Paradoks polega na tym, że sama reguła arbitralności – ocierająca się o zasadę władzy stojącej ponad prawem – jest groźniejsza niż jej takie czy inne przejawy, takie czy inne decyzje.

Podstawowa różnica jest dla wyborców trudniejsza do uchwycenia. Nie dotyczy bowiem sfery socjalnej, nawet nie projektów ustrojowych i politycznych, ale ubocznych skutków prowadzonej poli-

tyki. Model państwa, będący wynikiem rządów PiS – nie jakiegos planu państwowego tego ugrupowania, ale skutków projektu partyjnej hegemonii – jest destrukcyjny dla słabnącego państwa, dla podzielonego emocjonalnie społeczeństwa, dla zdolności osiągania wspólnych celów.

W chłodnych kalkulacjach można stwierdzić, że opozycja nie jest w stanie – nawet gdyby chciała – prowadzić takiej polityki. Nie jest do niej zdolna strukturalnie, ze względu na wewnętrzny pluralizm, relacje z własnym – bardziej podmiotowym – zapleczem oraz mniejszy poziom akceptacji dla zachowań autorytarnych wśród jej działaczy. Świadomie piszę o zachowaniach, a nie o rozwiązaniach ustrojowych – samo odsunięcie od władzy PiS nie oznacza automatycznie, że na trwałe zniknie niebezpieczeństwo zachowań czy procedur właściwych porządkom autorytarnym. Ale nagromadzenie takich zjawisk pod rządami PiS też nie jest rzeczą przypadkową.

Czy Prawo i Sprawiedliwość może zawrócić z tej drogi, odstąpić od zamiaru podporządkowania sobie lub obezwładnienia – metodą Orbána – mediów prywatnych? Czy możemy sobie wyobrazić, że zmieni zasadniczo strategię i nie dokona na początku nowej kadencji rządów następnej radykalnej deformalizacji reguł? Bez czekania na większość konstytucyjną, z przekonaniem, że wystarczy kontrola nad procesem legislacyjnym i ciągiem technologicznym, pozwalająca na rozprawę z opozycją i przeciwnikami społecznymi, takimi jak sędziowie, nauczyciele czy dziennikarze. Rządy PiS będą wiązały się z ryzykiem osłabiania reguł formalnych, łamania barier ograniczających swobodę działania rządu, polityzacji coraz szerszych obszarów życia publicznego.

Jednak obok opisanej wyżej, fundamentalnej różnicy między PiS a opozycją rządu – bez względu na ich barwę – napotkają wspólne wyzwania. Warto myśleć także o nich, bo żadna ustrojowa czy polityczna przewaga ich nie unieważni.

Listopadowe dylematy

Ostrość rywalizacji między obozem rządzącym a opozycją jest tak duża, że myślamy rzadko wykraczamy poza horyzont październikowych wyborów. To nasze „wszystko albo nic” podnosi emocjonalną temperaturę rozgrywki. I sprawia, że dla

NAJBLIŻSZE CZTERY MIESIĄCE BĘDĄ BARDZO nerwowe, o wyniku wyborów decydować może to, kto popełni mniej błędów, a nie to, kto będzie lepiej przygotowany. Jesienią jednak zacznie się nowa kadencja. Stawką wyborów nie są tym razem konkretne programy, ale emocje i oczekiwania, a w głębszej warstwie – realne strategie rządzenia.

Emocje mają korzenie w postawach ukształtowanych w minionym 15-leciu wojny między PiS a PO. Oczekiwania są związane z socjalnymi programami PiS oraz obietnicami składanymi przez liderów opozycji. Ale jest też inna, ukryta stawka: wybór ścieżki zmian ustroju

→ jakiejś części, mówiąc śmiało – dla połowy Polaków wynik będzie nie do zniesienia.

Psychologiczny aspekt wyborów jest niezwykle ważny. Chodzi w nich nie tylko o pragmatycznie rozumianą władzę, ale również, mówiąc najłagodniej: o satysfakcję. O poczucie wyższości i niższości, odczuwane nie przez partyjne kadry, ale przede wszystkim przez wyborców, zwolenników, ludzi zainteresowanych polityką. Ze względu na te emocje w wielu krajach pierwsze powyborcze wystąpienia polityków, którzy wygrali, skierowane są do pokonanych – wyraźny znak, że kampania się skończyła. U nas tak nie będzie. Nie tylko dlatego, że wiosną przyszłego roku mamy wybory prezydenckie. Przede wszystkim dlatego, że elektoraty nie oczekują gestów pojednania, ale chcą „satisfakcji”.

To dlatego wśród zwolenników PiS słyszy się słów oburzenia na urągającą dzień w dzień opozycji i jej zwolennikom publiczną telewizję. To dlatego nie było słów sprzeciwu ani po „gorszym sorcie”, ani po „zdradzieckich mordach”. Czy opozycja – jeżeli wygra – będzie mogła rzucić inaczej, bez dawania takiej satysfakcji swoim? Nie wiem, szczęśliwie jest bardziej spluralizowana, a jej rzecznicy bardziej krytyczni. Ale zwycięstwo jest zwycięstwem.

Nie wierzę w podjęcie przez którąkolwiek ze stron działań pojednawczych. Ale uważam za możliwe zrozumienie psychologicznych konsekwencji ostrej rywalizacji jako wyzwania dla rządzenia. Zwłaszcza jeśli mamy w pamięci zachowania prawicy sprzed czterech lat, niepodobne do działań żadnego zwycięskiego obozu w III RP.

Następna kwestia, która będzie wyzwaniem dla każdej ekipy, to projekt finansowania działań rozwojowych. Podjęte przez rządzących zobowiązania socjalne – przede wszystkim 500 plus i dodatkowe świadczenie emerytalne – pojawiają się w przyszłym budżecie. Pierwsze w skali większej niż w tym roku, bo obejmujące 12 miesięcy, a nie cztery. Fundamentalne pytanie brzmi: jakie cele rozwojowe będzie można w tych warunkach realizować, a jakie trzeba będzie na długo (nawet w warunkach korzystnej koniunktury) porzucić?

Weźmy np. sprawę, w której przez lata PiS zdawał się być bardziej empatyczny niż koalicja PO-PSL: wyrównywanie standardu usług publicznych w dużych

Logika paternalizmu nie znosi współdziałania.

A jeszcze bardziej
respektowania czyjejś
przewagi.

miastach i na prowincji. Ostatnie lata pokazały, że to PiS jest partią ostentacyjnie centralistyczną i – co gorsza – ostentacyjnie lekceważącą interesy sektora publicznego. A to poziom tych usług – ściśle związany z nakładami na nie – przekłada się na jakość życia tych grup społecznych, które nie mogą świadczeń oświatowych czy zdrowotnych opłacić samodzielnie.

Dziś o ich poparcie łatwiej walczy się transferami „do kieszeni”, bo skutków zaniedbań w sektorze publicznym nie widać tak szybko, żeby budziło to zaniepokojenie. Gdzieś zamknął szpital, ktoś nie dostanie się na uczelnię, gdzie indziej zlikwidują ostatnie połączenie do miasta powiatowego. To wszystko nie działa na wyobraźnię zbyt mocno. Ale proces postępuje. I będzie postępować, jeżeli nie stworzy się programów obliczonych na powstrzymanie wyludniania się prowincji (a co za tym idzie, także spadku środków publicznych w samorządach), na przeciwdziałanie „zwijaniu się państwa”, wreszcie na wzmocnienie lokalnych elit, poprzez rozsądne programy budowy instytucji.

Szanse – finansowe i mentalne – na realizację takiego programu są dziś mniejsze niż kiedykolwiek. Finansowe – bo margines swobody w budżecie będzie mniejszy, a skłonność do znanej już dobrze decentralizacji deficytu publicznego, czyli przerzucania kosztów polityki rządu na samorządy, rośnie. Rośnie wraz z mentalnym centralizmem władzy, która lubi popisywać się hojnością, a nie umie wprowadzać rozwiązań systemowych. Różnicę między wypłatą dodatkowego świadczenia emerytalnego a pomysłem na usprawnienie transportu lokalnego dostrzec nietrudno. Wypłaty dokonać łatwo i jest politycznie skuteczna. Pomysł usprawnienia transportu prawdopodobnie podzieli losy tych obietnic PiS sprzed czterech lat, które okazały się koncepcyjnie za trudne.

Łagodzenie się nie opłaca

Trzecia kwestia, będąca wyzwaniem dla każdego rządu, to sytuacja w oświacie, spowodowana niefrasobliwą realizacją pomysłu likwidacji gimnazjów. Przerzucenie ciężaru rozwiązywania problemu na samorządy, a skutków na rodziców i dzieci nie sprawi, by rząd mógł abstrahować od tej kwestii. Najgorzej będzie, gdy potraktuje to jako wyzwanie wizerunkowe i uzna, że najważniejsze, by nie stracić w oczach swoich wyborców. Lepiej, jeżeli spróbuje wskazać sposoby łagodzenia konsekwencji, które mogą zaciążyć choćby na perspektywach dalszej edukacji uczniów należących do „podwójnego rocznika”. To nie jest niemożliwe, ale wymaga myślenia w kategoriach odpowiedzialności za skutki polityki.

Takiego samego myślenia należałoby oczekiwać w kwestii czwartej, związanej z ochroną środowiska, walką ze smogiem i skutkami zmian klimatu. Ta kwestia była często sprowadzana do działań poprawiających wizerunek rządu, ale rzadko traktowana jako wyzwanie wymagające współdziałania na wszystkich szczeblach władzy i – ze względu na skalę wyzwania – także instytucji sektora prywatnego i organizacji społecznych. Tyle tylko, że to do technologii sprawowania władzy – zwłaszcza po roku 2015 – nie pasuje. Logika paternalizmu nie znosi współdziałania. A jeszcze bardziej respektowania czyjejś przewagi.

Aby sprostać choćby tym czterem wyzwaniom, trzeba rządzić w sposób zupełnie inny od tego, z którym mieliśmy do czynienia w ostatnich latach, ale także w sposób inny od tego z lat 2007-15. Wymaga to myślenia o alternatywie nie tylko wyborczej, ale także politycznej – dotyczącej sposobu działania władzy. Jeżeli – a takie pokusy po stronie opozycji są silne – różnica będzie polegać tylko na tym, kto będzie rządził oraz której grupie społecznej będzie dawał moralno-światopoglądową satysfakcję, problemy strukturalne będą się kumulować. A zdolność do ich rozwiązania przez następnych spadnie.

Nie wiem, czy dzisiejsza opozycja pokona ów psychologiczny próg lepiej niż PiS. Dziś wielu chce wygrać po to, by odreagować upokorzenia, jakich „druga Polska” doznała od rządzących, z ust hierarchów kościelnych, prawicowych autoritetów moralnych i internetowych hejtów. To generalne nastawienie trzeba bę-

dzie jakoś przełożyć na decyzje dotyczące kształtu mediów publicznych, sposobu postępowania ze skutkami działań PiS w wymiarze sprawiedliwości, w sferze porządków parlamentarnych i praw opozycji.

Samo wskazanie, że nie można kopiować rozwiązań PiS, jest pustą publicystyką. Działania w tej sferze przypominają bowiem pracę sapera, który ma rozbroić bombę nienawiści, ale zarazem przeżyć. Mówiąc bez metafory: łagodzić konflikt w sposób, który nie prowadzi do przyspieszonej utraty władzy. W logice kierownictwa partyjnych ostatnich lat postulat ten bardzo łatwo przekształcał się we wskazówkę odwrotną: zaostrzać konflikt, by dał lepszą perspektywę utrzymania władzy.

Pewną szansą wydawało się pojawienie nowych ugrupowań, nieuwarunkowanych tak silnie logiką konfliktu. Ale patrząc na to, co stało się z Nowoczesną i klubem Kukiz w ostatniej kadencji, nie mam już większych złudzeń dotyczących potencjału zmiany tkwiącego w tego typu projektach. Nowe szyldy, stare emocje. Często odrobinę przekierowane, inaczej wyrażone. Ale bez zdolności budowania bardziej cywilizowanych reguł gry.

Ocalić rdzeń symetrii

O tym wszystkim bardzo źle się opowiada w języku kampanii wyborczej. Ba – także w języku dominującej przez ostatnie cztery lata codziennej i niemającej nic wspólnego z wyborami rywalizacji. Dlatego prognoza podstawowa brzmi: zapewne przez najbliższe lata nie wyjdziemy z toksycznego klinczu. Co więcej, będziemy płacić za to twardą walutą spo-

łecznego rozpadu i rządowej nieudolności. Ostra konkurencja nie będzie – jak w miastach rynkowej i politycznej rywalizacji – skutkować poprawą jakości oferty, ale podkręcaniem emocji.

Nic nie wskazuje na to, by w kampanii prezydenckiej mógł się pojawić kandydat spoza tego toksycznego podziału. Zatem także następna runda rywalizacji umocni dotychczasową logikę sporu. Co więcej – wszelkie wypowiedzi i strategie publiczne będą w naturalny sposób redukowane do tej logiki. Przestrzeń politycznego – a nie tylko retorycznego – symetryzmu po wyborach europejskich skurczyła się do zera. Częściowo wynika to z siły głównych graczy, częściowo z błędów popełnionych przez tych, którzy do symetryzmu się odwoływali.

Symetryzm był epitetem, który miał określić zasadę równego dystansu wobec PO i PiS. W praktyce nie stosował go nikt. W sferze politycznej Kukiz był zawsze bliżej PiS, a Biedroń bliżej PO. Podobnie zresztą było z publicystami posługującymi się tym pojęciem. Kampania wyborcza do parlamentu czyni symetryzm poglądem, który jest do utrzymania jedynie jako postawa „wynik wyborów jest mi obojętny”.

Jednak sensownym rdzeniem większości postaw symetrycznych było stwierdzenie, że nie warto „w ciemno” akceptować wszystkiego, co robi strona, która jest nam bliższa. Podobnie jak nie wolno potępiać w czambuł wszystkiego, co robią ci, którzy są po stronie przeciwnej. I właśnie ten sensowny rdzeń warto ocalić. Nie w myśleniu o tym, co zdarzy się w najbliższych czterech miesiącach, ale o tym, co stanie się potem.

W zero-jedynkowym sporze politycznym nie sposób unikać zaangażowania po jednej ze stron. Ale wielu ludzi ze sfery akademickiej czy z obszaru mediów uznało za stosowne użyć swojego talentu do takiego opowiadania się po „słusznej stronie” (każdej ze słusznych stron!), która niszczy przeciwnika, a przy okazji przyczynia się do destrukcji sfery publicznej. Powtarzanie kłamstw, mniej lub bardziej wyrafinowanych inwektyw, obrona działań lub słów nie do obrony – stało się obyczajem, a nie wyjątkiem od reguły. Bez większego zresztą skutku wyborczego. To nie jest tak, że skandalizujące wypowiedzi komentatorów wzmacniają własny obóz. Ich konsekwencją może być – oprócz osobistej popularności ich autora – ułatwienie życia politykom.

Podstawowe wskazanie polega zatem na tym, by nie porzucając poglądów i sympatii, wypowiadać się tak, by nie podnosić emocjonalnej temperatury konfliktu, nie mącić w głowach wyborcom, nie czynić sporu bardziej toksycznym. Słowem – by nie dolewać oliwy do ognia. A w perspektywie powyborczej – by wzmacniać te wątki, które przekładają się na rozliczanie z dobrych rządów, a nie z dawania satysfakcji „swoim”.

W nieplemiennym rozumieniu demokracji owo rozliczanie jest jedynym narzędziem presji na państwo. W plemiennym chodzi tylko o to, czyje będzie na wierzchu.

© RAFAŁ MATYJA

Autor (ur. 1967) jest politologiem, wykładowcą WSiIZ w Rzeszowie. Ostatnio ukazała się jego szeroko dyskutowana książka „Wyjście awaryjne” o życiu publicznym w Polsce. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



„OPOWIEŚĆ PODRĘCZNEJ” W WYSZKOWIE

W **środę 12 czerwca** uczniowie I LO im. C.K. Norwida spotkają się z **BARBARĄ KLIKĄ**, żeby dyskutować o „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood.

Lekcja odbędzie się w Miejsko-Gminnej Bibliotece Publicznej w Wyszkowie. Spotkanie organizowane jest w ramach projektu „Mój status: REaD” – olimpiady społecznej „Zwolnieni z teorii”.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na  / LekcjeCzytania



Lipski murem podzielony

RAFAŁ WOŚ

Jeśli ktoś zastanawia się, czy jest w Polsce zapotrzebowanie na lewicę spod znaku demokratycznego socjalizmu, powinien dobrze przemyśleć losy PPS w ostatnich 30 latach.

BERNIE SANDERS ZAWALCZY O PREZYDENTURĘ USA. Jeremy Corbyn może zostać następnym premierem Wielkiej Brytanii. W Meksyku Andrés Manuel López Obrador (zwany AMLO) został już prezydentem. Co łączy tych polityków? Deklarują się jako „demokratyczni socjaliści”. To jedna z najgorętszych propozycji politycznych ostatnich lat. O czym niedawno (z mieszanką przestrochu i zaciekawienia) pisał na okładce nawet londyński „The Economist”.

Ale dlaczego nie w Polsce? Aby odpowiedzieć na to pytanie, wybierzmy się w małą podróż w czasie do początków III RP. Okazją niech będzie osnące zainteresowanie tym zapomnianym rozdziałem przemian, który wiąże się ze wzlotem i upadkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Najnowszym tego przejawem jest świetna biografia Jana Józefa Lipskiego autorstwa historyka Łukasza Garbala.

Co to jest Solidarność?

Listopad 1986. 23-letni opozycjonista Grzegorz Ilka jest poirytowany postawą solidarnościowej „starszyny”. „Prawda jest brutalna. Solidarność w ogóle nie zajmuje się dziś sprawami pracowniczymi. Jeżeli nie podejmie się tego tematu, to za chwilę opozycja straci kontakt z zakładami pracy” – alarmuje w liście przesłanym do Londynu do Lidii Ciołkoszowej, ostatniej żyjącej członkini władz przedwojennej PPS. Ilka jest zafascynowany etosem tej partii, połączeniem w jeden polityczny pakiet

trzech tęsknot jego pokolenia: wolności politycznej, równości społecznej i niepodległości Polski. Swoje listy podpisuje „A.G. Rawicki” – od więzienia w Rawiczu, w którym komuniści zamęczyli Kazimierza Pużaka. Frustracja nie jest bezpodstawną. Na łamach podziemnej prasy toczy się poważny spór. „Solidarność znaczy dziś reforma” – pisze w wydawanym przez Region Mazowsze tygodniku „Wola” Tomasz Litwin. To pseudonim, za którym kryje się wówczas 32-letni Michał Boni, wkrótce jeden ze współtwórców polskich przemian. Ilka organizuje odpowiedź pt. „Solidarność znaczy obrona praw pracowniczych”. To głos Grupy Politycznej Robotników. Jej trzon stanowią 20-, 30-latkowie: Piotr Ikonowicz, Cezary Miżejewski, Tomasz Truskawa, Małgorzata Motylińska i inni.

To pierwszy ważny trop. Bo zgodnie z kanoniczną opowieścią o polskim przełomie pomysł skoku na główkę w wolnorynkowy kapitalizm zrodził się dopiero trzy lata później. Historia przypomniana w biografii Lipskiego temu przeczy. Choć nazwisk Balcerowicz czy Sachs nikt tu jeszcze nie wymienia, to kierunek przemian zostaje już wówczas wyznaczony. „Młodzi” chcą sformułować alternatywę. Do tego potrzebują jednak sojuszników w gronie solidarnościowych „starych”. Bardzo liczą na Jacka Kuronia, ale ten kłuczy. „Jemu się marzy Polska Partia Solidarności. Oczywiście pod kierunkiem jego i kolegów” – zrymują się po rozmowie z Kuroniem latem 1987 r.



Jan Józef Lipski legitymowany przez milicję. Rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim, 17 kwietnia 1983 r.

Trochę na zasadzie drugiego wyboru trafiają na Jana Józefa Lipskiego. Opozycyjnego intelektualistę o pięknej karcie (Szare Szeregi, powstanie warszawskie, List 34, KOR), dysponującego wielkim autorytetem. Dzięki umiejętności łączenia różnych dysydenckich środowisk Lipskiego nazywa się czasem „prezydentem opozycji”. JJJ zapala się do współpracy z młodymi. 15 listopada 1987 r. w świetlicy Pracowniczych Ogródków Działkowych przy ul. Odyńca w Warszawie gromadzi się ok. 40 osób. Podjęły uchwałę o powołaniu Polskiej Partii Socjalistycznej. „Zaczyna się dyskusja o kształcie przyszłej Polski. Byłoby dziwne, niezdrowe i niebezpieczne, gdyby zabrakło w niej głosu polskiej lewicy” – tłumaczy Lipski w wywiadzie dla rozgłośni Głos Ameryki.

Podpalacze

Do niedawna wokół PPS Lipskiego panowała atmosfera jak ze szkolnej akademii. Oficjalnie wszyscy (od Adama Michnika po Jarosława Kaczyńskiego) czują się jego uczniami. Jednocześnie tylko niewielu zadało sobie trud opowiedzenia historii tej niecodziennej formacji.

– Teraz to faktycznie wszyscy nas po plecach poklepują – mówi Cezary Miżejewski. Rocznik 1964, przyjaciel Ilki z czasów uniwersyteckich, w PPS od początku. – Ale wtedy wcale nie było miło. Wtedy byliśmy dla wierzchołki Solidarności „oszołomami” i „podpalaczami Polski” – dodaje.

– Niszczyli nas, jak tylko mogli. Zwłaszcza świta premiera Mazowieckiego i familia Geremka – uważa Adrian Stankowski, rocznik 1966, wówczas rzecznik prasowy PPS. Nawiązuje rzecz jasna do tekstu Piotra Wierzbickiego „Familia, świta, dwór” z grudnia 1989 r., w którym tak nazwano koterie w łonie solidarnościowej władzy. Ta pierwsza sprzymierzy się niebawem z tą drugą przeciwko „dworowi” Lecha Wałęsy, i to będzie słynna wojna na górze.

– Byliśmy konkurencją, również jeśli chodzi o finanse. Unia Demokratyczna na początku lat 90. stosowała we Francji dopisek „*parti socialiste*”. To pomagało zbierać fundusze i dominować opinię publiczną. W Polsce natomiast uważali nas za skansen i tak traktowali. Dzięki mediom głównego nurtu tak też byliśmy postrzegani – to z kolei głos Zuzanny Dąbrowskiej, wówczas członkini władz partii, a dziś dziennikarki „Rzeczpospolitej”.

Niechęć do PPS miała dwie głębsze przyczyny. Po pierwsze, partia Lipskiego pryncypialnie odrzucała legitymację Okrągłego Stołu do bycia mitem założycielskim nowej Polski. W następnych miesiącach to PPS głośno domagał się jak najszybszego dokończenia procesu demokracji. „To jeszcze nie jest niepodległość” – mówił Lipski w Londynie 4 lipca 1989 r. To ironia losu, że dziś opór wobec zbyt łatwego dogadywania się z komunistami kojarzy się nie z PPS, lecz z Jarosławem Kaczyńskim, który był przy Okrągłym Stole jednym z ważniejszych graczy.

Ale był jeszcze drugi powód wrogości wobec PPS. To opór przeciw terapii szokowej Leszka Balcerowicza. Spełniała się wizja, przed którą Ilka przestrzegał trzy lata wcześniej Ciołkoszowa. Zazwyczaj słyszemy przy tej okazji, że „nie było wtedy żadnej alternatywy”. Samo istnienie PPS jest jednak żywym dowodem, że taka alternatywa istniała. Protestował Lipski w parlamencie (w 1989 r. został wybrany senatorem z okręgu radomskiego). W prowadzonej w ekspresowym tempie debacie nad planem Balcerowicza mówił, że Polska po terapii szokowej będzie bardziej przypominała Brazylię niż Niemcy. Lipski jako jeden z pierwszych mówił o „uwłaszczaniu się nomenklatury na majątku publicznym”. W zasadzie antycypował retorykę, którą dopiero po roku 1992 podejmą Jarosław Kaczyński i Jan Olszewski.

Wiosną 1991 r. Lipski pojechał do Londynu na kontrolę stanu serca. Po powrocie ujawniły się komplikacje. Konieczna była

PPS odrzucała legitymację Okrągłego Stołu do bycia mitem założycielskim nowej Polski. „To jeszcze nie jest niepodległość!” – mówił Lipski 4 lipca 1989 r.

operacja. Lipski zmarł w wyniku powikłań. Jego partia tej śmierci też w zasadzie nie przeżyła. W 1993 r. pęknie nieodwołalnie. Jednak już wcześniej widoczne były napięcia. „Chciałem nawet do PPS wstąpić, ale akurat nie było mnie w Warszawie, jak ją zakładali. Po dwóch tygodniach już wiedziałem, że nie wstąpię, bo tam się zaczęły straszne awantury i podziały” – mówił kilka lat temu Zbigniew Romaszewski w autobiograficznej rozmowie z Piotrem Skwiecińskim. Biografia Łukasza Garbała pokazuje, że nie zawsze te podziały były tylko winą gorących głów młokosów czy też ich wybujałych ambicji. Bardzo często właśnie podsycali celowo PRL-owskie służby, zwłaszcza na początku działalności PPS, gdy władza bardzo się tej próby zajęcia z lewej flanki obawiała. W wyborach 1991 r. zdeorientowani śmiercią „prezydenta” działacze kandydowali z list Solidarności Pracy (z której wyróżnie wkrótce Unia Pracy). W 1993 r. z list SLD do Sejmu weszło trzech pepesowców. Dla wielu sojusz z dawnym wrogiem był zdradą. Na dodatek postkomuniści stopniowo sobie przystawkę okiełznali i spalażowali. Dziś PPS formalnie istnieje, ale nie odgrywa już najmniejszej roli.

Scheda po Pużaku

16 marca 2019 r. zmarł Grzegorz Ilka. Ten sam, który pod koniec lat 80. w zasadzie wymyślił PPS. Teoretycznie powinien być w ostatnich latach u szczytu politycznej aktywności. Wyszło inaczej. Próbował działać w OPZZ, ale skarżył się na skostnienie związkowej centrali. Pod koniec lat 90. zakładał Konfederację Pracy – pierwszy w Polsce związek zawodowy, który zajął się obroną ludzi do tej pory nieuzwiązkowanych – choćby pracowników hipermarketów. Żył ubogo.

Nad grobem przemawiał jego przyjaciel Cezary Miżejewski. On przynajmniej

zaliczył epizod poselski (1993-97). Był też doradcą SLD-owskiego ministra pracy Jerzego Hausnera. Dziś jest przewodniczącym Ogólnopolskiego Związku Rewizyjnego Spółdzielni Socjalnych. Pytany o to, kto dziś najlepiej wyraża ducha dawnego PPS, bez wahania wskazuje na Partię Razem. Podobnego zdania jest Zuzanna Dąbrowska. Ostatnio z Razem siły zjednoczył po kilku latach wzajemnej nieufności polityczny wiarus Piotr Ikonowicz, przywódca PPS po śmierci Lipskiego i sprawca porozumienia z SLD w roku 1993.

Ale powiedzieć, że Razem to PPS na miarę potrzeb i możliwości XXI wieku, byłoby uproszczeniem. Znacząca grupa PPS-owskich towarzyszy jest dziś politycznie zupełnie gdzie indziej. Krzysztof Karwowski jest dyrektorem Agencji Kreacji Publicystyki i Dokumentu w TVP, a tym samym jednym z najbliższych współpracowników prezesa Jacka Kurskiego. W TVP był już za pierwszego PiS. – Jestem socjalistą z krwi i kości. Z wieloma kolegami nadal mówimy do siebie „towarzyszu” – deklaruje. – Widział pan film Andrzeja Fidyka „Ostatki”? – pyta. To dokument pokazujący dwie równoległe opowieści. Zgromadzonych w Pałacu Kultury delegatów na ostatni zjazd PZPR oraz demonstrantów robiących im kocią muzykę na zewnątrz. – Ja tam niosę flagę z napisem „Wolność Równość”. „Niepodległość” dorobiliśmy później – dodaje.

Jego dalsze ideowe losy wiodły przez Ligę Republikańską i do mediów i prywatnego biznesu. Na pytanie o to, kto dziś wyraża ducha PPS w polskiej polityce, Karwowski odpowiada: – PiS nie oddaje jego ducha w stu procentach, ale proszę pokazać realną alternatywę! Wiosna Biedronia z jej antyklerykalnymi obsesjami? Razem, które chciałoby się zbuntować, ale tak, żeby ich „Gazeta Wyborcza” za bardzo nie zganiła?

Karwowski nie jest wyjątkiem. Jacek Pawłowicz (rocznik 1963) odpowiadał za budowanie partyjnych struktur w Płocku. Działał też we Wszechnicy Robotniczej. Potem pisał książki historyczne (m.in. o rotmistrzu Pileckim). W grudniu został dyrektorem Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie, które powstaje na terenie dawnego Aresztu Śledczego przy ul. Rakowieckiej. Z kolei Tomasz Truskawa (rocznik 1965) to jeden z filarów Grupy Politycznej Robotnik (podobnie jak Ilka, Ikonowicz i Miżejewski). Razem nie tylko ➔

→ zakładali PPS, ale również tworzyli podziemne wydawnictwo im. Olofa Palmego. Potem Truskawa był związkowcem. Dziś można go usłyszeć w roli komentatora w Telewizji Republika. Pisywał też w „Gazecie Polskiej Codziennie”. Z „GPC” związany jest także dawny rzecznik PPS Adrian Stankowski, który regularnie komentuje wydarzenia polityczne w „Wiadomościach” TVP. Także on przekonuje, że to PiS jest dziś najbardziej prawowitym spadkobiercą PPS Jana Józefa Lipskiego – a w pewnym sensie także Ciołkosa i Pużaka.

Najmniej byłych pepesowców znajdziemy dziś po stronie liberalnej. Najbardziej prominentny z nich to legendarny wrocławski opozycjonista Józef Pinior, który (via Unia Pracy) znalazł się w orbicie Platformy Obywatelskiej – z jej poparciem zasiadał w Senacie w latach 2011-15.

Prawica i lewica na nowo

W Polsce pytania o brak lewicy śmiało odwołującej się do socjalizmu demokratycznego zazwyczaj spotykają się z dwojaką odpowiedzią. Pierwsza brzmi: demokratycznych socjalistów w Polsce nie ma, bo polskie społeczeństwo takiej idei nie potrzebuje. A nawet jeśli potrzebuje, to z przyczyn historycznych (wspomnienie PRL) nie jest go w stanie zaakceptować. Odpowiedź druga: opcja demokratycznego socjalizmu wychodzi od ostrego rozgraniczenia na prawicę i lewicę. A ten podział nie pasuje do dzisiejszych czasów.

Historia PPS i jego ludzi przeczy temu stereotypowi. Dowodzi, że przez cały okres III RP istniał i do dziś istnieje popyt na socjalistyczne myślenie. A że nikomu nie udało się go zagospodarować w stu procentach? Tak bywa w polityce. Ci, którzy wygrali wojnę o ideowy rząd dusz po roku 1989, inaczej zdefiniowali pojęcia prawicy i lewicy. Socjalistyczni pogrobowcy Lipskiego byli tego podziału największymi przeciwnikami. Bo to przez ich ideowy dom przeszedł nowy mur politycznego podziału. Ci, co zatrzymali się po jednej stronie, zostali okiełznani, a potem wyrzuceni na margines obozu liberalnego. Ci drudzy roztopili się w oceanie obecnego PiS. Może jeszcze coś kiedyś razem zdziałają. Oni albo ich następcy.

© RAFAŁ WOŚ

Nieuleczalne źródło dowcipów

MARIUSZ SEPIOŁO

Choroba żartuje z niego, więc on żartuje z choroby.

W PSYCHOLOGII ISTNIEJĄ TRZY GRUPY teorii humoru. W teorii niespójności podstawą żartu jest konflikt, niezgodność, dwuznaczność. Teorie wyższości zakładają, że śmiejemy się z kogoś, od kogo podświadomie czujemy się lepsi (bo np. poślizgnął się na skórcie od banana). Teorie uwalniania napięcia wykorzystują nagromadzone stresy i frustracje, dla których żart jest jak szpilka w kontakcie z napompowanym balonem.

Jacek Noch swój balon przekłuwca co chwilę.

– Opowiedzieć dowcip? – pyta w pierwszej naszej rozmowie przez telefon. – Jak Martyna komunikuje się z Jackiem?

– Nie mam pojęcia.

– Es-Em-Es-Em.

To taki środowiskowy dowcip. Są ludzie, dla których litery S i M wyznaczają horyzont ich życia ze stwardnieniem rozsianym.

Wylosowany koszmar

Jego występ w programie stand-upera Michała Lei na YouTube odtwarzano pół miliona razy. Dwa występy w „Tylko dla dorosłych” w TVP, też opublikowane na YouTube – 1,2 i 1,1 mln. Jacek jest na scenie w koszulce z hasztagiem „#taki trochę chory” (tak brzmi tytuł książki, którą Jacek napisał z psychologką Karoliną Piórkowską w 2016 r.).

Przed spotkaniem postawił kilka podstawowych warunków. „Po mnie trzeba wjechać na ósme piętro; trzeba mi pomóc zejść do samochodu; potem trzeba mnie odprowadzić”.

Jedziemy z Sosnowca, skąd pochodzi, do Krakowa. Jacek z przodu, na siedzeniu pasażera. Martyna, jego partnerka, z tyłu, pochylona nad jego ramieniem, opowiada. A Jacek żartuje.

Na rogatkach Sosnowca pytam o początki. – Tak, wychowałem się w mieszkaniu, z którego nas zabrałeś, mieszkam

tam prawie całe życie. Ostatnio wychodzę głównie z Martyną, kiedy do mnie przyjeżdża. Na zakupy, do restauracji. I kiedy jadę na *stand-up* – mówi Jacek.

Mówi o głupich pytaniach, które zadają mu niektórzy. Czy jest w stanie zatrzymać swoją chorobę? Jasne, odpowiada, tylko bardzo tego nie chce. Przytacza anegdotę o tym, jak z przyjaciółmi grał w taboo – karcianą grę towarzyską. Zasady są takie: losujesz kartę, na niej sześć słów, musisz opisać pierwsze bez użycia pięciu pozostałych. Jackowi przy pierwszym losowaniu wypada słowo „koszmar”.

– Byłem całkiem normalnym dzieckiem, tak jak wszyscy na podwórku. Rocznik ’88, grałem w piłkę, przesiadywałem na ławkach i trzepaku. Jeśli już wtedy pojawiały się jakieś objawy, symptomy, na



pewno je ignorowałem – opowiada teraz Jacek.

Już w gimnazjum poznaje tych, z którymi nuda staje się znośniejsza. Zapełnić ją można piwem, tanim winem, małą wódki. W szkole (skończy technikum gastronomiczno-hotelarskie) idzie mu tak sobie. Dzień wypełnia nuda, podwórko, a potem przychodzi rok 1999, pierwszy komputer i „Tibia” – gra, która tysiące dzieciaków zasysa jak inny wymiar.

– Potrafiłem grać przez trzydzieści godzin bez przerwy. Z przerwami na toaletę – mówi Jacek. – Rodzice oczywiście się wkurzali. Zarywałem nockę, a potem szedłem do szkoły, niewypasany próbowałem przetrwać na lekcjach.

Z „Tibią” w końcu dał sobie spokój. Tak samo jak z piciem. – Dziś, gdybym mógł wybrać jeszcze raz, nie piłbym wcale – mówi. – Nie jest mi to do niczego potrzebne.

Idzie na studia, by ominąć wojsko. Przerwywa je jednak po dwóch miesiącach. Zatrudnia w McDonaldzie. To w tej robocie weźmie zwolnienie po wizycie u lekarza i serii badań, które zmieniają wszystko.

Na lewą stronę

Nagle prosta linia życia zaczyna się chwiać, wchodzić w zakręt. – Zaczęło mnie znosić na lewą stronę – opowiada

Jacek. – Nie mogłem przejść normalnie kilku metrów. Z czasem zaczęły się pojawiać też inne objawy. Ale dało się z nimi żyć, więc długo je olewałem.

Lekarz sugeruje: to może być krwaki. Zaczynają się badania, bo w neurologii szybka diagnoza ma znaczenie kluczowe. Rezonans magnetyczny mózgu wykazuje zmiany demielinizacyjne. Potem jest punkcja lędźwiowa. Najgorszy ból, jaki Jacek czuł kiedykolwiek.

Diagnoza przychodzi szybko. Wypowiedana przez lekarza w cztery oczy: stwardnienie rozsiane. Telefon do ojca, pytanie: co teraz? Tata Jacka wie, co robić, uruchamia wszystkie swoje znajomości i kontakty, załatwia konsultację u dobrych specjalistów.

Tata wie, bo sam choruje na stwardnienie rozsiane.

– Jego choroba była czymś, o czym się w domu wiedziało, ale nie był to temat rozmów – mówi Jacek. – Zajmowałem się swoimi sprawami, jak to młody chłopak. Choroba, cierpienie: mnie to nie dotyczyło.

Wtedy, przez telefon, tata Jacka mówi mu coś, co Jacek na długo zapamięta: „Spokojnie synu, i tak będzie gorzej”. – Dziś mu za to dziękuję – mówi Jacek. – Bo to było prawdziwe. Wiedziałem, czego mogę się spodziewać, czego mogę się chwycić.

Martyna i Jacek, Błonia, Kraków, czerwiec 2019 r.

Po diagnozie dla Jacka zaczął się etap, który w książce opisał tak: „Mianowicie jest to czas, gdy młodzi ludzie planują, jak żyć. Wiadomo: studia, praca, ślub, rodzina, dzieci, ciągły rozwój, podróże, samochód, a nawet dwa, dom z ogródkiem poza miastem, hobby, pasje, cokolwiek. Można by tak do środy wymieniać, a nawet niedzieli. W każdym razie są plany – często bardzo sprecyzowane, osiągalne. Jest także działanie, zaś finalnie – namacalne efekty. Ja swego czasu też miałem plan, mianowicie: umrzeć”.

Wystarczy, że ja się boję

Przetrwiał. Ma świadomość, że choroba postępuje. Nawet w ciągu dnia. Rano mówi nieco szybciej i wyraźniej, by pod wieczór opaść z sił, stracić energię. Oprócz trudności z utrzymaniem się na nogach, boryka się z drżeniem lewej strony ciała, koordynacją ruchów rąk. Podczas posiłków często coś pobrudzi, porozrzuci. Nie jest w stanie zapiąć guzików koszuli. Ma problemy z pamięcią.

Ale przecież jest ona.

Teraz to Martyna chwyta go pod rękę, to Martyna otwiera drzwi. Z samochodu wysiada pierwsza, czeka, aż Jacek stanie w miarę stabilnie na chodniku, cierpliwie mu towarzyszy. Martyna ma podręcznikową wiedzę o chorobie, sposobach leczenia, przebiegu. W Krakowie studiuje pielęgniarstwo. Jest w niej siła i wytrwałość, która niemal zawstydza, onieśmiela.

– Oglądałam występ Jacka w internecie. Już wtedy był to dla mnie występ szczególny, bo doskonale rozumiałam, o czym Jacek mówi. Śmiałam się i płakałam na zmianę. Kupiłam książkę i postanowiłam zdobyć jego podpis. Napisałam na jego facebookowy profil, przez który ty się z nim skontaktowałeś. Szybko odpisał. Powiedział, że za dwa dni będzie miał w Krakowie *stand-up*, więc po wszystkim możemy się spotkać, pogadać, zrobić zdjęcie. Był styczeń 2018 r.

– Ja tak patrzę: pisze do mnie dziewczyna. Oglądam zdjęcie profilowe, a nie oszukujemy się, każdy od razu ogląda zdjęcie profilowe, i myślę: no, może być – uśmiecha się Jacek. – Po występie spotykamy się na backstage’u i widzę: ideał. Chwilę pogadałiśmy. O wszystkim, tylko nie o chorobie.

– Oboje wtedy poczułiśmy, jakbyśmy znali się już bardzo długo – mówi Martyna. – Czasem spojrzenie wystarczy, wymiana zdań.



JACEK TARAN DLA „TP”

→ Za Olkuszem Jacek powie tak:

– Nie chcę litości. Nie chcę wokół siebie negatywnych ludzi. Chcę mieć kontakt z tymi, którzy się mojej choroby nie boją. Wystarczy, że ja się boję.

– Czego?

– Że na przykład przed nami będzie wypadek i będziemy musieli czekać w korku kilka godzin. W tym czasie przynajmniej raz będę musiał skorzystać z toalety. Więc zsikam ci się w aucie. Więc ja się boję nawet teraz, siedząc z wami w samochodzie.

– Kiedy jesteśmy na przykład u moich rodziców, Jacek często mówi: „Nie chcę być problemem” – opowiada Martyna. – A powinien wiedzieć, że jego niepełnosprawność nikomu nie przeszkadza.

– Czasem najgorsze jest nie to, co dzieje się w mięśniach, ale to, co kłębi się w głowie – mówi Jacek. – Bardzo nie lubię być na kogoś zdany, a muszę. W SM problemem jest nie tylko fizyczność, ale też stany depresyjne. Mój najgorszy moment jak dotąd, to dzień, w którym dowiedziałem się, że nie dostanę obiecanej leczenia.

Z czego się nie śmieję

– Choroba żartuje ze mnie, więc ja żartuję z choroby – mówi Jacek. – Nigdy nie miałem planów, że zostanę stand-uperem. Tym bardziej nie zaplanowałem sobie, że od teraz będę stand-uperem ze stwardnieniem rozsianym. Po prostu: poszedłem raz na otwarty mikrofon i tak już zostało. Publiką zareagowała bardzo dobrze. Mówiłem przez pięć minut, jak zwykle o sobie. Parę osób potem podeszło i mówiło, że byłem lepszy niż niejeden stand-uper. To mnie zbudowało.

Potem jest występ, który doszedł do skutku dzięki komikowi ze Śląska, Mariuszowi Kałamadze. Wiedział, że Jacek pisze żarty. Zaprosił go na swój *show*, pozwolił wyjść do publiczności.

– Umiejętności opowiadania dobrego żartu nie da się nauczyć, trzeba to mieć. Ja chyba to miałem od początku – opowiada dalej Jacek. – Nie jest to łatwe. Na występ trzeba mnie zawieźć, odwieźć. Na scenie siedzę albo opieram się o wysokie krzesło. Tremę mam za każdym razem. Bardzo się boję, czy publika mnie zrozumie, czy zaakceptuje to, z czym do niej przychodzę.

Stand-up jest brutalny, dla wielu na granicy dobrego smaku. Ze sceny lecą wulgaryzmy, żarty z największych społecznych tabu. Ale nie chodzi o to, żeby szokować, wchodzić na zakazane terytoria tylko dla zabawy, sensacji.

Jaka jest granica dla Jacka? W rozmowie opowiada dowcipy, których nie wypowiedział jeszcze ze sceny, i które nie każdy mógłby przyjąć. – Nie śmieję się z czyjejś śmierci – mówi. – Ze swojej mogę, jak najbardziej.

Przyznaje: *stand-up* mu pomaga, podnosi, buduje. To dla niego rodzaj terapii. Wychodzi do ludzi ze wszystkimi swoimi lękami, mówi o nich, i na chwilę lęki znikają. – Dobrze jest wyjść i żartować z własnego problemu – tłumaczy. – Wtedy to przestaje być problemem. A jeśli ludzie się z tego żartu śmieją, to ja ten swój problem wyrzucam z głowy.

Litery na plecach

– Musisz jeszcze o czymś wiedzieć – powiedział wcześniej przez telefon. Nagle zrobiło się tajemniczo.

To było pod koniec studiów. Martyna, studentka z Krakowa, pochodząca z Mazowsza, uczy się do egzaminu. Dużo czyta o stwardnieniu rozsianym, objawach, terapii, rokowaniach. Zaczyna obserwować swój organizm i podejrzewać. Lekarz jest na szczęście otwarty i życzliwy. Na razie nie straszy, raczej uspokaja. Punkcja, rezonans magnetyczny, czekanie na wyniki. I zaproszenie do gabinetu. Lekarka siada naprzeciwko, lekarz na kozetce obok. Zadaje pytanie: co pani wie o stwardnieniu rozsianym?

Martyna wie już chyba wszystko.

Potem trafi na filmik z Jackiem, będzie się śmiać i płakać na zmianę. Postanowi go poznać. Po pierwszym spotkaniu zaczęła ze sobą pisać. W rozmowach z Jackiem nie wspomina o swoim sekrecie, nie chce się zdradzić, czeka na dobry moment.

Przyjeżdża do Sosnowca. Spędzają z Jackiem dzień, który pamiętają do dzisiaj. Wieczorem Martyna chce coś Jackowi wyznać.

Staje za nim i palcem kreśli mu na plecach dwie litery: S i M.

W jej przypadku postać rzutowo-remisyjna. W tym rodzaju choroby objawy pojawiają się i znikają. W okresach remisji żyje się w miarę normalnie, bierze leki, pozostaje się pod obserwacją. Martyna nie ma kłopotów z poruszaniem się, mówieniem. Ktoś, kto nie zna jej historii, mógłby powiedzieć, że jest całkowicie zdrowa. Postać, która dotknęła Jacka, zaczyna się raz i już nigdy nie kończy. Postępuje.

– W końcu przestałam się nad sobą uważać – mówi Martyna, kiedy dojeżdżamy do Krakowa. – Zrozumiałam, że nie zmienię

rzeczywistości, choroba sama nie odejdzie. To może banalne, ale zaczęłam doceniać proste rzeczy. Nie jest tak, że w zupełności się z moją chorobą pogodziłam. Jestem typową pacjentką z chorobą przewlekłą – zawsze jest we mnie cicha nadzieja, że może to jednak coś innego... Ale patrzę na swoje problemy sprzed diagnozy i wydają mi się śmieszne. Ja też, jak Jacek, sobie żartuję z choroby. Zdarza się, że ktoś tego humoru nie zrozumie – ale to jego problem.

Na palcu Martyny zauważam pierścionelek. „Chciałbym cię poprosić, żebyś wstała” – powiedział podczas występu w Spodku, przy siedmiu tysiącach osób na widowni. Teraz pokazuje filmik, który nagrał jego kumpel. Jacek z trudem i oczywiście żartując, próbuje kleknąć przed Martyną i prosi ją o rękę. Cała publika wstaje i bije brawo. Martyna się zgadza.

Nie z litości

– Jacek nauczył mnie przede wszystkim wytrwałości. To właśnie najbardziej w nim podziwiam – mówi Michał Leja, popularny stand-uper występujący w całej Polsce, autor „Michał Leja Show”, w którym rozmawia z komikami. Jacek przyszedł do programu w 2017 r. Michał zapytał, czy z takim dystansem do siebie, z jakim robi swój *stand-up*, budzi się codziennie rano. Jacek odpowiedział: „Jak się w ogóle obudzę, to mam dobry dzień”.

– Znam go już kilka lat, widzę, jak choroba postępuje. Jacek mimo to chce wychodzić na scenę, co pokazuje, że się nie poddaje – mówi Michał Leja. – Zawsze jak występuje na Śląsku, to wpadnie, żeby wyjść do ludzi i ich rozbawić, pokazać, że choroba nie oznacza rezygnowania z marzeń, a wręcz przeciwnie. Postawienie się jej sprawi, że będą się dziać niesamowite rzeczy. Napisał książkę, wystąpił w Spodku, gdzie kilka tysięcy osób dało mu owację na stojąco. I to nie z litości, nie z powodu jego choroby, ale właśnie dlatego, że pokazał jej środkowy palec.

Jacek i Martyna planują życie. Ona kończy studia. On jest rencistą, występuje w całej Polsce. Jest też podopiecznym Fundacji Mimo Wszystko Anny Dymnej. Na jednym ze *stand-upów* zobaczył go prezydent Sosnowca. Postanowił, że miasto wynajmie Jackowi i Martynie mieszkanie. Teraz trzeba je wyremontować. W filmiku Fundacji, zachęcającym do wsparcia dla Jacka i Martyny, Jacek obiecuje, że w nowym mieszkaniu usmaży Martynie jajecznicę.

© MARIUSZ SEPIOŁO

ANNA

Dziewit-Meller: Cichosza



KIEDY ZACZYNAM PISAĆ TEN FELIETON PRZY stole w kuchni mojego mieszkania, słyszę, jak na podwórko sąsiedniego domu, gdzie znajduje się przedszkole, do którego chodzą moje dzieci, wypuszczono całą trzódkę na wybieg przed porą obiadową.

Mam wrażenie, że w tej kakofonii dźwięków dobiegających zza okna jestem w stanie rozpoznać jakże dobrze znany mi wrzask mojej osobistej dwójeczki, ale możliwe, że tak jak w nocy wszystkie koty są czarne, tak na podwórku wszystkie dzieci drą się podobnie i tym razem to jednak nie moje ryczą jak opętane.

Niemniej pośród innych charakterystycznych dla tej okolicy dźwięków – samochodów, stojących przez długie kwadranse na włączonym silniku, bo właściciele chłodzą się w ich wnętrzach, soczystej mowy ojczystej panów robotników od miesiąca pracujących na rusztowaniu nieopodał, porozumiewających się wyłącznie za pomocą wrzasków, syren karetek pobliskiego pogotowia, cięcia piłą do granitu bloków odpowiedniej długości, które mają służyć panom z rusztowań do wykończenia remontu, szczekania unisono wszystkich kamienicznych psów zostawionych przez zmuszonych udać się do pracy właścicieli, miauczenia dwóch podwórkowych kotów, które się właśnie tłuką, pohukiwań srogiej dozorczyń, która nie cierpi przyjeżdżających tu do nas na jogę i złorzeczy ich rowerom, niewesołych rozmów dziewczyn z Żabki, które nerwowo paląc papierosy w podwórku zwierzają się sobie z licznych życiowych trosk... – otóż pośród tych wszystkich głosów warszawskiego Śródmieścia usiłuję się jak co tydzień skupić i coś napisać dla Państwa.

Tak się zaś składa, że zamierzam dziś pisać o zanieczyszczeniu naszej rzeczywistości hałasem. Spoglądam na ekran telefonu, gdzie specjalna aplikacja mierzy natężenie dźwięku. Wszystkie powyżej wymienione dźwięki wpadające mi przez otwarte okno dają w sumie od 30 do mniej więcej 75 decybeli, raz rosnąc, raz się zmniejszając, w zależności od tego, kto akurat się drze albo odpala silnik. Średnio wychodzi ponad 40. Dramatu nie ma, ale jeśli się nad tym zastanowić, przez większość mojego życia w momentach tzw. ciszy i spokoju, gdy w domu nie gra żadna muzyka, nikt się nie kłóci o zabawki ani nie gada przez telefon, otacza mnie hałas o natężeniu 40 decybeli. Oczywiście

można zamknąć, gdy widok nam doskwiera, uszu tak łatwo zatkać niestety się nie da.

Nadwrażliwości słuchowej nabawiłam się podczas pracy w radiu, na co dzień chodząc w słuchawkach, które całkowicie wycinały dźwięki tła, wpuszczając mi do uszu wyłącznie to, co prezenter na antenie słyszeć powinien. Po dwóch latach takiej pracy zaczęłam mieć problemy ze snem spowodowane nieustannym dźwięczeniem w uszach. Wiele lat później skutki tamtego zajęcia, jak również częstego przebywania w hałasie na próbach zespołu, w którym grałam, wciąż dają się odczuć. Hałas sprawia mi fizyczny ból, powoduje poddenerwowanie, źle wpływa na samopoczucie.

Lepiej nie będzie, chyba że kiedyś całkiem ogłuchnę, ale marne to pocieszenie. Lepiej być nie może, bo hałas stał się immanentną częścią naszego życia, na którą nie zwracamy uwagi, nie myślimy o jego fatalnym wpływie na nasze życie i zdrowie, i nie domagamy się zmian w tej materii. A szkoda. Zajmujący się hałasem naukowcy porównują go chętnie do biernego palenia. Nie mamy nań wpływu, chyba że uciekniemy w głąs, by słuchać jedynie śpiewu słowików i szumu drzew (20-30 decybeli). Co istotne, poziom natężenia dźwięku jest logarytmiczny, co oznacza, ujmując rzecz po ludzku, że mówiąc o dwukrotnym przekroczeniu norm hałasu (a ta jako żywo wynosi 85 dB) nie mamy na myśli 170 dB, ale już 88 dB! Dziesięciokrotne przekroczenie hałasu wynosi 95 dB.

Niestety wygląda na to, że przyszłe pokolenia będą miały z tym jeszcze większy problem – wystarczy, że włączymy dowolny kanał z bajkami dla dzieci. Wszystkie postaci z kreskówki nie porozumiewają się ze sobą inaczej, niż mówiąc bardzo podniesionym głosem, który właściwie można byłoby odczytywać jako krzyk, nawet jeśli akcja bajki wcale nie wymaga takiego natężenia dźwięku. Jak rozumiem, idzie o to, by przykuć dziecko do ekranu odpowiednią ilością bodźców. Nic dziwnego, że się potem wszystkie drą, zamiast mówić. Nastolatki z nieodłącznymi słuchawkami w uszach pracują dzielnie na podnoszenie poziomu decybeli w środowisku, wpędzając się własnoręcznie w głuchotę.

W Paryżu powstała inicjatywa Bruitparif, organizacja zajmująca się monitorowaniem natężenia hałasu w regionie stołecznym, protestująca przeciw przekroczeniom norm, edukująca w zakresie zanieczyszczenia środowiska hałasem. Ich działania nastawione na zmianę na razie nie przynoszą jeszcze spektakularnych efektów, ale, jak wiemy od Rebeki Solnit, z różnych miejsc idą początki wielkich zmian, czasem z bardzo skromnych. Bruitparif kojarzy mi się z komarem, który natrętnie bzyczy wokół głowy swej ofiary. Emitowany przez niego dźwięk wynosi zaledwie około 30 dB, ale sami przyznajcie, że czasem zdaje się bardziej donośny niż wrzask. Zwłaszcza gdy usiłujemy zasnąć. By jednak nie przespać kolejnej fatalnej dla nas sprawy – może jednak się w końcu obudźmy. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

Wspólny niepokój, różne diagnozy

„**CHCEMY WYWOŁAĆ ALARM**, chcemy poruszyć katolickie serca, pokazać, że sprawy mają się naprawdę źle i świadomość tego jest pierwszym krokiem do zmiany” – napisali we wstępie książki „Alarm dla Kościoła. Nowa reformacja?” jej autorzy – Paweł Milcarek i Tomasz Rowiński. Książka jest zbiorem rozmów diagnozujących kryzys Kościoła, przeprowadzonych przez dwóch czołowych publicystów środowiska skupionego wokół kwartalnika „Christianitas”. Dla tego środowiska sprawą pierwszej wagi jest zachowanie w nienaruszonym stanie depozytu wiary, przeżywanego w codziennym życiu w wierności niezmiennym zasadom moralnym i ożywianego pielęgnowaniem tradycji liturgicznej – od tego przede wszystkim ma zależeć nasze zbawienie.

PODZIELAMY NIEPOKÓJ o stan wspólnoty wiary. Podobnie jak środowisko „Christianitas”, dostrzegamy źródła kryzysu przede wszystkim wewnątrz Kościoła – w jego grzechach. Różni nas jednak szczegółowa diagnoza i propozycja programu naprawczego. Objawienie nie jest przede wszystkim zestawem gotowych prawd przekazanych przez tradycję naszemu pokoleniu do wiernego „przechowania”, ale spotkaniem z Osobą. Jest budowaniem żywej relacji z Bogiem w konkretnych warunkach, a więc jest też zadaniem, które trzeba odczytywać wciąż na nowo, dostrzegając bieżące światła (świat nie jest tylko zagrożeniem czy pokusą!), ale także kierując się rozumem, czyli uwzględniając współczesną wiedzę. Nie dysponujemy gotowym wzorcem wiary. Ten wzorec musimy wciąż wykuwać na podstawie doświadczenia Jezusa jako Zbawiciela (czyli kerygmat).

DOBRE TO ROZUMIE FRANCISZEK, który postrzega Kościół jak „szpital polowy”, a źródła kryzysu widzi w silnej wśród ludzi Kościoła klerykalnej mentalności, bezdusznym jurydyzmie, w obronie przestarzałych struktur i lęku przed ryzykiem wychodzenia na peryferie. Naszym zdaniem w ten sposób papież walczy o nowy kształt Kościoła. Środowiska konserwatywne postrzegają jego działania jako zagrożenie. Tu leży główna różnica diagnozy. Ale wspólna jest nam świadomość, że spór o ten kształt jest sprawą niezwykle ważną.

© ARTUR SPORNIAK

WIARA



MAREK LAPIS / FORUM

CZY KOŚCIOŁOWI GROZI NOWA REFORMACJA

PAWEŁ MILCAREK, REDAKTOR NACZELNY „CHRISTIANITAS”:

Jeśli zmiany teraz pójda w złym kierunku, to nastąpi daleko idąca fragmentacja Kościoła. Podzielimy się na grupy, które nie będą w stanie ze sobą rozmawiać.



PIOTR SIKORA: Nadchodzi nowa re-formacja? I czy to powód, by ogłaszać alarm dla Kościoła?

PAWEŁ MILCAREK: Obie kwestie stawiamy wraz z moim redakcyjnym kolegą z „Christianitas”, Tomaszem Rowińskim, w tytule naszej książki – zbioru rozmów z wieloma osobami krytycznie myślącymi o tym, co się dziś w Kościele dzieje. Ale od razu muszę pewną kwestię wyjaśnić. My widzimy „nową reformację” nie jako np. samą protestantyzację Kościoła (którą po Vaticanum II piętnował szereg autorów kon-

serwatywnych), ale jako coś, co obejmuje łącznie dwa etapy: etap gnicia i etap wybuchu. Nowa reformacja nadchodzi jako odpowiedź na głęboki kryzys, „przedreformacyjny” – tak jak reformacja była wybuchem wewnątrz humanistycznego zeświecczenia. Nasz obecny kryzys łączy oba etapy.

Jakie są jego objawy?

Jeśli chodzi o obecną przedreformację, jest bardzo dużo rzeczy gorszących. Najłatwiej zauważyć to, co przekracza wszelkie

standardy: kryminalne nadużycia seksualne wobec nieletnich. To już podchodzi nam pod gardło. Reakcja na nie wzmocniona jest naszą zwiększoną świadomością etyczną (która sama jest owocem chrześcijaństwa) oraz przekazem medialnym – bombardującymi nas obrazami krzywdy maluczkich, jak niedawno u nas w filmie Sekielskiego. Doprowadza to do wrzenia. Można mieć wątpliwość co do konkretnych liczb w poszczególnych częściach Kościoła, co do winy poszczególnych osób – ale rodzaj i ciężar zła jest oczywisty. I to, ➔

→ że ma ono miejsce na każdym poziomie decyzyjnym hierarchii. Włącznie z papieskim – tam też jest jakiś niedowład. Mimo że już Benedykt XVI podejmował wiele działań w tej kwestii. Warto przypomnieć sobie jego bardzo mocny list do Kościoła w Irlandii – to, co pisał tam w odniesieniu do hierarchii, było wówczas szokiem. Wy-mienił wielu biskupów. W przeważającej większości chodzi o nadużycia sprzed wielu lat (ich fala jest raczej za nami), co nie zmienia w niczym odpowiedzialności depuratorów i konieczności przeciwdziałania. Na przykładzie kard. McCarricka widzieliśmy, że niektórzy nie tylko unikali odpowiedzialności, ale dochodzili do władzy i wpływów. To jęcząca rana.

Institucje kościelne zawodzą.

Na ogół brak odpowiednich decyzji prełożonych. A równocześnie nie możemy tracić z oczu drugiego problemu, który jest u źródła innych: z codzienności Kościoła wyparowuje nadprzyrodzone rozumienie wiary. Wiara jest dziś pojmowana jako światopoglądowy konstrukt pośród wielu innych możliwych. Wiara nadprzyrodzona, będąca roszczeniem chrześcijańskiej prawdy wyjątkowej, zanika. Co ma konsekwencje w rozmaitych dziedzinach życia Kościoła, w zarządzaniu hierarchii, w kryzysie liturgii i edukacji. Także instytucje coraz częściej przestają być postrzegane jako część wiary Kościoła. Także przez tych, którzy się nimi posługują.

To znaczy?

Są traktowane jako szczeble kariery. A liturgia czy doktryna są oceniane wedle standardów czysto świeckich. Bardziej dba się o dostosowanie do świata niż o to, by Kościół był dla świata przewodnikiem i nauczycielem.

W Polsce też to tak wygląda?

W Polsce chrześcijaństwo jest nadal żywe wśród ludzi, ale w życiu publicznym przyzwyczajają się do roli podniosłego ornamentu dla świeckich narracji. Ludzie Kościoła przestają być nauczycielami np. polityków, a stają się ich towarzyszami drogi, uświetniającami do fotek lub uroczystych podziękowań. Jeden biskup w or-nacie z orłem białym będzie „uświetniać” celebrę uroczystości patriotyczne, a inny biskup czy ksiądz w garniturze na jakiejś fecie na czeski Unii Europejskiej wygłosi jeden z wykładów o uwarunkowaniach demokracji. Bardzo rzadkie są wypowie-

Reformacja przychodzi,
gdy ludzie są stanem Kościoła
przerażeni i w szoku czy
poczuciu bezsilności uznają,
że pozbycie się starych
struktur i części nauczania
będzie wyzwoleniem ducha
ewangelicznego.

dzi, w których mamy pełne chrześcijaństwo, takie mające siłę ocenić zjawiska społeczne w świetle Objawienia, z katechizmem w dłoni. I raczej mizerne są też próby suwerenności opinii katolickiej wewnątrz różnych środowisk – np. publicyści katolicy nie stawiają trudnych pytań „swoim” politykom. Ważniejsza jest partia niż teologia, co wynika też z zaniedbań w wykształceniu religijnym i braku głębo-kich, prawdziwie teologicznych dyskusji.

Skoro wysycha wiara, gdzie miejsce dla nowej reformacji? Dla Lutra wiara była podstawowa, tylko ona się liczyła – sola fide.

Reformacja przychodzi, gdy ludzie są stanem Kościoła przerażeni i w szoku czy poczuciu bezsilności uznają, że pozbycie się starych struktur będzie wyzwoleniem ducha ewangelicznego. Należy się pozbyć części nauki moralnej, bo uznaje się ją za niemożliwą do zrealizowania; trzeba pozbyć się części „aparatury” – doktryny, sposobu sprawowania liturgii – by pozostać w wolności dzieci Bożych. Ten wątek pojawia się wyraźnie u niemieckich autorów. A oni mają wpływ na papieża Franciszka. Uznają, że ludzie w Kościele są pół-poganami, w bardzo skomplikowanych moralnie sytuacjach i – następuje sugestia – że nie ma możliwości, by zrealizowali moralną naukę Kościoła. Lepiej pozwolić im – trochę po luteranśku – wyzwolić się z „niewoli uczynków” i ufać miłosierdziu Boga. W zwykłych formach życia kościelnego nie widać już życia – ludzie szukają radykalnej zmiany i pewnych nowych, dynamicznych, emocjonalnych form, które nie liczą się z tradycją. Nie można też pominąć kontekstu zewnętrznego – zjawiska, które autorzy środowiska „Christianitas” nazywają postchrześcijaństwem.

Czy właśnie stąd bierze się silny w tym środowisku motyw sprzeciwu wobec, jak to określicie, „mentalnej kolonizacji” – tj. protest przeciwko zbyt dużym wpływom idei pozachrześcijańskich na Kościół? Wpływom socjologii czy historii na współczesną teologię? Rozumiem, że rozmycie granicy pomiędzy tym, co chrześcijańskie, a tym, co pozachrześcijańskie, uznajecie za problem i jedno ze źródeł kryzysu?

Tak. Ale problemem nie są spotkania z tym, co wyraźnie poza chrześcijaństwem – lecz z tym, co z materii chrześcijaństwa wykrojone, a potem użyte w innym sensie. Wiele ideologii naszej epoki jest tak zbudowanych. Mają korzenie chrześcijańskie, ale przewartościowały je. I to nazywamy postchrześcijaństwem: zawłaszczenie elementu chrześcijaństwa, być może kiedyś gdzieś zaniedbanego, ale tylko jednego, jego absolutyzacja i przeciwstawienie chrześcijaństwu.

Jakiś przykład?

Tak kluczowe pojęcia chrześcijańskie jak osoba, wolność czy sprawiedliwość (sprawiedliwość społeczna!) mają dziś mocne alternatywy postchrześcijańskie. Słowa ludzą podobieństwem, lecz przywołują inne sensy, sprzeczne z oryginałem.

Skoro jednak są to elementy źródłowo związane z chrześcijaństwem, i skoro były – jak Pan powiedział – nieco przez chrześcijan zaniedbane, to może są to dobre punkty porozumienia ze światem – a nawet kwestie, w których możemy się od świata uczyć? Czy w przeciwnym razie nie grozi nam sekciarstwo? Czy Ojcowie Kościoła, czy Tomasz z Akwinu, nie czerpali z otaczającej kultury?

Tomasz korzystał z mądrości pogan – ale już z chrześcijańskimi radykalnymi arystotelikami polemizował twardo i ostro. Problemu postchrześcijaństwa nie doświadczył. Dzisiaj jednym z podstawowych napięć w Kościele jest napięcie pomiędzy tymi, którzy sądzą, że to nadprzyrodzone źródła Kościoła zawsze uwalniają go z niewoli aktualnych żądań świata, a tymi, którzy myślą, że to raczej te żądania świata są podpowiedzią, jak się wyzwalać z dotychczasowego słuchania się owych źródeł. Pozytywnym owocem Soboru Watykańskiego II było zwiększenie wrażliwości na źródła. Tyle że niektórzy

są przekonani, że Objawienie jest bardziej historyczne niż metafizyczne i że bardziej przemawia przez ewolucję obecną w duchu czasu niż przez źródła. Na takie stanowisko mamy przemyślaną odpowiedź łączącą metafizykę i historię, np. w teologii Ratzingerowskiej. Hermeneutyce zerwania przeciwstawia się tam hermeneutykę reformy, jej ciągłość interpretacyjną źródeł. To właśnie tę ciągłość nazywamy Tradycją, sposobem obecności historycznej ciągle tego samego Objawienia. Ciągłość jest ważnym znakiem: to, czy jakiś wątek wychodzi z depozytu wiary, trwa, jest podtrzymywany. Tego nie da się wyrzucić przy pomocy stwierdzenia, że duch czasów prowadzi gdzie indziej.

Więc gdy coś, co było niezmiennie, zostaje zmienione, trzeba bić na alarm?

Gdy ogłasza się nagle, że „odtąd nie obowiązuje” coś, co przez wieki było powtarzaniem refrenem w źródłach, u Ojców i doktorów, w Magisterium. Gdy się mówi, że dopiero aktualne naukowe opracowanie wydobywa nieznaną prawdę i że bez naukowego komentarza kontakt z Pismem i Tradycją grozi zakażeniem szkolnymi ideami.

Naukowe komentarze są jednak potrzebne. Przecież nie znając historycznego kontekstu tekstu, intencji autorów, użytego przez nich gatunku literackiego itd., możemy źle zrozumieć ich przesłanie. Podobnie – nie znając dobrze całej tradycji, możemy ulegać złudzeniu, że coś jest „odwiecznym nauczaniem Kościoła” – mimo że to tylko jakaś forma, która zmieniała się wielokrotnie na przestrzeni dziejów. Elastyczność wobec zmian może wynikać nie z ducha świata, lecz z uważnego czytania źródeł i ze znajomości historii ich zmiennych interpretacji.

W tych sprawach, których zmiany mnie niepokoją i które uznałbym za moment zerwania, nie zetknąłem się z przekonującym rozumowaniem pokazującym, że mamy do czynienia z uprawnioną ewolucją doktryny, tak jak np. przedstawiał ją kard. Newman.

Bliski mi jest obraz kard. Journeta: „rozpakowywanie” się tej samej treści, która w różnych warunkach i historycznych kontekstach musi się rozgałęziać w różne sformułowania – ale zachowując cią-

PAWEŁ MILCAREK

(ur. 1966) jest założycielem i redaktorem naczelnym konserwatywnego katolickiego kwartalnika „Christianitas”. „Teologizujący filozof” – jak siebie określa, historyk, publicysta, propagator nadzwyczajnej formy ryty rzymskiego (mszy trydenckiej). Ojciec szóстки dzieci.



JAKUB SZYMCIUK / FOTO GOŚĆ / FORUM

głość i nie przeciwstawiając się temu, co na różnych etapach zostało wcześniej powiedziane z tym samym autorytetem. W przypadku wielu zmian proponowanych współcześnie nie widzę ciągłości prawdy, która świadczyłaby, że mamy do czynienia z prawdziwym integralnym rozwojem. Zamiast tego spotykam twarde odwołanie do władzy przeprowadzania zmian, np. „bo papież tak mówi”, albo fideizm: uznanie, że w danym momencie zawieszamy działanie rozumu i odwołujemy się do przeżycia: „oto Duch Święty nam dziś mówi...”.

Co złego jednak jest w odwołaniu się do działania Ducha? Czy pewien lęk przed zmianą zewnętrznych form religii nie wynika z braku wiary w żywą obecność niezmiennego Boga? Może kryzys polega w istocie na tym, że zamieniliśmy „wino mistyki” na „wodę moralizatorstwa i doktrynerstwa”?

Dla mnie ważna jest tu różnica pomiędzy dwoma punktami wyjścia, raczej alternatywnymi. W pierwszym Bóg jest Logosem – Kimś, kto, choć wymyka się naszym zdolnościom poznawczym, to jednak zechciał nam coś o sobie powiedzieć i daje się pojąć w analogii do stworzenia. Dzięki temu ludzki rozum może być pewien pewnej ciągłości teologicznego pojmowania. W drugiej perspektywie Bóg jest postrzegany przede wszystkim jako Moc. Mowę Boga widzi się tam, gdzie do-

konuje się przeskok, odwrócenie naszej ludzkiej logiki – w królestwie rzeczy zaskakujących, nieprzewidywanych, uderzających.

Ja bronię pierwszej perspektywy – Logosu. Uważając, by nie dokonać nadmiernej racjonalizacji religii, przyjmuję pogląd tych Ojców i Doktorów Kościoła, którzy przekonywali, że Bóg porozumiewa się z nami, nie zaprzeczając swoim kolejnym, dla nas zrozumiałym wypowiedziom. Na tym opiera się też zdolność przekazywania Objawienia w Kościele.

Za złudne uważam teologiczne przekonanie, że w pewnym momencie Bóg może wszystko odwrócić przez natchnienie charyzmatycznego lidera, choćby to był i papież. Duch Święty działa cały czas, ale nie ma sensu szukać jakiegoś jednego, „nowego Zesłania Ducha” otwierającego zupełnie nową epokę, czas prawdziwie duchowego Kościoła. Jakobyśmy dopiero teraz mieli właściwie odczytać Objawienie, które do tej pory wszyscy Ojcowie postrzegali niewyraźnie, albo wręcz błędnie. To złudzenie. Dziś tym bardziej niebezpieczne, że przybiera ono postać połączonej logiki władzy i wzmożonych oczekiwań wobec papieża, w stylu fideistycznego populizmu. Papież Franciszek jest dobrym, sympatycznym człowiekiem. Wszyscy charyzmatyczni liderzy jawili się jako bardzo bliscy ludowi, wręcz „pachnieli” swoimi wyznawcami. W wielu ludowych ruchach pojawiał się ten motyw: oto jeden z nas, najlepszy i najmocniejszy, →

→ mąż opatrnościowy odwraca bieg dziejów. Łatwo jest papieża potraktować w ten sposób.

Jednak kryzys jest realny i zmiana jest konieczna...

Zgoda – lecz jeśli zmiany teraz pójdą w złym kierunku, to nastąpi daleko idąca fragmentacja Kościoła. Podzielimy się na grupy, które nie będą w stanie ze sobą rozmawiać, a przede wszystkim – rozpoznać się w Objawieniu, które zostało dane w Chrystusie.

Nowa reformacja to nie będzie jedna wielka schizma, tylko rozpad?

Rozpad wewnętrzny, wiele atomizacji, wynikających z rozbijania całości doktrynalnej, z pozostawiania na peryferiach kolejnych grup zdeorientowanych wiernych. Popatrzmy np. na to, co się dzieje dzisiaj z nurtem katolicyzmu „janopawłowego” – masowego, mocno zmobilizowanego do bronienia „ewangelii życia”, odnajdującego się w tradycyjnej pobożności, a równocześnie misyjnego, ewangelizującego. Kiedyś był to mainstream, teraz mają często poczucie marginalizacji. Obawiam się, że będzie coraz więcej takich środowisk „cierpiących na bezdomność”. A świat ma mnóstwo oczekiwań i żądań wobec Kościoła, i różnie rozgrywa ten pokawałkowany Kościół – tworząc w nim w środku „kościół” na swój obraz i podobieństwo.

Każde środowisko ma swoje własne lęki. Jedni boją się „świata”. Inni tak samo irracjonalnie boją się, by nie uznano ich za ludzi zamkniętych na świat. Kryzys powoduje, że wszyscy są po trochu chorzy. Uczestnicząc w wewnątrzkościelnym sporze i krytykując innych, trzeba przynajmniej w równym stopniu dbać o swoich „chorych”. Lęki bowiem wzajemnie się napędzają, zwłaszcza w sytuacji agresywnych polemik. Kształtuje się podobnie zamknięta postawa prowadząca do wzajemnych oskarżeń, a nie do próby wspólnej naprawy sytuacji. Może dojść do sytuacji, gdy ludzie będą przekonani, że aby przetrwać, trzeba zbudować nie jeden Kościół, ale własny „szalas” – z wybranych przez siebie kawałków autorytetów, fragmentów tradycji.

Jak do tego nie dopuścić?

Trzeba szukać autentycznego doświadczenia, aż do monotonii codzienności. Ale nie chodzi tu o wyłącznie „pentekostalne”

Pewna część Kościoła, dziś zgromadzona wokół papieża Franciszka,

trwała od roku '68
w swoistym utajeniu
z przekonaniem, że dzieło
Soboru Watykańskiego II
zostało zahamowane przez
Pawła VI i Jana Pawła II.

emocjonalne wzmożenie. Bóg może dać się wszędzie, ale właściwie można rozpoznać Go w znakach liturgicznych i we wspólnocie, która jest związana tymi znakami. Waga, jaką moje środowisko przywiązuje do liturgii, nie jest antykwaryzmem. Nie chodzi nam o estetyczne poszukiwania, ale o budzenie zmysłu doświadczenia wiary w służbie Bożej. Bo liturgia – liturgiczna mowa Kościoła – jest sposobem przenoszenia światła objawienia do każdego kościoła każdego czasu. Celebrując misteria, Kościół interpretuje źródła. Ważne, by naszą codzienność kształtował organizm Tradycji. Katechizm, mszał, brewiarz.

Który mszał?

Ja tę „tkaninę pokoleń”, świętych obcowanie odnajduję wyraźniej w tzw. starym mszale. Ale jest i w posoborowym Mszale Pawła VI. Występuję tu w obronie rytuału. Rytuał nie jest dla mnie wszystkim – ale właśnie dlatego nie boję się powiedzieć, że w rytuale jest życie, Kościoła i moje. To są znaki, które wyznaczają drogę z Chrystusem. Bez nich nie będę wiedział, w którą stronę podążać. Te znaki nie są projekcją moich własnych przeżyć. Gdy modłę się antyfoną ułożoną ze słów patriarchy z Księgi Rodzaju w trakcie celebracji wspomnienia świętego z XIII wieku – to ta mowa nie wychodzi z mojego serca, lecz do niego przychodzi, oświecla je.

Analogicznie rozumiem rolę Katechizmu, jako „regułę”. Nie trzeba go przeczytać od deski do deski. To raczej uczenie się języka Kościoła. W bliskim mi benedyktyńskim języku powiedziałbym, że nam, postbarbarzyńcom w ciągłym pedzie, potrzeba zatrzymania i konfronta-

cji z wielką tradycją, nawet jeśli ona na pierwszy rzut oka nie tryska sokami doświadczeń mistycznych. Albo z kontemplacyjną ciszą, do czego nawołuje kard. Sarah. Trzeba cierpliwości. Zakończyć bieganie za czymś, co nas od razu całkowicie zapali i wzruszy, i w ogóle ma rozwiązać od razu wszystkie problemy.

Czy jednak oprócz tej pracy duchowej nie są konieczne zmiany instytucjonalne?

Są. Ale nie sądzę, żeby mógł naprawić sytuację sam obecny papież – który sprowadził na siebie znaki zapytania i „dubia” w całych sektorach Kościoła, w tym tych tradycyjnie propapieskich i oczekujących uzdrowienia sytuacji. Teraz i sam papież jest przedmiotem zasadniczych kontrowersji. Nie trzeba być wyznawcą błędnego poglądu o wyższości soboru nad papieżem, żeby w tej sytuacji myśleć, że ten kryzys będzie się palił i tlił, aż wraz z decyzją któregoś papieża przyjdzie też czas na sobór, taki, jakim dla czasu reformacji był Trydent. I podobnie jak wtedy, pokolenie z mocną świadomością wezwania do nadzwyczajnej gorliwości. W Trydencie nie chodziło tylko o odrzucenie błędów. Trydent chciał na głębokim poziomie opowiedzieć prawdę, omijając mielizny punktowane przez protestantów – uniknąć zwykłego powtarzania rozwiązań z późnośredniowiecznej teologii. I podobna praca będzie musiała być wykonana po bardzo wielu eksperymentach naszego czasu.

Pewna część Kościoła, dziś zgromadzona wokół papieża Franciszka, trwała od roku '68 w swoistym utajeniu z przekonaniem, że dzieło Soboru Watykańskiego II nie zostało dokończzone; że zahamował je Paweł VI i Jan Paweł II. To, co dziś się dzieje, jest realizacją tego ich marzenia i przekonania, że pewne negatywne procesy są skutkiem rzekomego „niedokończenia” Vaticanum II. Być może na naszych oczach odbywa się właśnie instytucjonalne spełnianie tych oczekiwań. Moim zdaniem są to kroki ku katastrofie. Ale pewnego dnia, gdy stwierdzimy, że wszystkie te eksperymenty wykonano, przyjdzie czas podsumowania – i odszukania przerwanych szlaków, na nowo. Co z naszych – w wielu sprawach różnych – przekonań i wizji Kościoła wówczas przetrwa, Bóg raczy wiedzieć. Niewątpliwie na naszych oczach dokonuje się koniec świata kościelnej nowoczesności; naszego świata.

©© Rozmawiał PIOTR SIKORA



Wizyta Lecha Wałęsy na czele delegacji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Uroczysta msza święta w katedrze wawelskiej. Homilię wygłosił ksiądz profesor Józef Tischner. Kraków, 18 października 1980 r.

nera i przesądzały o jego winie, inne krytykowały Cenckiewicza. Wpis – zamieszczony, podkreślmy, w przeddzień rocznicy pierwszych częściowo wolnych wyborów parlamentarnych – sprawiał wrażenie „wrzuty”, która miała popsuć innym święto. Z pozoru niewinny, a nawet wspólniczy, w istocie sugerował, że podane informacje należy interpretować na niekorzyść autora „Etyki solidarności”. Szybko też pojawiły się wpisy i tytuły, które dopowiadały to, czego szef WBH nie powiedział wprost.

Ponury żart

Zimną wodę na rozpalone głowy wylał Maciej Gawlikowski, od lat zajmujący się historią antykomunistycznej opozycji w Polsce i inwigilacją opozycji przez SB. Na swoim profilu facebookowym napisał, że same zapisy ewidencyjne niczego nie przesądzają. „O sprawie rejestracji ks. Tischnera mówiło się już w 2007 roku. Słyszałem o tym od znanego badacza z krakowskiego IPN-u. Jak rozumiem, przez tuzin lat nie udało się znaleźć żadnego dowodu współpracy. Dla mnie to kończy ten temat. Zwłaszcza że donoszenie przez ks. Tischnera w latach 80. jest zupełnie nieprawdopodobne. Każdy, kto go znał, kto wie, jaką miał pozycję, jakim był człowiekiem, uzna to za ponury żart”.

W podobnym duchu wypowiedział się dla KAI ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, odnosząc się m.in. do faktu zarejestrowania ks. Tischnera jako konsultanta jesienią 1988 r.: „Pamiętam atmosferę tego czasu, to była fala strajków i przekonanie, że władza się ugina. Wtedy podejmowało się rozmowy, gdyż z obu stron pojawiały się próby dojścia do porozumienia, co ostatecznie doprowadziło do rozmów Okrągłego Stołu. Tak sobie tłumaczę, że być może ks. Tischner wtedy też zaczął rozmawiać. Nie znamy okoliczności podjęcia tych rozmów. Być może ktoś go o to prosił, ktoś z »Solidarności«, może władze kościelne. Tego nie wiemy. Nie wiemy też, co z rozmów tych wynikało, jaka była szkodliwość tych kontaktów, o ile w ogóle były one szkodliwe”.

Tischner w esbeckich teczkach

WOJCIECH BONOWICZ

Fakt, że prócz ewidencyjnej rejestracji kontaktów nic nie ma, uruchomił wyobraźnię. To próba dla pamięci o zmarłym przyjacielu i przewodniku.

W PONIEDZIAŁEK 3 CZERWCA NA TWITTERZE pojawiły się dwa wpisy Sławomira Cenckiewicza, szefa Wojskowego Biura Historycznego i wiceprzewodniczącego kolegium IPN. Pierwszy wpis brzmiał: „Już jest! 1000 stron fundamentalnych dokumentów SB o Solidarności, Wałęsie i ludziach Kościoła! Jedna z najważniejszych ksiąg źródłowych IPN! Zaszczyt, że byłem jej naukowym recenzentem”. W ten sposób Cenckiewicz informował o ukazaniu się drugiego tomu opracowania „Kryptonim »Klan«”. Służba Bezpieczeństwa wobec NSZZ »Solidarność« w Gdańsku”, opublikowanego przez IPN. Tom zatytułowany „I Krajowy Zjazd Delegatów” przygotowali Dominik Sokołowski i Radosław Żydonik.

Drugi wpis Cenckiewicza z tego dnia zawierał zdjęcie jednej ze stron wspo-

mnianego opracowania, na której był zamieszczony biogram ks. Józefa Tischnera. W biogramie tym można było wyczytać, że w latach 80. Tischner był rozpracowywany przez Wydział IV KW MO w Krakowie (w ramach sprawy o kryptonimie „Leo”), następnie zarejestrowany przez Departament IV MSW jako „kandydat” (w lipcu 1983), później „kontakt operacyjny” (KO), a wreszcie „konsultant” (w październiku 1988), oraz że wyrejestrowano go 30 stycznia 1990 r. Zdjęcie to Cenckiewicz opatrzył komentarzem: „Przykra ta rejestracja ks. Józefa Tischnera w kategorii KO i konsultanta Departamentu IV MSW. Szkoda”.

Wpis został prawie natychmiast rozpowszechniony przez liczne portale internetowe i zaczął obrastać komentarzami. Jedne były niezyczliwe wobec ks. Tisch-

Brak wspólnych tajemnic

→ Jako biograf ks. Tischnera przez lata byłem pytany, co bym zrobił, gdyby się okazało, że w archiwach IPN są zapisy wskazujące na to, iż był nie tylko inwigilowany przez SB, ale również został zarejestrowany jako jej współpracownik. Od pewnego czasu zresztą krążyła po Krakowie plotka, że „coś na Tischnera jest, ale nic konkretnego”, i nawet zamierzałem w najbliższym czasie złożyć wniosek do IPN, żeby wrócić do badań nad archiwami, które kiedyś rozpocząłem.

Na wspomniane pytanie zawsze odpowiadałem, że o ks. Tischnera jestem spokojny. A dlaczego? Z rozmów z jego rodziną i znajomymi, a także z jego własnych relacji wynikało, że ksiądz przestrzegał obowiązującej wśród opozycjonistów zasady, aby nie mieć wspólnych tajemnic z SB. Jeśli wzywano go na rozmowy lub jeśli nachodzili go esbecy, informował o tym swoje otoczenie. Mówił też o tym otwarcie w wywiadach, których udzielał w latach 90., w okresie, kiedy nikt jeszcze nie domagał się od niego takich wyznań, a tym bardziej wyjaśnień.

Jako ksiądz wyróżniający się pośród innych duchownych był przedmiotem zainteresowania SB co najmniej od końca lat 60. Zachowała się m.in. obszernateczka donosów tajnego współpracownika (TW) o kryptonimie „Andrzej”, który był przez lata proboszczem w Łopusznej i który regularnie informował esbeków o pobytach Tischnera w tej miejscowości (sprawa ta została opisana przez ks. Isakowicza-Zaleskiego w książce „Księża wobec bezpieki”). Donosy na Tischnera można znaleźć również w aktach innych TW. W latach 80. Tischner stał się nieformalnym kapłanem środowisk solidarnościowych, często też wyjeżdżał za granicę, głównie do Rzymu (m.in. w związku z wizytami u papieża i organizacją kolokwium w Castel Gandolfo) oraz do Wiednia (gdzie współtworzył Instytut Nauk o Człowieku). Musiał więc wielokrotnie starać się o wydanie paszportu, a esbecy na pewno próbowali wykorzystać takie okazje, żeby skłonić go do współpracy. Sam zapis o jego rejestracji jako KO, a potem jako konsultanta nie oznacza jednak, że taką współpracę podjął.

W zarejestrowanych na początku lat 90. rozmowach z Anną Karoń-Ostrowską (które ukazały się jako książka już po śmierci Tischnera) ksiądz wspomina, że był wzywany na rozmowy dość często,

głównie w związku z podpisami na listach protestacyjnych i swoją działalnością w ramach Papieskiej Akademii Teologicznej.

„Nigdy się mnie nie czepiali za kazania czy za publikacje w podziemnej prasie. Na ogół chodziło o te podpisy” – opowiadał Tischner. „Te rozmowy nie były jakieś straszne, zatrważające. Nie na tym rzecz polegała, że czymś grozono, ale na tym, że było się kontrolowanym. To było najgorsze. (...) Ja im zresztą z góry powiedziałem, że nie mam żadnych osobistych tajemnic i o sobie mogę im powiedzieć wszystko. Nie kocham marksizmu ani socjalizmu i to mówię jawnie. Natomiast proszę mnie nie pytać o osoby trzecie”.

Jastrząb Kościoła

Utworzenie w 1982 r. wspomnianego Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu na pewno musiało zaniepokoić władze PRL. „Nie wiadomo, jak by się sprawy potoczyły, gdyby nie to, że za Instytutem w jakimś sensie stał Papież, z którym jednak musiano się liczyć”, wspominał Tischner w rozmowach z Adamem Michnikiem i Jackiem Żakowskim, które ukazały się w książce „Między Panem a Plebanem”. Podczas jednej z wizyt u papieża wspominał o tej sprawie. „Snuliśmy refleksję historyczną, kiedy zachciało mi się pochwalić, że ja też jestem prześladowany, że pułkownik Pietruszka, przesłuchując mnie, zarzucał uprawianie antysocjalistycznej roboty w Wiedniu. A Papież spuścił głowę, uśmiechnął się i patrzył przez brwi, mówi: »No, gdzie się tylko da«”.

Propaganda komunistyczna w latach 80. regularnie atakowała autora „Etyki solidarności”. Był jednym z negatywnych bohaterów sławnych konferencji prasowych ministra Jerzego Urbana. W wydanej w 1985 r. książeczce innego ministra, Kazimierza Kąkola, o kard. Stefanie Wyszyńskim, duszpasterzem najmocniej przeciwstawianym zmarłemu prymasowi był właśnie Tischner, „polityk w sułtanie”, „ideolog politycznego aktywizowania Kościoła”. W 1987 r. zaatakowano Tischnera jeszcze ostrzej: w poświęconej mu książce „Tischnerowska metoda krytyki socjalizmu” Włodzimierz Lebiecki opisał go jako jednego z „jastrzębi Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce”, reprezentującego „bezwzględnie najbardziej leninowską książkę – kpił po latach Tischner – zaraz po jej wydrukowaniu powinni byli mnie rozstrzelać. Nie było tam

takiego zarzutu, za który w czasach stalinowskich nie groziła kara śmierci”.

Sytuacja najtrudniejsza

Fakty te warto wziąć pod uwagę, zanim sformułuje się jakąkolwiek ocenę. Czytając dostępne definicje KO lub konsultanta, opracowane na podstawie wewnętrznych instrukcji SB (można je znaleźć m.in. w słowniczku terminów na stronie internetowej IPN), nie sposób się oprzeć pokusie wydawania jednoznacznych opinii. Problem w tym, że esbeckie definicje nierzadko rozjeżdżały się z praktyką; to bynajmniej nie mój pogląd, słyszałem go od wielu osób pracujących nad materiałami zgromadzonymi w IPN. Ponieważ szereg materiałów zostało zniszczonych – np. teczki ewidencji operacyjnej na księży (TEOK) zniszczono w latach 1989-90 – badacze skazani są na tzw. poszukiwania krzyżowe: szukając informacji o danej osobie, przeglądają archiwa dotyczące innych osób i spraw, w których mogłyby się pojawić wzmianki na jej temat. Czasem w dokumentach jednej sprawy znajdzie się odpis dokumentu sporządzonego w ramach innej sprawy i na tej podstawie formułuje się dopiero pierwsze wnioski.

W komentarzach, jakie pojawiły się w ostatnich dniach, porównuje się rewelacje dotyczące ks. Tischnera ze sprawą o Mieczysława A. Krąpca. To porównanie jest jednak nietrafne. W przypadku byłego rektora KUL dysponujemy obszernym materiałem, na podstawie którego sami możemy wyrobić sobie zdanie, czy zarejestrowany jako TW „Józef” dominikanin nie posunął się w swoich rozmowach z esbekami za daleko (np. informując o romansach niektórych duchownych, ich opiniach na temat prymasa Wyszyńskiego itp.). W przypadku ks. Tischnera jest inaczej. Jego sytuacja jest najtrudniejszą z możliwych: mamy zapis ewidencyjny i nic więcej. Nie wiadomo, co się za tym zapisem kryje. Dopóki nie odnajdą się jakieś inne dokumenty rzucające więcej światła na sprawę, pozostają tylko spekulacje.

W najbliższych dniach złożę wniosek do IPN-u i wrócę do badania akt. W przyszłym roku przypada 20. rocznica śmierci ks. Tischnera; przygotowuję nowe wydanie jego biografii. Wątek, o którym dziś jest tak głośno, na pewno zostanie w niej poruszony.



Ks. Mattia Ferrari z członkiem załogi statku „Mare Jonio”, kwiecień 2019 r.

Ewangelia na morzu

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Mimo energicznych działań ksenofobicznego wicepremiera Salviniego, we Włoszech są wciąż tacy, którzy ratują uchodźców z Morza Śródziemnego. Wśród nich ksiądz.

TO BYŁ MALEŃKI PONTON Z 30 OSOBAMI. Gdy ich zapytaliśmy, skąd płyną, odkrzyknęli: „Z piekła”. W ich oczach było przerażenie i szok. Przerażenie, ponieważ od 13 godzin byli na morzu, ich ponton miał awarię silnika, nabierał wody i dryfował. Płynęli z Libii. To, co ich tam spotkało, jest niewyobrażalne. Gdy zrozumieli, że są ocaleni, zaczęli śpiewać, modlić się, tańczyć. Razem świętowaliśmy życie. To był jeden z najpiękniejszych momentów w moim życiu – opowiada ks. Mattia Ferrari z Modeny, który na początku maja wziął udział w wyprawie ratowniczej na Morzu Śródziemnym włoskiego okrętu „Mare Jonio”, pływającego pod auspicjami sieci Mediterranea.

Mediterranea powstała w październiku zeszłego roku, gdy polityka nowego, po-

pulistycznego włoskiego rządu skutecznie utrudniła pracę na morzu organizacjom pozarządowym. Większość NGO-sów wycofała swoje okręty ze środkowej części Morza Śródziemnego, gdy na czele ministerstwa spraw wewnętrznych stanął Matteo Salvini, szef Ligi. Ten był komunista, którego żywiołem stały się nacjonalizm i ksenofobia, za głównego wroga uznał zagraniczne NGO-sy i ich statki ratujące ludzi na morzu. Jednak w taki sam sposób nęka włoski „Mare Jonio”. Zresztą nawet okrętom włoskiej marynarki z rozbitkami na pokładzie każe bezsensownie czekać w porcie, jak w przypadku okrętu „Diciotto” w sierpniu zeszłego roku.

„Mare Jonio” to stary holownik, wynajęty i przystosowany do niesienia pomocy rozbitkom przez Mediterranea dzięki dat-

kom zbieranym w systemie *crowdfunding*. W jego wyprawach ratowniczych często biorą udział parlamentarzyści lewicy czy znani pisarze. Majowa wyprawa „Mare Jonio” w kierunku Libii była jego szóstą misją ratowniczą. Zakończyła się ocaleniem 30 rozbitków i szczęśliwym dowiezieniem ich na włoską wyspę Lampedusa 10 maja.

Ksiądz z ulicy

Dwudziestopięcioletni Ferrari od kilku lat współpracuje z ośrodkami Ya Basta i Labas opiekującymi się imigrantami w Bolonii i należącymi do sieci Mediterranea. Zaczęło się, kiedy przyprowadził do nich bezdomnego imigranta, którego zabrał z ulicy. Ferrari został wyświęcony zaledwie rok temu. I od razu dał do zrozumienia, że nie zamierza być księdzem z zakrystii.

– Nie można tak po prostu zamknąć portów. Przede wszystkim zabraniają tego względy ludzkie – mówi. – Nie można zostawiać ludzi w morzu, nie można też ich zostawiać w libijskich obozach koncentracyjnych. Na imigrację z Afryki nie można patrzeć jak na osobny fakt. Zwrócił na to uwagę w zeszłym roku arcybiskup Palermo, Corrado Lorefice, przypominając, że to my jesteśmy rabusiami Afryki.

Odpowiadając na pytania dziennikarzy, co robi na pokładzie „okrętu domów” ➔

→ kultury”, jak go lekceważąco określił wicepremier Salvini (domy kultury – *centri sociali* – we Włoszech tradycyjnie skupiają osoby o orientacji lewicowej, Salvini zresztą też za młodu należał do organizacji Komunistów Padańscy i był aktywnym członkiem domu kultury w Mediolanie), ks. Ferrari powołuje się na naukę Chrystusa i wezwanie papieża Franciszka. Nieprzypadkowo przecież celem pierwszej pielgrzymki nowo wybranego papieża (w 2013 r.) była Lampedusa, gdzie mówił o „holokaucie dziejącym się na morzu”, a w 2017 r. udał się na grecką wyspę Lesbos, z której przywiózł do Włoch dwunastu uchodźców z Syrii. Na początku tego roku Watykan wydał niewielką książeczkę pt. „Światła na drogach nadziei”, w której zebrano przemyslenia papieża na temat imigrantów. Franciszek, sam będąc wnukiem włoskich emigrantów, którzy w 1929 r. znaleźli się w Argentynie, napisał np.: „Przenieść się w inne miejsce z nadzieją na znalezienie lepszego życia to głębokie pragnienie, które wprawiło w ruch miliony migrantów w minionych stuleciach” oraz: „Dramatyczne eksodusy uchodźców były też doświadczeniem Jezusa Chrystusa, który na początku swego ziemskiego życia musiał uciekać z rodzicami do Egiptu, by ochronić się przed morderczym szaleństwem Heroda”.

– Choć pochodzimy z różnych grup społecznych i wyznajemy różne religie, a są też wśród nas zaciekle antyklerykalowie – mówi o członkach załogi „Mare Jonio” ks. Ferrari – wszyscy darzymy wielkim szacunkiem papieża Franciszka. Jedno jest pewne: Ewangelię słysząc dzisiaj także na Morzu Śródziemnym.

I jeszcze o rozbitkach: – Jesteśmy pierwszymi osobami, które zobaczą. Chcę im nieść przyjaźń, wsparcie duchowe i pocieszenie.

Podczas niedzielnej mszy celebrowanej przez Ferrariego na statku obecna była cała załoga. A chętnych do służenia do niej było tylu, że trzeba było ich losować. Zresztą sami członkowie załogi przyznają, że przez pierwsze miesiące służby na morzu czegoś im brakowało. A kiedy zrozumieli, na czym polegał ten brak, ich kapitan Luca Casarini zwrócił się do biskupów Palermo Corrada Loreficego i Modeny Eria Castelluccio o pozwolenie na udział księdza w wyprawach „Mare Jonio”. Biskupi z radością się zgodzili.

Zgoda biskupów, obu blisko związanych z papieżem, świadczy, że nie mamy

tu wyłącznie do czynienia z inicjatywą załogi statku i prywatną decyzją księdza-idealisty, lecz z oficjalną polityką Kościoła. Poparcia udzieliła też prowadzona przez włoski episkopat charytatywna Fondazione Migrantes.

– Jest to częścią naszej misji – mówi o obecności księdza na pokładzie okrętu ratowniczego ks. Gianni De Robertis, szef Migrantes. – W twarzach migrantów widzimy Chrystusa, który do nas przybywa, i nie może nas zabraknąć tam, gdzie nasi bracia wyciągają do nas ręce.

Kapitan z Twittera blokuje statek

O obliczu włoskiego rządu decyduje dwóch wicepremierów: ksenofob Salvini i oportunistą Luigi Di Maio. To Di Maio, szef Ruchu Pięciu Gwiazd, jako pierwszy cynicznie nazwał okręty NGO-sów ratujące imigrantów „taksówkami przez morze”, dając w ten sposób hasło do zakończonego sukcesem szturm populistów na włoski parlament w wyborach zeszłej wiosny. To on dzisiaj mówi, że „wolałby, aby »Mare Jonio« nie szwendał się po Morzu Śródziemnym”.

Rządzący politycy, z dumą mówiący o sobie „populiści”, czują za plecami oddech „włoskiego ludu”, któremu coraz dalej jest do ewangelicznego podejścia Franciszka, Ferrariego i wolontariuszy. 12 maja grupka działaczy faszystowskiej Forza Nuova, zarzucających papieżowi „zdradę Włochów i katolicyzmu”, przed wejściem na plac przed bazyliką św. Piotra w Rzymie rozwinęła transparent z napisem „Bergoglio jak Badoglio. Zatrzymać imigrację”. Napis dowodzi szczególnej wrażliwości historycznej włoskich neofaszystów: Pietro Badoglio, przypomnijmy, był głównodowodzącym armii włoskiej, który sprzeciwiał się udziałowi Włoch w II wojnie światowej. W 1943 r., jako premier, podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji swego kraju wobec aliantów i wypowiedział wojnę hitlerowskiemu Niemcom. Zdaniem włoskich neofaszystów, tak jak należało u boku Hitlera likwidować inne „rasy”, tak dzisiaj należy pozwalać, by „obcy” tonęli w morzu.

Kiedy „Mare Jonio” zawijał do portu na Lampedusie z 30 rozbitkami na pokładzie, Salvini oznajmił na Twitterze, że statek zostanie wzięty w sekwestr, ponieważ jego załoga popełniła przestępstwo „wspierania nielegalnej imigracji”. Dla Salviniego, każącego współpracownikom nazywać się „Kapitanem”, Twitter jest „kwaterą

główną”, z której wydaje rozkazy zamykania portów, blokowania uchodźców, rozbiórki obozów cygańskich albo z której podlega do nienawiści wobec „robaków” popełniających we Włoszech wszelkie możliwe zbrodnie.

13 maja prokuratura z sycylijskiego Agrigento zdecydowała o zatrzymaniu statku i przesłuchaniu jego kapitana. To samo przytrafiło się „Mare Jonio” w marcu po tym, jak uratował z morza 49 rozbitków. Już wtedy kierowane przez Salviniego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odgrażało się, że zamierza zamknąć włoskie wody terytorialne przed okrętami NGO-sów, uniemożliwiając im kontynuowanie „nielegalnej działalności”. Ostatecznie prokuratura zdecydowała, że statek może kontynuować misję.

Mandat za ratowanie życia

Setki osób znów próbują uciec drogą morską z Libii. Według danych włoskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w maju we Włoszech wylądowało 711 rozbitków, czyli niemal tyle samo, co w ciągu pierwszych czterech miesięcy tego roku. 10 maja, na ogłoszonym ze statków NGO-sów Morzu Śródziemnym, niedaleko tunizejskiego brzegu utonęło 70 osób. Na początku maja tzw. libijska straż przybrzeżna zablokowała i zawróciła ponad 240 osób. Alarm Phone, gorąca linia przeznaczona dla imigrantów znajdujących się w niebezpieczeństwie, odbiera kolejne wezwania o pomoc. „Mare Jonio” pozostaje unieruchomiony w sycylijskim porcie, podobnie jak „Sea Watch” niemieckiego ONG, wzięty w sekwestr po tym, jak dotarł do Lampedusy 19 maja z 47 wylowionymi z morza imigrantami. Ośmielił się w ten sposób złamać zakaz Salviniego, który na Twitterze groził: „Nie myślcie nawet, że zabierzecie na pokład imigrantów i skierujecie się w stronę Włoch. Zostaniecie zatrzymani, przy użyciu WSZELKICH ŚRODKÓW (dozwolonych)”.

Salvini, który lubi publicznie demonstrować swój katolicyzm, składając przysięgi na Biblię czy różaniec, nie omieszkiał też skrytykować ks. Ferrariego. Na Twitterze, oczywiście. I przyszykował nowy „dekret o bezpieczeństwie”, przewidujący m.in. mandat w wysokości 3500-5500 euro za każdego wylowionego z morza i sprowadzonego do Włoch imigranta. Dopiero po interwencji prezydenta Sergia Mattarelli ten zapis został wycofany.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

SZYMON

Hołownia: Nasz świat jest chory



W STYCZNIU 2017 R. PEWNA REZOLUTNA TEK-sańska sześciolatka – wiedząc, że jej rodzice zamawiają różne potrzebne im rzeczy za pośrednictwem Amazon Echo (w skrócie: urządzenie, któremu mówisz, czego potrzebujesz, a wirtualna asystentka Alexa załatwia resztę) – uznała, że i ona może wytargować od owej Alexy również coś dla siebie. Pod nieobecność rodziców podeszła do Echa i zapytała Alexę, czy pobawi się z nią, i czy mogłaby załatwić jej jakiś fajny domek dla lalek. Alexa potraktowała rzecz z powagą sumiennej wirtualnej służącej i za parę godzin kurier dostarczył pod drzwi wartą 160 dolarów zabawkę oraz solidną paczkę ciastek. Rodzice, zorientowawszy się, co się stało, napomnieli córkę, domek dla lalek przekazali miejscowemu szpitalowi pediatrycznemu, i zabezpieczyli urządzenie specjalnym kodem.

Ale to nie koniec tej historii. Lokalna telewizja zrobiła o tej sprawie materiał do programu śniadaniowego. Jego gospodarz stwierdził, że to naprawdę musiało być urocze, gdy dziewczynka rozmawiając z przypominającym designerski głośnik urządzeniem poprosiła: „Alexa, zamów mi domek dla lalek”. Dokładnie w tym momencie Amazon Echo zainstalowane w domach, w których akurat włączony był ów program, usłyszawszy komendę, zaczęły zamawiać swoim właścicielom domki dla lalek. Ich producent miał tego dnia naprawdę dobry dzień. A ta opowieść służy odąd jako jedna z dyżurnych anegdot pokazujących, jak dzięki nowym technologiom zmienił się w ostatnich latach nasz świat (co generuje, rzecz jasna, mnóstwo nowych szans, ale i zagrożenia – od trywialnych, jak to, po te natury fundamentalnej).

Tego samego dnia, gdy mój zafascynowany owym nowym wymiarem świata kolega Marcin Prokop opowiedział mi o tej sytuacji, natrafiłem na raport australijskiego think tanku Breakthrough National Centre for Climate Restoration, z którego wynika, że już za 31 lat (dla porównania: to tylko tyle, ile mniej więcej dzieli nas od wyborów 4 czerwca i upadku PRL) średnia temperatura powierzchni Ziemi podniesie się nie o te non stop przywoływane dwa stopnie, lecz o trzy Efekt? 35 proc. powierzchni lądów i ponad połowa ludzkości przez co najmniej 20 dni w roku narażona będzie na warunki, w których organizm ludzki nie jest w stanie przeżyć.

Pisałem o tym na tych łamach już tyle razy, że naprawdę nie mam żadnej przyjemności w tym, żeby to jeszcze raz powtarzać: nasz świat jest chory na raka. Owszem, możemy wyśmiać lekarza, przekonywać, że przecież jeszcze wszystko jakoś działa, że co tam statystyki, modele i medyczna wiedza, skoro na razie jem, śpię i się śmieję. Możemy też jednak po-

traktować informację od specjalisty poważnie. Zrozumieć, że za 30–40 lat naprawdę najmniej istotnym problemem będzie to, jaką kto ma seksualną orientację, czy kochał Donka, czy Jarka, albo co sądzi na temat wojen z XX w. czy XVIII w., bo realna stanie się perspektywa, że XXIII w. być może nie będzie w ogóle. A naszą dumą oraz ciulanymi obecnie i traktowanymi jako przepustka do ziemskiego raję złotówkami będziemy mogli sobie udekorować choinki – bo w świecie bez jedzenia, wody, powietrza będą one miały wartość papieru, na którym je wydrukowano.

Nie ma dziś ważniejszej kwestii. Dlaczego jeszcze nie widzimy tego w Polsce? Bo my generalnie niewiele, poza sobą samymi, widzimy. Recenzowałem ostatnio znakomitą książkę Mirosława Wleklego „Raban! O Kościele nie z tej ziemi”. Wlekle przejechał cały katolicki „Trzeci Świat” (tak właśnie my, mieszkańcy europejskiego Muzeum Katolicyzmu, go traktujemy), od slumsów Argentyny, które odwiedzał kardynał Bergoglio, przez amazońskie „parafie”, którymi – wobec braku księży – *de facto* zarządzają odpowiednio przygotowani świeccy oraz wspólnoty osób homoseksualnych modlących się ze swoim biskupem w Londynie, po Liban i Syrię, gdzie chrześcijaństwo musi szukać *modus vivendi* z islamem, czy Belgię i najbardziej „zakazaną” dzielnicę Brukseli, gdzie miejscowy duszpasterz, Kameruńczyk, organizuje wspólne święta dla chrześcijan, żydów, muzułmanów i ateistów (namacalnie pokazując to, co pokazywał Chrystus, idąc na peryferie świata, zakładając Kościół, który zawsze umiera na salonach i odradza się na „marginesach”). Szczególnie poruszył mnie rozdział poświęcony Birmie i tej części świata, którą coraz częściej pustoszą kolejne gwałtowne cyklony (cyklon Nargis w 2008 r. zabił ponad 150 tys. ludzi, prawie milion uczynił bezdomnymi, prawie 40 mln rolników wpuścił w spiralę długów i zniszczenia). Wlekle obficie cytuje mianowanego przez Franciszka kardynała Birmańczyka Charlesa Maunga Bo, który twierdzi, że największym zagrożeniem dla świata nie są dziś wcale terroryści islamscy, lecz ekonomiczni i ekologiczni; mówi też o zaczynającym się na naszych oczach „ekologicznym Holokauście”; wreszcie – woła o opamiętanie, o to, by jedyną wojną trwającą na świecie była wojna o ubogich.

To nie jest tak, że znaczna część polskich katolików ignoruje (albo wprost krytykuje Franciszka), bo się z nim nie zgadza i kropka. Nie zgadzają się z nim dlatego, że uparcie nie chcą zobaczyć tego, co widzi on. Świata, w którym ci, którym zamarzy się na kolację tort czekoladowy, wystarczy, że wypowiedzą to głośno, a Alexa sprawdzi za nich przepisy, zamówi produkty i za trzy godziny wszystko dostarczy pod drzwi; a inni będą – jak haitańscy bohaterzy Wleklego – umierać za grosze, którymi można wspomóc jeszcze bardziej biedującą rodzinę (np. tę na dominikańskich plantacjach bananów). Gdy wreszcie dotrze do nich, jaka dziura, jakiej głębokości rów biegnie dziś przez sam środek Bożej Rodziny, rozumieją może wreszcie, że nie ma pilniejszej sprawy niż zajęcie się krzykiem, który zanosi do Boga każdego dnia, lekko licząc, połowa Jego dzieci. Nie ma i dla nas, Polaków, dla polskiego Kościoła ważniejszej misji i ratunkowego planu niż reanimacja solidarności w każdym możliwym wymiarze. Zajęcie się nie sobą, ale innymi. To dlatego trzeba słuchać proroka. To dlatego każdy z nas powinien znaleźć w sobie odwagę, by tam gdzie jest, nim być. ©

WIDZĘ W NICH PO PROSTU LUDZI

KS. GEORGE WILLIAMS, AMERYKAŃSKI JEZUITA:

Gdy zaczynałem pracę w więzieniu, byłem bratem zakonnym. To więźniowie zachęcali mnie do przyjęcia święceń, abym mógł ich spowiadać i odprawiać dla nich msze.

MARTA ZDZIEBORSKA: Jak to się stało, że oficer sił powietrznych został kapelanem w San Quentin – więzieniu, gdzie przebywa jedna czwarta skazanych na karę śmierci w USA?

GEORGE WILLIAMS SJ: Musiałbym najpierw opowiedzieć o tym, co wydarzyło się 40 lat temu.

Mamy czas.

To był koniec 1979 r. Zaraz po studiach stacjonowałem w wojskowej stacji radiolokacyjnej na Alasce. Od kilku tygodni panowały srogie mrozy i nie mogliśmy wychodzić na zewnątrz. Przemieszczaliśmy się tylko tzw. arktycznymi korytarzami, czyli łącznikami między budynkami w bazie. Często rozmyślałem wtedy o swoim życiu. Zastanawiałem się, czy powinienem dalej służyć w wojsku. Pamiętam szczególnie jeden dzień, gdy siedłem długim korytarzem i modliłem się do Boga z prośbą o jakąś wskazówkę.

Niedługo później poznałem kapelana sił powietrznych. Przedstawił mnie jezuitom, którzy prowadzili misję w Nome na Alasce [Nome to czterotysięczne miasteczko nad Morzem Beringa – red.]. Urze-

kło mnie ich poczucie humoru i dobroć. Zacząłem zastanawiać się, czy nie wstąpić do zakonu. Porzuciłem jednak ten pomysł i kontynuowałem służbę. Stacjonowałem potem w Niemczech i Arabii Saudyjskiej. Gdy skończył się mój pięcioletni kontrakt w armii, wróciłem na Alaskę. Przez rok robiłem wolontariat jako didżej w prowadzonej przez jezuitów stacji radiowej.

Czyli, krótko mówiąc, to przygoda z dziennikarstwem zachęciła Ojca do wstąpienia do zakonu?

Można tak powiedzieć (*śmiech*). Bałem się podjąć pochopną decyzję i chciałem lepiej poznać środowisko jezuitów. Po dwóch latach od skończenia wolontariatu wstąpiłem do Towarzystwa Jezusowego w Bostonie.

Skąd pomysł na posługę w więzieniu?

Pierwsza myśl pojawiła się już w czasie nowicjatu. W ramach trwających 30 dni ćwiczeń duchowych dostaliśmy zadanie, by wyobrazić sobie twarz Jezusa. Wszyscy mieli wizję, a ja nic. Podzieliłem się swoimi obawami z przełożonym. Do przełomu doszło dopiero kilka miesięcy póź-

niej, gdy odbywałem próbę nowicjacką. Jako miejsce posługi wybrałem więzienie w Norfolk w stanie Massachusetts. Już pierwszego dnia tamtejszy kapelan zabrał mnie do więziennego karceru. Rozmawiałem z mężczyzną, który od kilkunastu lat odsiadywał wyrok za morderstwo. Przez mały otwór w drzwiach celi widziałem tylko jego twarz. Pamiętam, że był rdzennym Amerykaninem ze stanu Maine. Nie potrafię tego opisać, ale podczas rozmowy poczułem z nim niesamowitą więź. Po tym spotkaniu zrozumiałem, że właśnie w nim zobaczyłem twarz Jezusa.

A czy Jezusa można zobaczyć w oczach seryjnego mordercy? W celach śmierci w San Quentin przebywają m.in.



EZRA SHAW / GETTY IMAGES



Korytarze więzienia San Quentin, Kalifornia, 2017 r.

Lonnie Franklin, zabójca dziesięciu kobiet, i Scott Peterson, który zamordował żonę. Była w ósmym miesiącu ciąży.

Gdy osiem lat temu zaczynałem posługę w San Quentin, miałbym problem z odpowiedzią na to pytanie. Chciałem jak najwięcej wiedzieć o więźniach i czytałem ich akta. Wciąż myślałem o brutalnych czynach, jakich się dopuścili. Często miałem koszmary. Szybko zrozumiałem jednak, że ocenianie więźniów nic nie zmieni. Moim zadaniem jest okazanie im miłosierdzia. Widzę w nich ludzi, a nie bestie. Czasami nie jest łatwo. Pamiętam, jak morderca-kanibal, który zabił 50 osób, spytał mnie, czy powinien przejść na wegetarianizm. Inny seryjny zabójca często po-

wtarza w żartach, żebym „nigdy nie popełnił tych samych błędów co on”. Dziś takie zaczepki już mnie nie szokują.

W marcu gubernator Kalifornii Gavin Newsom ogłosił moratorium na wykonywanie kary śmierci. Na mocy tej decyzji zamknięto mieszczącą się w San Quentin salę egzekucji i wywieziono sprzęt. Jak na te zmiany zareagowali więźniowie?

Gdy przyszedłem do San Quentin w dniu ogłoszenia moratorium, spodziewałem się bardzo pozytywnych reakcji. Więźniowie byli jednak powściągliwi. Wyglądali tak, jakby nie chcieli zapeszyć dobrych wiadomości. Ale wiedziałem, że się cieszą. Niektórzy podkreślali, że czują

ulgę. Decyzja gubernatora, która objęła 737 więźniów czekających na egzekucję w Kalifornii, obowiązuje do końca jego czteroletniej kadencji. Do tego czasu mogą spać spokojnie.

Być może stłumione reakcje więźniów wynikają z symbolicznego znaczenia moratorium. Od 2006 r., gdy sąd federalny nakazał wypracowanie nowej metody podania śmiertelnego zastrzyku, w Kalifornii nie wykonano ani jednej egzekucji.

Niektórzy więźniowie czekają na śmierć od ponad 30 lat. Bardziej prawdopodobne jest to, że umrą ze starości, z powodu choroby lub samobójstwa. Pod koniec kwietnia na raka płuc zmarł 80-letni więzień. ➔

→ Czwierć wieku temu został skazany za brutalne morderstwo młodej kobiety. Zanim umarł, przez rok chodził na chemioterapię. Niewiele się o tym mówi, ale więźniowie w San Quentin mogą korzystać z dość dobrej opieki medycznej. Jeden z osadzonych miał ostatnio wszczepianą endoprotezę stawu biodrowego. Inny przeszedł operację kolana. Więźniowie mogą też iść do dentysty czy psychologa.

Osadzeni w San Quentin mają chyba lepszy dostęp do opieki medycznej niż niejeden Amerykanin, którego nie stać na polisę ubezpieczeniową.

To prawda. Niektórzy więźniowie podkreślają, że mają teraz większe szanse na wizytę u lekarza niż wtedy, gdy byli na wolności. Jak wynika ze statystyk, 6 na 10 więźniów czekających na egzekucję w Kalifornii to osoby, które mają kolor skóry inny niż biały. To głównie słabo wykształceni ludzie, którzy żyli w biedzie na długo przed popełnieniem przestępstwa. W San Quentin, podobnie jak w innych amerykańskich więzieniach, szczególnie liczną grupę stanowią Afroamerykanie. Wielu z nich trudno było wywalczyć łagodniejszy wyrok niż kara śmierci. Nie było ich stać na dobrego prawnika, mogli tylko liczyć na obrońcę z urzędu.

Czy w Kalifornii, gdzie na egzekucję czeka się nawet kilkadziesiąt lat, więźniowie boją się jeszcze tego momentu?

Większość skupia się na składaniu kolejnych apelacji. Procedura odwoławcza może trwać nawet 25 lat. Jeśli w tym czasie nie uda im się doprowadzić do uniewinnienia lub złagodzenia kary, muszą oswoić się z myślą o egzekucji. Ich stan można porównać z sytuacją pacjenta, który żyje z diagnozą śmiertelnej choroby. Paradoksalnie bardziej jednak niż egzekucji osadzeni boją się tego, że umrą w więzieniu ze starości.

Najlepszym chyba tego przykładem był apel Tima Younga, więźnia San Quentin. Sprzeciwiał się zapowiadanemu w 2012 r. referendum w sprawie zniesienia kary śmierci w Kalifornii.

Bał się, że w przypadku pozytywnego wyniku referendum jego wyrok zostałby zamieniony na karę dożywocia bez możliwości zwolnienia warunkowego.

W San Quentin protestowało wtedy wielu osadzonych. Jestem przeciwnikiem

Jestem przeciwnikiem kary śmierci,
ale skazywanie kogoś
na dożywocie bez nadziei
na zwolnienie warunkowe
jest jeszcze gorsze.

kary śmierci, ale uważam, że skazywanie kogoś na dożywocie bez nadziei na zwolnienie warunkowe jest jeszcze gorsze. Więźniowie bali się nie tylko zmiany wyroku, ale też tego, że straciliby przysługującą im dotąd drogę odwoławczą. Nie mogliby też zachować niektórych przywilejów. W przeciwieństwie do reszty osadzonych oni nie muszą dzielić celi z innymi więźniami. Przyzwyczaili się do życia w pojedynkę i bali się konfliktów z potencjalnymi sąsiadami. Ze względu na towarzyszące referendum ryzyko samobójstw w San Quentin podwyższono środki bezpieczeństwa. Co ciekawe, niektórzy więźniowie sprzeciwiali się organizacji referendum, bo nie chcieli zniesienia kary śmierci.

Chce Ojciec powiedzieć, że nie mogli doczekać się swojej egzekucji?

Tak bym tego nie ujął. Chodzi o wyznawane przez nich wartości. Pewnie nie chcieli egzekucji dla siebie, ale już w przypadku więźnia z celi obok nie mieliby nic przeciwko.

Jaka atmosfera panuje we wschodnim bloku San Quentin, gdzie przebywa większość czekających na egzekucję?

Jest głośno, ciemno i śmierdzi. Już przy wejściu do budynku odstrasza napis w gotyckim stylu: „Cele potępionych”. Cały blok wygląda jak pięciopiętrowy magazyn. Na każdej kondygnacji upchane są dziesiątki cel. Z pomieszczeń o wielkości półtora metra na trzy metry prawie zawsze słychać radio lub telewizor. Więźniowie mają dostęp do podstawowych programów. Nie ma mowy o HBO czy kablówce. To dla nich jedyne okno na świat. Jeśli potrzebują miejsca do pracy, za biurko służy im metalowe łóżko. Przy nim jedzą też posiłki. Do cel dociera tylko światło jarzeniówek. Najjaśniej jest w tej części budynku, która wychodzi na stronę malowniczej Zatoki San Francisco. Ale na korytarzu przez brudne okna można zobaczyć tylko zarys wody.

Jak często więźniowie mogą opuszczać cele?

Co dziennie rano między 7 a 12. Mogą przejść się po korytarzu na swoim piętrze albo wyjść na plac na zewnątrz budynku. Jest tam boisko do koszykówki i sprzęt do ćwiczeń. Większe ograniczenia obowiązują osoby, które mają na koncie działania w więziennych gangach lub atak z nożem na współwięźniów i strażników. Oni wychodzą na zewnątrz rzadziej i spędzają czas na oddzielnym placu. Przebywają tam zamknięci w metalowych klatkach. Największym wrogiem osadzonych jest przede wszystkim nuda.

Jak sobie z nią radzą?

Oglądają telewizję, czytają książki. To drugie tylko niektórzy, bo nie brakuje osób, które mają z tym trudności. Więźniowie przebywający w celach śmierci nie mogą brać udziału w zajęciach resocjalizacyjnych. Mają jednak prawo uczestniczyć w kursach korespondencyjnych. Najbardziej zdeterminowani mogą nawet skończyć studia. Niektórzy zapisują się na kurs biblijny, malują albo piszą wiersze. Jeden mężczyzna przygotował książkę z przepisami potraw. To ma być inspiracja dla więźniów, którzy tuż przed egzekucją mają prawo zamówić nawet najbardziej wykwinny posiłek.

Więźniowie mogą też pójść na mszę, którą Ojciec odprawia dla nich dwa razy w tygodniu. Czy pojawia się wtedy dużo osób?

W ciągu miesiąca widzę około stu więźniów. Jednorazowo może przyjść jednak 20 osób. Na kaplicę przeznaczono niewielkie pomieszczenie, w którym kiedyś był prysznic. Mieści się tam tylko sześć ławek.

Czy podczas mszy zachowane są dodatkowe środki bezpieczeństwa?

I to na każdym kroku. Trzeba zacząć od tego, jak wygląda kaplica. Dzieli się na dwa zakratowane obszary: w jednym siedzą więźniowie, w drugiej odprawiam mszę. Moja „klatka” jest niewiele większa od budki telefonicznej. Zamykam się w niej na kłódkę. Podczas mszy mam na sobie kamizelkę chroniącą przed pchnięciem nożem. Jedyne dopuszczalny bezpośredni kontakt z więźniami to moment, gdy na znak pokoju podajemy sobie ręce. Przez kraty przekazuję też komunie świętą. Msza jest bardzo prosta. Wygłaszam nieformalne kazanie, podczas któ-

GEORGE WILLIAMS SJ (ur. 1957) jest kapłanem w więzieniu San Quentin w Kalifornii. Od 2011 r. prowadzi tam posługę dla więźniów skazanych na karę śmierci. Wcześniej pracował m.in. jako kapłan w więzieniu w Bostonie. Członek Towarzystwa Jezusowego od 1987 r., święcenia kapłańskie przyjął w 2004 r. Wcześniej, w latach 1979-84, służył jako podporucznik w amerykańskich siłach powietrznych. Obronił doktorat z kryminologii na Uniwersytecie Północno-Wschodnim (Northeastern University) w Bostonie.

Na zdjęciu: Ojciec George Williams, w tle więzienie San Quentin.



ARCHIWUM WIEZIENIA SAN QUENTIN W KALIFORNI

rego wymieniamy się z wiernymi prze-myśleniami. W więziennej kaplicy udzielane są też sakramenty chrztu i bierzmo-wania.

Czy jakaś msza zapadła Ojcu wyjątkowo w pamięć?

Dla mnie każda jest wyjątkowa. Najbar-dziej pamiętam jednak chrzest jednego z więźniów. Mogliśmy przebywać w tym samym pomieszczeniu, bo mężczyzna – w przeciwieństwie do uczestniczących we mszy wiernych – miał założone kaj-danki. Na swój chrzest zaprosił strażni-ków więziennych. To była bardzo wzru-szająca ceremonia. Pod koniec doszło jed-nak do niezręcznego momentu. Mężczy-zna poprosił, żebym namaścił jego ręce olejem krzyżma. To było trudne, bo miał przecież kajdanki. Ten człowiek wiele lat wcześniej zabił całą swoją rodzinę. Wierzę jednak, że niektórzy potrafią się zmienić. Najlepiej pokazuje to przykład innego więźnia, który został skazany na karę śmierci za zlecenie zabójstwa żony. W przeciwieństwie do większości osadzo-nych zrezygnował ze składania apelacji i przyznał się do winy. Pogodził się z myślą o śmierci i na własną rękę skontaktował się z jednym z klasztorów benedyktynów. Jako osoba świecka został niedawno obla-tem i modli się za dusze wszystkich kobiet i mężczyzn, których poddano egzekucji w Kalifornii.

Lubi Ojciec powtarzać, że najbardziej uzdrawiający dla więźniów jest sa-krament spowiedzi. Słyszałam, że to właśnie dla nich przyjął Ojciec świę-cenia kapłańskie. Czy to prawda?

Muszę przyznać, że to ich zasługa. Gdy 26 lat temu zaczynałem pracę kapelana więziennego, byłem bratem zakonnym. Więźniowie zachęcali mnie do przyjęcia święceń, bo mógłbym wtedy ich spowia-dać i odprawiać msze. Z biegiem lat zro-zumiałem, jak ważne jest dla nich otrzy-manie rozgrzeszenia. W ten sposób mogą rozprawić się z poczuciem winy i wstydu za swoje czyny.

Gdzie Ojciec spowiada? W San Quentin nie ma chyba zbyt wielu miejsc do rozmowy na osobności.

Rezerwuję z wyprzedzeniem pomiesz-czenie, które na co dzień służy do spotkań z psychologiem. Podczas spowiedzi męż-cyzna przebywa zamknięty w „klatce”, a ja siadam naprzeciwko na krześle.

Niezależnie od spowiedzi, gdzie Ojca obowiązuje tajemnica, z jakich pro-blemów zwracają się więźniowie?

Często mówią o samotności. Niektórzy albo nie mają bliskich, albo odwróciła się od nich cała rodzina. Ci, którzy mogą li-czyć na wsparcie najbliższych, boją się, że z biegiem lat tracą z nimi kontakt. Zda-rzają się jednak pozytywne przypadki. Szczególnie zaskakujący jest dla mnie przykład żon, które nie porzuciły mężów po tym, jak dopuścili się brutalnych prze-stępstw. Zdarza się, że niektóre pary pro-szą mnie o odnowienie przyrzeczeń mał-żeńskich. Oprócz samotności wielu prze-raża myśl, że ich egzystencja prowadzi jedynie do egzekucji. Niektórzy zastana-wiają się, czy kiedykolwiek odnajdą w ży-ciu sens. Co bardziej zdesperowani powta-rzają, że chcą umrzeć.

Czy proszą Ojca o modlitwę o szybszą śmierć?

(długa cisza) Zdarzało się tak w przy-padku starszych i zniedołężniałych wię-źniów. Byli zmęczeni długoletnim choro-waniem w więzieniu i chcieli być znów wolni. Nie miałem problemów z modlitwą w tej intencji. Lepiej, by dołączyli do Boga, a nie cierpieli w celi przez kolejne lata. By-wają jednak młodzi więźniowie, którzy nie mogą poradzić sobie z wizją życia w zamknięciu przez kilkadziesiąt lat. Zaczynają wtedy cierpieć z powodu chronicznego bólu, stopniowo tracą zdolność poruszania się. Ich sytuacja nie różni się od tej, w któ-rej znajdują się podopieczni w domach starości. Staram się pomóc więźniom, by odzyskali pokój i pogodzili się z Bogiem. W przeciwnym razie ich życie byłoby już zupełnie przygnębiające i bez sensu.

Czy kiedykolwiek zdarzyło się, by więzień zaatakował Ojca?

Na szczęście nigdy. Nikt nawet mi nie groził. Oczywiście taki atak mógłby się zdarzyć, bo nie brakuje tu osób niezrów-noważonych psychicznie. Na co dzień mu-szę po prostu uważać.

Czy jest coś, czego Ojciec najbardziej się boi w swojej pracy?

To moment, gdy w Kalifornii dojdzie do wznowienia wykonywania kary śmierci. Pracuję w San Quentin od 2011 r. i do tej pory nie odbyła się tutaj żadna egzekucja. Boję się, że kiedyś będę musiał towarzy-szyć więźniowi podczas śmierci.

© Rozmawiała w Kalifornii
MARTA ZDZIEBORSKA



Ahmad z dyplomem ukończenia pierwszego roku studiów inżynierii komputerowej, na trzy lata przed zatrzymaniem, Damaszek, luty 2004 r.

„Sprzeciw”. Treści dotyczyły bieżących wydarzeń, takich jak wojna w Iraku.

– Strona była banalna, ale miała licznik odwiedzin – mówi Ahmad. – A my byliśmy małolatami żądnymi poklasku, cieszyło nas każde kolejne wyświetlenie. Mówiliśmy do siebie podekscytowani: „Wow, już 20 wejść!”. Nie liczyliśmy się z konsekwencjami.

Był rok 2007, zbliżały się wybory prezydenckie, które miały usankcjonować władzę Baszara al-Asada. Sprawujący od siedmiu lat urząd prezydent był w nich jedynym kandydatem. Na każdym kroku widniały jego portrety, w radiodbiornikach leciały piosenki ku jego czci. Przeciwnicy – i domniemani przeciwnicy – znaleźli się pod lupą służb. Przed ekranem jednego z komputerów, na których wyświetliła się stworzona przez studentów strona, siedział oficer wywiadu.

Powrót

Ahmad urodził się w Arabii Saudyjskiej, dokąd jego rodzice, podobnie jak wielu Syryjczyków, wyemigrowali w latach 80. XX w., kiedy sytuacja w ich kraju stawała się coraz bardziej napięta. Rynek pracy bogatych krajów Zatoki był otwarty, a młodzi często wyjeżdżali tam po ukończeniu szkoły, by uniknąć służby wojskowej. Rodzina Ahmada do Syrii jeździła tylko latem. Dla chłopaka był to czas beztroskiej zabawy z kuzynami.

Na dłużej przyjechał dopiero po ukończeniu szkoły średniej w 2004 r. Wujek, u którego wtedy zamieszkał, próbował przestrzec go przed nieostrożnymi zachowaniami. Na próżno.

Ahmad: – Wydawało mi się, że znalazłem się w wolnym kraju równych ludzi. Później zobaczyłem, że w Syrii nierówności są po prostu inne. Co z tego, że kobiety nie musiały zakrywać włosów? Miałem rozpocząć studia, jednak aby odroczyć wojsko, potrzebny jest papier. Po raz pierwszy zobaczyłem, że dla urzędników reżimu jestem nikim. Mogli na mnie napluć, a mnie nie wolno było zareagować. Musiałem się do nich zwracać: „mój panie”, choć nie mówiłem w ten sposób do własnego ojca. W Arabii Saudyjskiej uczono nas zwracać się tak nie do króla, ale do Boga. Miałem 17 lat i nie chciałem nikogo nazywać swoim panem.

Zatrzymanie

Tamtej nocy funkcjonariusze skuli mu ręce za plecami, a na oczy nałożyli czarną

Piekło w kształcie igreka

DALIA MIKULSKA

Ahmad wychował się poza Syrią, swoją ojczyzną. Nikt go nie nauczył, że nie o wszystkim należy mówić głośno, gdyż każdy może być szpiegiem. Zapłacił za to cenę: na cztery lata trafił do więzienia, był torturowany. Oto jego historia.

ZAPALONE ŚWIATŁO RAZIŁO OCZY. ZAMROZCHONY, DŁUGO NIE WIEDZIAŁ, CO SIĘ WOKÓŁ DZIEJE. Nagle dotarło do niego, że jego skroni dotyka lufa karabinu. W pomieszczeniu pełno było żołnierzy i agentów wywiadu, a jego wujek próbował wyjaśnić przyczynę najścia.

Chłopak był bardziej zszokowany niż przestraszony. Zanim go stamtąd wywlekli, w pośpiechu nałożył na pizamę kurtkę. Oficer parsknął: „Weź lepiej do datkową parę skarpet”.

Jedno z wyświetleń

Było to jeszcze, zanim jego kraj pochłonięła wojna, w czasach, gdy Syria rzadko przykuwała uwagę europejskich mediów. Ahmad miał 20 lat i studiował inżynierię komputerową na uniwersytecie w Manbidż, 90 km od Aleppo.

Wspólnie z kolegami z uczelni, Abdulahem i Mahmoudem, założył stronę internetową, na której umieszczali artykuły i przemowy kopiowane z krajowych i zagranicznych mediów. Nazywała się

opaskę, po czym wpakowali go do samochodu i zawieźli do jednej z rozsianych po Aleppo jednostek wywiadu.

Na miejscu było zimno i brudno. Siedział na podłodze, próbując ruchem brwi choć odrobinę unieść opaskę zakrywającą oczy, by zobaczyć pomieszczenie, w którym się znalazł. Nagle poczuł kopnięcie i usłyszał rozkaz: „Wstawaj i idź za mną!”. Zdjęto mu kajdanki, opaskę, kazano się rozebrać. Rozebrał się tylko do bielizny. „Powiedziałem: wszystko” – rozkazał strażnik.

Dziś już Ahmad nie wie, dlaczego wtedy zapytał strażnika, czy jest tego pewny. W odpowiedzi znów poczuł kopnięcie. Musiał jeszcze zrobić dwa obroty i trzy przysiady – w ten sposób sprawdza się, czy więzień nie ukrył niczego w odbycie.

Nieco później w siedzibie muchabratu, czyli tajnej policji, zobaczył Abdullaha. Domyślił się, dlaczego się tam znalazł. Kolega był w strasznym stanie – miał powykrzywane nogi i z trudnością chodził.

– Pomyślałem, że musiał przyznać się do wszystkiego. Być może dlatego mnie nie torturowano tak bardzo. Byłem wprawdzie bity, kopany i poniżany, ale to nic w porównaniu z innymi – twierdzi Ahmad. Po czym zaczyna relację z przesłuchań:

– Najpierw sugerowali, że usiłowałem dokonać zamachu. Pytali, czy należę do Al-Kaidy. Później dowiedziałem się, że w mojej rodzinie był ktoś, kto należał do wrogiego reżimowi Bractwa Muzułmańskiego. Nie znałem go, nie miałem nic wspólnego z Al-Kaidą. Ale kiedy czujesz, że chcą cię zrobić w poważne zbrodnie, bez wahania przyznasz się do mniejszych. Wiele z ich pytań nie miało dla mnie sensu. Chcieli wiedzieć, ile jest dziewczyn w mojej grupie na studiach, czy mi się podobają, czy z nimi spałem. Później pytali, co sądzę o jakimś wersecie Koranu. O rodzinę. O powiązania z Arabią Saudyjską. O to, czego uczono mnie tam o Syrii. „To jak, co by ci o mnie powiedzieli twoi saudyjscy nauczyciele?” – drwił jeden z funkcjonariuszy. – Pójdę do piekła czy do raju?”. Co miałem odpowiedzieć? Nie jestem Bogiem. Później pytali, skąd znam Abdullaha i Mahmouda. Ta noc była wyczerpująca, przesłuchanie trwało kilka godzin.

Potem upchnęli go w zatłoczonej celi. Podłoga była zimna. Zamek w ciężkich żelaznych drzwiach hałasował za każdym razem, gdy wywoływano kolejnych więźniów.

Nazajutrz, i w kolejne dni, Ahmada czekały powtórki z przesłuchań. – Robili wszystko, bym się pogubił, abym sam zwątpił w swoje słowa. „Jesteś pewny? Abdullah powiedział, że...”, powtarzali. Przez cztery, pięć dni zadawali te same pytania. Bili mnie tak, że upadałem – opowiada.

Powoli zaczynała dochodzić do niego powaga sytuacji. Policzył, że jeśli skazą go na 10 lat, wychodząc z więzienia będzie miał 30 lat. Może jeszcze uda mu się ożenić i mieć czwórkę dzieci? Ale jeśli dostanie 20 lat, będzie trudniej. „Cholera, lubię dzieci” – pomyślał.

Duch i dywan

Jednostka wywiadu numer 235, zwana „Palestyńską”, uchodziła za jedną z najgorszych. To tam zabrali go po 28 dniach. Ahmad: – Przez całą drogę do Damaszku myślałem tylko o tym, że chciałbym mieć odwagę, aby popełnić samobójstwo.

Po korytarzach niesły się wrzaski torturowanych. Ich położone na brzuchach ciała przywiązywano do dwóch desek, które następnie składano, zbliżając stopy do głów i w nienaturalny sposób wyginając kręgosłup. Mówiono na to: „latający dywan”.

Krzyczeli też ci, których skrupowane nadgarstki podwieszono za plecami do sufitu i pozostawiano w tej pozycji na wiele godzin. Napięcie mięśni w obręczy barkowej zmuszało ich, by przez cały ten czas stali na palcach. Tę torturę nazywano „duchem”.

Ahmada bili, okładali kablami i kijami. Kiedy klawisz pchnął go do zatłoczonej piwnicy z 40 innymi więźniami, jego wzrok przykuł nastolatek o najbardziej niewinnej twarzy, jaką kiedykolwiek widział. Usłyszał później, że chłopak jest tu od 11 miesięcy i odtąd nie widział swojej matki, która przebywa w piwnicy przeznaczonych dla kobiet. „To największy szpieg w tej dziurze”, ostrzegali przed nim współwięźniowie.

– Wiedzieli, że choćby pod wpływem najgorszych tortur i tak nie zdradzę im żadnych nazwisk czy istotnych informacji – bo ich nie mam. Miałem tylko potwierdzić to, co zeznał wcześniej Abdullah. Ale czy to, co powiedziałem, miało jakiegokolwiek znaczenie? Po którymś przesłuchaniu po prostu wręczyli mi kartkę papieru i kazali podpisać. „Czy nie powinienem jej najpierw przeczytać?”, zapytałem. „Rób co każe”, usłyszałem w odpowiedzi.

Tortury, czyli „impreza”

Minęło dziewięć, może jedenaście tygodni. Strażnicy wyciągnęli Ahmada z celi, zasłanili mu oczy i z innymi więźniami załadowali do samochodu. Przewieziono ich do oddalonej o 30 km od Damaszku Sajdnai.

Budynek więzienia można zobaczyć na mapach Google – przypomina literę Y. Ba, można je nawet „ocenić” – podobnie jak salon fryzjerski, w którym obcięto nas o centymetr za krótko, lub restaurację, w której podano zimną zupę. Nie da się jednak znaleźć obrazu, który pokazałby warunki panujące w środku.

Na początku czekała ich – jak mówiono – „impreza powitalna”. Czarne opaski wciąż przysłaniały wzrok, gdy kazano im biec przed siebie. Więźniowie upadali potykając się o wszystko, co było na ich drodze.

Później zabrano ich do piwnicy. Tu tortury nie były już częścią przesłuchania – wszystkie informacje wydali wcześniej, w obskurnych piwnicach muchabratu. Tortury w Sajdnai były raczej częścią „tresury” więźniów, aby – upodleni – stali się bardziej posłuszni i nie sprawiali strażnikom kłopotów. Ahmadowi na zgięte nogi nałożono oponę, a w wąskiej przestrzeni, która w ten sposób pozostała, umieszczono metalowy kij. Następnie obrócono go stopami do góry i zaczęto po nich okładać.

Jak na innej planecie

Jednak najgorszą torturą stała się dla niego rutyna. Przez pierwsze miesiące cierpiał na depresję. Nie mógł pogodzić się z tym, co go spotkało. Potem przywykł. Pomogła lektura poezji, której tomiki starzy więźniowie zdobyli przekupując strażników. Od Libańczyka, z którym dzielił celę, Ahmad nauczył się angielskiego. Ktoś inny uczył współwięźniów kaligrafii. Analfabeci mogli nauczyć się czytać i pisać, a pewien starszy mężczyzna wróżył ze snów.

O życiu za kratami Ahmad mówi, że to tak jakby narodzić się po raz drugi, ale na innej planecie. Wszystko staje się nieracjonalne, dotychczasowe zasady przestają obowiązywać.

– Mówi się, że życie bez nadziei to piekło – opowiada Ahmad. – A co, jeśli nadzieja staje się najgorszym wrogiem? Codziennie więźniowie powtarzali rozgorączkowani: „Słyszałeś, że Ali został osądzony? Dali mu tylko pięć lat!”, i porównywali jego zbrodnię ze swoją. Nadzieja była naszym głównym pożywieniem. Ale nadzieja jest ➔

→ niebezpieczna. Mami cię i sprawia, że zapominasz o paskudnej prawdzie – że jesteś tu zamknięty bez wyroku. Bóg jeden wie na jak długo. Zrozumiałem, że jeśli chcę tam przeżyć, muszę zapomnieć o życiu poza murami Sajdnai – i przestałem ufać nadziei. Postanowiłem, że moje myśli zajmować będą tylko proste, codzienne sprawy, jak oczekiwanie na następny posiłek czy rozmowa ze współwięźniami.

„Synu, kluczem jest kompromis. Musisz dowiedzieć się, jak dużo godności możesz poświęcić, aby przetrwać, a jednocześnie nie zatracić siebie” – powiedział kiedyś Ahmadowi człowiek, który w więzieniu spędził dwie dekady.

Świat za górą

Na początku 2011 r., gdy reżimowi zaczęli palić się grunt pod nogami, w budynku więzienia zorganizowano sąd, a ci spośród więźniów, których uznano za najmniej groźnych, stanęli na prowizorycznej ławie oskarżonych.

Ahmad: – Proces był farsą, a wyroki z góry określone. Skazano mnie wstecznie na cztery lata, a więc wkrótce miałem wyjść na wolność.

Przed uwolnieniem przewieziono go do jednostek muchabratu, w których przebywał na początku. Tam pytano, czy się zrehabilitował. Jak wyuczoną formułkę, recytował, że odtąd będzie porządnym obywatelem, a interesować go będą już tylko studia, praca i rodzina. 16 lutego 2011 r. około północy ciężkie metalowe drzwi jego celi otworzyły się, a strażnik krzyknął: „Zabierz swoje rzeczy i wypier...!”

– Czułem dziwny koktajl emocji, byłem na równi szczęśliwy i przestraszony, podniekowany i zaniepokojony – mówi Ahmad. – Miałem wrócić do normalnego życia, zastanawiałem się jednak, czy po tych czterech latach jest jeszcze dla mnie coś takiego jak normalność.

Wspomina: – W więzieniu prawie codziennie wspinałem się do zakratowanego okna celi, przez które mogłem ujrzeć kawałek świata, za którym tęskniłem. Zobaczyłbym znacznie więcej, gdyby nie ta paskudna kamienna góra, która przysłaniała widok. Nie znośiłem jej. A jednak w mojej wyobraźni świat za nią zdawał się rajem – miejscem, gdzie problemy przestawały istnieć. Choć znałem życie poza murami więzienia, zacząłem wtedy fantazjować o tym tajemniczym świecie, pełnym miłości, dobra, pokoju i szczęścia. Potem, w rzeczywistości, nie znalazłem w nim już tego.



AHMAD:

Dla urzędników reżimu byłem nikim. Mogli na mnie napluć, a mnie nie wolno było zareagować. Musiałem się do nich zwracać: „mój panie”.

A ja miałem 17 lat
i nie chciałem nikogo
nazywać swoim panem.

Gdy Ahmad wyszedł na wolność, przez pewien czas prawie nie wychodził z domu, obawiając się, że za najmniejsze przewinienie zostanie zatrzymany lub wcielony do armii. Po miesiącu do Syrii dotarła Arabska Wiosna. Później wojsko zaczęło brutalnie tłumić pokojowe protesty.

– Wszyscy mówili o tym, że otworzono ogień do demonstrujących. Gdzieś na środku skrzyżowania, w centrum miasta. Ludzie powtarzali: „Słyszeliście, co zrobił reżim?!”. Ja tylko obojętnie wzruszałem ramionami. „Taki jest reżim” – myślałem. Choć zgadzałem się z hasłami, które krzyczano na demonstracjach, nie dołączyłem do protestujących. Nie po tym, przez co przeszedłem. Bałem się, że jeśli wykonam niewłaściwy krok, znów znajdę się za murami Sajdnai.

W ciągu następnych czterech lat mury te były świadkami egzekucji od 5 do 13 tys. więźniów.

Wina

– Syryjskie dzieci od małego uczono, że nie o wszystkim należy mówić głośno, bo każdy taksówkarz i sprzedawca na bazarze może być szpiegiem – opowiada Ahmad. – Krytykując prezydenta ktoś może cię celowo prowokować. Powinieneś wtedy stanąć w jego obronie lub złożyć donos, dając dowód swojej niewinności.

Ale Ahmad mógł tego nie wiedzieć – wychował się za granicą. Przez te kilka lat w Syrii nauczył się za to, że instytucje oparte są tu na korupcji. Za pomocą przekupstwa zdobył więc trzy zaświadczenia o tym, że ostatnie lata spędził w więzieniu.

Jedno dostarczył na uniwersytet – umożliwiło mu wznowienie studiów i uzyskanie dyplomu inżyniera, zanim uczelnię zamknęto. Drugie zaniósł armii, aby uchronić się przed powołaniem do wojska.

Trzecie okazał szwedzkim urzędnikom, jako dowód tego, że w Syrii był prześladowany i w razie powrotu grozi mu niebezpieczeństwo. Ale to dopiero po tym, gdy nielegalnie przekroczył granicę, spędził 10 miesięcy w Turcji, odbierając telefony w biurze jakiejś kancelarii, za zarobione pieniądze opłacił przemytników i przedarł się przez Morze Egejskie – a następnie przez pół Europy.

Zatrzymano go w Niemczech, poproszono o odcisk palca. Nie chciał go dać, bo słyszał, że według europejskiego prawa oznaczałoby to, że musi tam zostać. A jego przyjęto na studia II stopnia w Szwecji. Wierzył, że tylko edukacja może mu pomóc odbić się od dna. Niemieccy policjanci obiecali mu, że odciski posłużą im tylko do tego, by sprawdzić, czy nie jest poszukiwany, że nie umieszczą ich w bazie. „To jest Europa, zaufaj nam, człowieku” – mówili. Dotrzymali słowa.

W Sztokholmie Ahmad zgłosił się do Centrum Czerwonego Krzyża dla Torturowanych Uchodźców. Ze swoim terapeutą właściwie nie rozmawiał o pobycie w więzieniu. Mówił głównie o poczuciu winy. Od lat nie może się go pozbyć. Czuje, że zawiodł rodzinę. Miał zadanie do wykonania: skończyć studia, znaleźć dobrą pracę i wspierać matkę, która choć ma już swoje lata i jest schorowana, tak wiele dźwiga na swoich barkach.

– Wiem, że pokładała we mnie nadzieję, a ja ją zawiodłem, marnując czas w więzieniu.

© DALIA MIKULSKA

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

Wysypiska Zachodu

AGATA KASPROLEWICZ

Segregacja odbywa się ręcznie. Pracownicy, najczęściej kobiety, potrafią rozróżnić rodzaj surowca po zapachu dymu, jaki wydziela podczas spalania. Tak kończą śmieci, które Zachód „sprzedaje” państwom globalnego Południa.

WYBRAŁA ZA NICH BIEDA – PRZECIEŻ dobrowolnie nikt nie zgodziłby się na wdychanie toksycznych substancji. Zdrowie to często jedyna rzecz, którą mają, lecz poświęcają je, by zarobić choćby grosz. W ostatnich latach Malezja, Filipiny, Indonezja i Tajlandia stały się „wysypiskami śmieci” dostatniego świata – Unii Europejskiej, Stanów Zjednoczonych czy Japonii.

Z pozoru to czysty biznes. Dla bogatych krajów – możliwość taniego recyklingu. Dla ubogich – nowe miejsca pracy i zarobek. Ale globalny handel odpadami to bardzo brudny interes, dosłownie i w przenośni.

Wojna o śmieci

Pod koniec maja malezyjska minister środowiska, nauki i zmiany klimatycznej Yeo Bee Yin zaprosiła dziennikarzy do portu w Port Klang, „bramy morskiej” Malezji. Zobaczyli tam dziewięć kontenerów z nieprawdźwie oznakowanymi śmieciami. Zamiast nadającego się do recyklingu plastiku, były w nich odpady mieszane, w tym elektroniczne. Minister grzmiała, że dopuszczono się oszustw celnych i złamania przepisów o ochronie środowiska. Wkrótce po decyzji o odesłaniu z powrotem 3 tys. ton niepodlegającego recyklingowi plastiku do państw, z których przybyły, głos zabrał premier →

Na wysypisku Agbogbloshie, przedmieścia Akry, Ghana, 2017 r.



CRISTINA ALDEHUELA / AFP / EAST NEWS

→ Mahathir Mohamad: „To bardzo niesprawiedliwe, że bogate kraje zasypują nas swoimi śmieciami, tylko dlatego, że biedne kraje nie mają wyboru”.

„Kanada traktuje nas jak wysypisko”, oburzał się tydzień wcześniej prezydent Filipin Rodrigo Duterte. Kanadyjsko-filipińska wojna o śmieci zaczęła się w 2013 r., gdy do portu w Manili wpłynął frachtowiec ze 103 kontenerami odpadów. Zamiast plastiku znaleziono w nich inne śmieci.

– Przez sześć lat te śmieci gniły w naszym porcie. To oburzające, jak Kanadyjczycy chcieli załatwić sprawę – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Von Hernandez, znany filipiński aktywista, wieloletni kierownik biura Greenpeace na region Azji Południowo-Wschodniej, dziś koordynator akcji #Break Free from Plastic. – Na początku proponowali, by odpady wyrzucić na jedno z filipińskich wysypisk. Nasz prezydent musiał się posunąć do gróźb dyplomatycznych, żeby zgodzili się w końcu zabrać je z powrotem do swojego kraju.

Hernandez tłumaczy, że postępowanie Kanadyjczyków jest podwójnie nieetyczne, bo Filipiny mają gigantyczny problem z własnymi odpadami. W 2000 r. po przejściu tajfunu zawałiła się góra śmieci na jednym z największych filipińskich wysypisk śmieci w Payatas, niszcząc okoliczne słumsy i zabijając 219 ludzi.

W końcu kontenery opuściły port w Manili. Obecnie są już w drodze do Ostawy. Ale zdaniem aktywisty to nie kończy problemu nielegalnego zaśmiecania Filipin i innych krajów regionu: – Handlarze odpadami nie mają skrupułów. Wiedzą, jak wykorzystać system. Te kilkadziesiąt kontenerów z Kanady to tylko wierzch góry lodowej. Problem polega na tym, że nasze władze na to pozwalają, tłumacząc, że na imporcie śmieci z bogatych krajów może skorzystać gospodarka. Problem w tym, że bardzo znikomy procent odpadów, które do nas trafiają, nadaje się do recyklingu – mówi Von Hernandez.

Mit taniego recyklingu

Gospodarka Filipin, Malezji, Indonezji czy Tajlandii nie rozkwitła dzięki recyklingowi. Zmienił się za to krajobraz.

– Widzieliśmy, jak w ciągu roku tereny rolnicze zmieniały się w wysypiska śmieci. Spotykaliśmy ludzi, którzy mają coraz większe problemy z oddychaniem, cierpią z powodu problemów skórnych, wysypek. Woda została skażona metalami ciężkimi. Zaprzestano łowienia ryb i hodowli krewetek. Widzieliśmy ogromne stosy pływającego plastiku – wylicza „Tygodnikowi” Claire Arkin z Globalnego Sojuszu Alternatywy dla Państw Śmieci (Global Alliance for Incinerator Alternatives „Gaia”). Aktywiści przez rok jeździli po państwach Azji Południowo-Wschodniej i obserwowali, jak wygląda życie ich mieszkańców. Wszystko zaczęło się bowiem zmieniać rok temu, kiedy Chiny ogłosiły zakaz importu odpadów.

– Kiedy kontenery ze śmieciami z Europy i Stanów Zjednoczonych trafiały do Chin, nikogo nie obchodziło, co się w nich znajduje – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Jim Puckett, szef Basel Action Network, organizacji monitorującej nielegalny handel odpadami. Obrazy dzieci żyjących i pracujących na stertach toksycznych śmieci wstrząsnęły światową opinią publiczną, kiedy ukazał się głośny dokument „Recykling po chińsku”. – Władze w Pekinie zabroniły wyświetlania filmu. Chwilę później ogłosiły zakaz importu śmieci – dodaje Puckett.

W ten sposób kontenery pełne odpadów z Europy, Ameryki i bogatych krajów Azji zaczęły zawijać do portów Azji Południowo-Wschodniej. Zdaniem Pucketta decyzja Chin wywołała szok, lecz świat tego potrzebował. Dzięki niej dowiedzieliśmy się, że recykling plastiku jest mitem. Plastik bardzo trudno przetworzyć nie trując ludzi i nie powodując skażenia środowiska. Kiedy plastik jest brudny i zmieszany z innymi śmieciami, tak jak w kontenerach, które trafiają do Azji Południowo-Wschodniej, recykling jest właściwie niemożliwy.

Życie w oparach

Puckett wspomina swoje wizyty w azjatyckich zakładach utylizacji. Mówi, że wystarczy pobyć tam chwilę, a już zaczyna boleć głowa. Segregacja odbywa się ręcznie. Pracownicy, najczęściej kobiety, potrafią szybko rozróżnić typ tego surowca po zapachu dymu, jaki wydziela podczas

spalania. Ludzie spędzają cały dzień w toksycznych oparach. – I to nazywamy „dobrym recyklingiem” – wzdycha Puckett.

Szef Basel Action Network uważa, że cały przemysł recyklingu plastiku opiera się na oszustwie. Świadczą o tym statystyki. Tylko 9 proc. światowego plastiku poddawane jest recyklingowi. W tych 9 procentach mieści się też brudny plastik, który trafia do Azji i powoduje skażenie środowiska oraz choroby ludzi.

Jim Puckett: – Globalny obieg śmieci polega na tym, by efekty uboczne naszego stylu życia przerzucić na słabszych. Dlatego naszymi odpadami zajmują się najbardziej biedniejsi ludzie z najbardziej niebezpiecznych części świata. Musimy sobie uświadomić, że aby recykling plastiku przebiegał w sposób nieszkodliwy dla przyrody i człowieka, musi być kosztowny.

Według ostatnich wyliczeń, każdego roku produkujemy 235 mln ton plastikowych śmieci. Ta ilość mogłaby wypełnić 4,8 mln basenów olimpijskich. Za 10 lat roczna produkcja plastikowych odpadów wzrośnie do 417 mln ton. W maju 180 krajów zgodziło się na poprawkę do konwencji bazylejskiej z 1989 r., która mówi o kontroli transgranicznego przemieszczania i usuwania odpadów niebezpiecznych. Według nowych zapisów, państwa eksportujące będą musiały zyskać zgodę rządu kraju przyjmującego transport z odpadami (dotychczas wystarczało porozumienie między firmami). Nowych ustaleń nie uznały Stany Zjednoczone, które są największym światowym eksporterem plastikowych odpadów.

Toxic City

Ale plastik to tylko część naszych śmieci. Według ONZ każdego roku wyrzucamy 50 mln ton odpadów elektronicznych. W 2050 r. liczba ta ma wzrosnąć dwukrotnie. Tylko 20 proc. podlega recyklingowi. Reszta trafia na wysypiska, do najbardziej niebezpiecznych krajów, gdzie są rozbierane na części.

Oto przykład z Ghany. Kontenery ze starymi komputerami, telewizorami, lodówkami, pralkami, drukarkami i telefonami komórkowymi docierają do tego zachodnioafrykańskiego kraju przez port w Temie. Trzeba jechać 30 km na wschód, żeby znaleźć się w Agbogbloshie, dzielnicy Akry, stolicy Ghany, będącej jednym z największych wysypisk elektrotechnicznego złomu na świecie. Przez niektórych to miejsce nazywane jest Sodomą i Gomorą, przez innych Toxic City. 80 tys. mężczyzn,



AGATA KASPROLEWICZ

będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 12 czerwca

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

kobiet i dzieci utrzymuje się z „odzyskiwania” cennych metali ze starego sprzętu. To najbiedniejsi mieszkańcy Akry. Wielu z nich pochodzi z północnej części Ghany, wielu z Nigerii, Mali i Wybrzeża Kości Słoniowej. Ich praca polega na rozbijaniu telewizorów, komputerów i telefonów, a następnie wrzucaniu ich do ogniska, by wytopić plastik. Nad niezliczonymi ogniskami unosi się czarny gryzący dym. To strefa wysokiego ryzyka skażenia ołowiem, rtęcią, arsenikiem czy kadmem.

W tym roku pracownicy Basel Action Network pobrali próbki jajek z tego miejsca. Okazało się, że mają rekordowe stężenie dioksyn. W Agboghloshie dorosły człowiek po zjedzeniu jednego jajka przekracza 220-krotnie limity wyznaczone przez Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności.

– Te jajka okazały się trucizną. To oznacza, że zagrożeni są nie tylko ludzie, którzy pracują przy śmieciach, lecz ryzyko skażenia przenosi się na całą społeczność. Niedaleko wysypiska znajduje się jeden z największych w Akrze targów z żywnością – mówi Jim Puckett i dodaje, że żyjemy w naprawdę strasznym świecie, skoro tak wielu ludzi skazanych jest na wybór między biedą a trucizną.

Potrzebny namysł

Kiedy kilkadziesiąt kontenerów z kanadyjskimi odpadami opuszczało port w Manili, media w Kanadzie relacjonowały to w tonie narodowego wstydu. Zaśmiecanie uboższych krajów odpadami to mocny symbol niesprawiedliwości społecznej. Jednak prof. Daniel Hoornweg z wydziału ekorozwoju na Politechnice w Ontario przestrzega w rozmowie z „Tygodnikiem” przed emocjonalnymi reakcjami na takie doniesienia. Bo choć są mocne, to niestety krótkotrwałe. – Wysyłanie odpadów do biednych krajów nie różni się dla mnie wiele od kupowania ubrań produkowanych w fabrykach zatrudniających dzieci i wykorzystujących swoich pracowników, na przykład w Bangladeszu. W jednym i drugim przypadku chodzi o to, żeby jak najwięcej oszczędzić kosztem biednych – mówi prof. Hoornweg.

I dodaje: mamy obowiązek znać prawdziwą cenę zarówno produkcji, jak i utylizacji rzeczy, które kupujemy.

© AGATA KASPROLEWICZ

Przeludnienie gorsze niż terroryzm

SARA NOWACKA

Nad Egiptem wisi groźba nowego kryzysu: liczba ludności zbliża się do stu milionów. Politycy głowią się, jak poradzić sobie z taką eksplozją demograficzną. Program promujący planowanie rodziny poparł nawet Wielki Mufti Egiptu.

KIEDY HAMADA, SYN FARMERA Z WIOSKI Al-Manshia nieopodal Asuanu, wspomina dzieciństwo, z jego słów przedziera sielska atmosfera egipskiej wsi nad Nilem.

Po powrocie ze szkoły Hamada wraz z czwórką rodzeństwa pomagał ojcu w pracy na roli, żeby potem wspólnie bawić się i uczyć. Wokół rozrastały się kolejne rozległe pola, które pokrywała gęsta siatka kanałów. Woda z kanałów służyła do nawadniania upraw trzciny cukrowej, pszenicy i kukurydzy, którą farme-ry zbierali, brodząc bosymi stopami po wilgotnej ziemi. Żyło się skromnie, ale nie brakowało ani żywności, ani pracy.

Dziś kanały w Górnym Egipcie są w połowie puste. Resztką płynącej nimi wody jest pełna śmieci, z suchej ziemi unoszą się chmury pyłu. Na polach, które otaczają farmę ojca Hamady, wyrosły gęsto domy. Ziemia rodzi coraz mniej plonów, a szkoły w okolicy są przepełnione.

Ani Hamada, ani żadne spośród jego rodzeństwa nie chciało przejąć ojcowskiej farmy. Jak wielu młodych Egipcjan, uciekli do miast. Budowane w pośpiechu i chaosie, nie są one jednak w stanie zapewnić miejsca dla przybywających w zawrotnym tempie nowych mieszkańców.

Sam tylko Kair, ze swoją 20-milionową populacją, jest dziś jednym z najbardziej zaludnionych miast świata. Zatłoczone stacje metra zdają się być świadectwem bezradności władz miasta wobec rosnącej liczby ludzi. Szczęściarzem jest ten, komu uda się zmieścić w pierwszym nadjeżdżającym pociągu. W damskiej części metra kobiety pomagają sobie nawzajem, wciągając się do wagonów. Głośnie trąbienie na ulicach nieustannie przypomina o zakorkowanych drogach, gdy tłumy próbują dostać się na drugą stronę jezdni.

Oblicza kryzysu

Rok temu, w czerwcu, podczas Narodowej Konferencji Młodzieżowej w Aleksandrii, prezydent Adb al-Fattah as-Sisi oznajmił, że obok terroryzmu to przeludnienie jest największym zagrożeniem, z jakim musi zmierzyć się państwo.

Faktycznie, liczby robią wrażenie: wynosząca 98,3 mln populacja Egiptu jest największą wśród państw arabskich i trzecią co do wielkości w Afryce. Przy obecnym tempie wzrostu, wynoszącym prawie 2 mln rocznie, do 2050 r. liczba ludności przekroczy 150 mln. Wskaźnik dzietności, czyli liczba dzieci przypadających na jedną kobietę w wieku rozrodczym, wynosi obecnie 3,5 (dla porównania: średnia europejska to 1,58).

Kryzys pogłębia sytuacja na rynku pracy. Ponad jedna trzecia Egipcjan wchodzących w wiek produkcyjny jest bezrobotna. Szkoły są przeludnione, na tysiąc osób przypada ponad pięć razy mniej lekarzy niż w Polsce. Egipt ma też długą historię autorytarnych rządów, które nie zapały się w dziejach umiejętnością zarządzania zasobami. Choć kraj obfituje w złoża gazu i ropy, gospodarka Egiptu jest na skraju załamania.

Prezydent Sisi boi się powtórki protestów z 2011 r. Nie bez powodu: wtedy katalizatorem rewolucji była fatalna sytuacja ekonomiczna, zwłaszcza wśród młodych. Dziś, mimo pewnych reform, trudno dostrzec poprawę, a wskaźniki demograficzne sugerują, że może być dużo gorzej.

Tama niezgody

Z niemal każdego egipskiego miasta na pustynię można dotrzeć w niespełna godzinę. Fakt, że większość kraju pokrywa Sahara, w kontekście tak dynamicznie

→ rosnącej populacji staje się kolejnym wyzwaniem. Skutkuje to bowiem coraz gęstszym zaludnieniem wzdłuż Nilu, który jest prawie jedynym gwarantem dostępu do żyznej gleby i pitnej wody.

Do tej pory lwia część wód Nilu, jaka rocznie przypadała Egiptowi, była gwarantowana umową z południowym sąsiadem – Sudanem. Nie uwzględniała interesów pozostałych państw leżących wzdłuż Nilu. Zwłaszcza Etiopia od dawna domagała się bardziej sprawiedliwego podziału zasobów rzeki. Do niedawna jednak Kair ignorował takie głosy, a na propozycję nowego podziału zasobów Nilu kosztem egipskich udziałów – nawet groził wojną.

W 2011 r., gdy egipska polityka zajęta była Arabską Wiosną, Etiopia zaczęła budowę nowej tamy na Nilu. Nazwana Tamą Wielkiego Odrodzenia, ma zapewnić Etiopii niezależność energetyczną – i jednocześnie będzie ciosem wymierzonym w realną i symboliczną wartość rzeki dla Egiptu, który zawdzięcza jej swoje powstanie. Budowa tamy grozi bowiem jeszcze większym uszczupleniem wodnych zasobów Egiptu. Tymczasem już teraz ilość wody, jaka przypada tu na jednego mieszkańca, jest poniżej międzynarodowych standardów; ONZ zalicza Egipt do państw poniżej poziomu tzw. ubóstwa wodnego.

Jeśli tempo wzrostu populacji nie spadnie, konsumpcja utrzyma się na obecnym poziomie, a ilość wpływających do Egiptu wód Nilu zmaleje, już w ciągu kilku lat kraj będzie musiał zmierzyć się z jej poważnym niedoborem.

Ponadto, wąski pas żyznej ziemi wzdłuż biegu Nilu jest domem większości egipskiego społeczeństwa. Tutaj uprawia się żywność, tu powstały najważniejsze i najludniejsze miasta. Jeśli Etiopia zrealizuje swój plan – zapełnienia powstałego w wyniku budowy tamy zbiornika w ciągu trzech lat – Egipt może stracić ponad połowę ziemi uprawnej. Jeśli etiopski harmonogram zostanie wydłużony do sześciu lat, przepadnie „tylko” 17 proc. egipskiej ziemi rolnej. Oznaczałoby to utratę kolejnych miejsc pracy i problemy z żywnością.

Lekcja historii

Coraz szczuplejsze zasoby Nilu już teraz utrudniają życie w 200-tysięcznym mieście Sauhadz w Górnym Egipcie.

W 2018 r. niedobór wody doprowadził do zniszczenia kilku plantacji bananów: zamiast owoców, pola uprawne pokryły wyschnięte liście bananowców. Załamani



ANDIA / UIG / GETTY IMAGES

farmerzy domagali się lepszego dostępu do wody, jednak jej ilość w kanałach irygacyjnych drastycznie maleje. Na niektóre farmy woda dociera zaledwie raz na dwa tygodnie.

Sauhadz jest też jednym z dziesięciu muhafazatów (egipski odpowiednik województwa), który obejmie rozpoczęty w czerwcu 2018 r. program „Dwoje wystarczy”. Zainicjowana przez rząd kampania ma przyczynić się do zmniejszenia wskaźnika dzietności do 2,5 dziecka na kobietę w ciągu najbliższych 11 lat.

Nie jest to pierwsza w historii próba przeciwdziałania przyrostowi populacji. Od 1976 r. Egipt z pomocą Stanów Zjednoczonych prowadził skuteczny program promocji planowania rodziny. USA wydały wtedy 371 mln dolarów na wsparcie polityki demograficznej Egiptu; w efekcie współczynnik dzietności spadł z 5,6 do 3,0 w 2008 r. (użycie środków antykoncepcyjnych wzrosło z 19 proc. w roku 1976 do 60 proc. w 2008 r.).

Sukces okazał się jednak nietrwały. Tamten program planowania rodziny opierał się jedynie na wsparciu zewnętrznym, zabrakło natomiast działań w zakresie edukacji seksualnej. Gdy tylko

w 2008 r. USA wycofały wsparcie finansowe, wskaźniki demograficzne zaczęły znów wzrastać.

Udział w odwróceniu tendencji miał także umacniający się w regionie konserwatyzm i dojście do władzy w 2011 r. Bractwa Muzułmańskiego; nowi rządzący zepchnęli politykę demograficzną na dalszy plan. Ale wygląda na to, że Sisi – który w 2013 r. przeprowadził zamach stanu i obalił rząd Bractwa, a w 2014 r. został prezydentem – wyciągnął wnioski z tej lekcji. Tym razem kampania „Dwoje wystarczy” jest finansowana głównie z budżetu ministerstwa solidarności społecznej, które wyda na program 4 mln dolarów (ONZ przekazała na ten cel dodatkowe 500 tys. dolarów).

Program flagowy

To skromne kwoty. Jednak „Dwoje wystarczy” to flagowy, lecz nie jedyny program na rzecz ograniczenia przyrostu, a pieniądze na ten cel wydaje nie tylko egipski budżet. Unia Europejska obiecała 27 mln euro – pieniądze dla Narodowej Strategii Populacyjnej 2015–2030 mają być przeznaczone na ułatwienie dostępu do placówek doradczych i środków antykon-



Na ulicach Kairu, 2014 r.

ści przypisywanej wczesnemu zamążpójściu i posiadaniu wielu dzieci.

Demograficzna fatwa

Co z polskiej perspektywy może być zaskakujące, w promocję planowania rodziny włączyli się też przedstawiciele religii. Mieszkanki rejonów objętych programem będą miały możliwość wzięcia udziału w warsztatach i spotkaniach z muzułmańskimi autorytetami religijnymi, których zadaniem jest przekonać kobiety, że antykoncepcja nie jest sprzeczna z zasadami islamu. Już na przełomie lat 70. i 80. XX w. ówczesny Wielki Mufti Egiptu i minister spraw religijnych popierał stosowanie antykoncepcji (bynajmniej nie chodziło jedynie o metody tzw. antykoncepcji naturalnej).

Al-Azhar, uniwersytet i najważniejsza religijna instytucja w Egipcie, zachęca do planowania rodziny za pomocą wszelkich dostępnych środków. W 2017 r. Wielki Mufti, Shawki Allam, wydał nawet fatwę (to oficjalna opinia muzułmańskiego uczonego), która zaprzecza, jakoby stosowanie środków antykoncepcyjnych było niezgodne z islamem. Uzasadniając swoje stanowisko, powiedział: „Planowanie rodziny i zmniejszenie liczby urodzeń są bez wątpienia kwestią religijną. Są nam potrzebne, a wręcz niezbędne i jako takie stały się również religijnym obowiązkiem”.

To oficjalne wsparcie ze strony religijnego establishmentu jest istotne zwłaszcza na egipskiej wsi. Szczególnie tutaj posiadanie dużej liczby dzieci związane jest z przywiązaniem do tradycyjnych muzułmańskich wartości. Liczne potomstwo wciąż utożsamiane jest z darem Boga. W biednych rejonach Górnego Egiptu oznaczało też kiedyś szansę na dobrobyt, dzięki dodatkowym rękóm do pracy.

Polityczne kalkulacje

Eksplodująca demograficzna nie jest tak chwytnym nagłówkiem jak ataki terrorystyczne. Jednak w państwie, którego liczba ludności wkrótce przekroczy 100 mln, i które nie potrafi podnieść się z trwającego od lat kryzysu ekonomicznego, zagrożenie ze strony tak dynamicznego przyrostu populacji jest równie poważne jak widmo wojny.

Przeludnienie oznaczałoby dla Egiptu pogłębienie kryzysu. Wobec dużego bez-

robocia i uszczuplenia wodnych zasobów, władze obawiają się destabilizacji politycznej, która mogłaby skutkować nową rewolucją. W 2011 r. bezrobocie wynosiło blisko 12 proc., a wśród ludzi w wieku 15–24 lata aż 30 proc. – i odtąd nie udało się poprawić sytuacji.

Niewystarczająca liczba miejsc pracy, ograniczony areal ziemi uprawnej i przewidziane na rok 2022 zakończenie budowy etiopskiej tamy – wszystko to spotęgowało obawy władz i pchnęło je do zaangażowania w politykę demograficzną. Nie dziwi też zaangażowanie zagranicy. Unii, ONZ i Stanom Zjednoczonym zależy na tym, by Egipt pozostał stabilny – dla tego celu gotowe są nawet po cichu akceptować autorytarny styl rządów Sisiego.

Nowy kryzys mógłby zachwiać i tak niestabilną sytuacją w regionie – i pozbawić Unię ważnego partnera w prowadzeniu polityki migracyjnej. Dotąd Egipt skutecznie wspierał walkę z nielegalną migracją z Bliskiego Wschodu i Afryki. Destabilizacja polityczna groziłaby kolejną falą migracyjną do Europy.

NIEDAWNO NA FARMĘ W AL-MANSHII wrócił brat Hamady. Choć dziś czuje się dobrze z tym, że ponownie pomaga ojcu na roli, nie ma złudzeń: decyzję o powrocie podjęło za niego bezrobocie.

Czy dla takich młodych ludzi jak Hamada i jego rodzeństwo będzie jeszcze miejsce w rodzinnych wsiach? Czy pozostanie w nich lub wyprowadzka do miasta będzie ich własnym wyborem? Odpowiedzi zależą nie tylko od tego, co zrobią lub czego nie zrobią władze Egiptu. W każdym razie – przy tak dynamicznym wzroście populacji, zmianach klimatycznych i niestabilnej sytuacji politycznej, czasu pozostało niewiele. © SARA NOWACKA

Autorka jest absolwentką filologii arabskiej na UJ. W Egipcie przebywała wielokrotnie, zbierając materiały do pracy magisterskiej na temat idei państwa świeckiego w egipskiej publicystyce pierwszej połowy XX w.



SARA NOWACKA opowie o sytuacji w Egipcie na antenie Radia TOK FM w środę 12 czerwca o godz. 15.00

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin

94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

cepcyjnych, kampanie społeczne i aktywizację zawodową kobiet. W działania na rzecz Strategii włączony jest też Fundusz Ludnościowy ONZ. Z kolei minister zdrowia i populacji Ahmed Emad El-Din Rady ogłosił w 2018 r. rozpoczęcie tu działań we współpracy z amerykańską agencją rządową ds. pomocy i rozwoju USAID. Stany Zjednoczone przeznaczają na rzecz planowania rodziny w Egipcie 23 mln dolarów.

Ghada Waly, minister solidarności społecznej, uznała program „Dwoje wystarczy” za część strategii, mającej na celu walkę z ubóstwem i przeludnieniem. Dlatego na beneficjentów programu wybrano mieszkańców dziesięciu najbiedniejszych i najgęściej zaludnionych muhafazatów. W ramach programu będą mogli odwiedzać mobilne kliniki planowania rodziny (dyżurować będą w nich lekarze, pielęgniarki i wolontariusze) i skorzystać z darmowych środków antykoncepcyjnych.

Do realizacji programu ministerstwo wyznaczyło sto organizacji pozarządowych (otrzymały one granty). Pracownicy organizacji mają przed sobą trudne zadanie: muszą przełamać wciąż popularne przekonania, dotyczące szkodliwości środków antykoncepcyjnych i warto-

ODDAJCIE GŁOWY KRÓLÓW

Upiorne trofeum rosyjskich carów, odrąbana głowa hadżiego Murata, kaukaskiego wojownika, zostanie w końcu zwrócone dagestańskim góralom.

WOJCIECH JAGIELSKI

LUDZIOM, KTÓRZY NIE BYLI NA KAUKAZIE W CZASIE TEJ WOJNY z Szamilem, trudno wyobrazić sobie znaczenie, jakie miał w oczach górali hadzi Murat – pisał w pamiętnikach Lew Tołstoj. – Wszędzie, gdzie było gorąco, wszędzie tam był hadzi Murat. Pojawiał się tam, gdzie nikt go nie oczekiwał, i znikał tak, że nie

sposób go było całym pułkiem choćby otoczyć”. A w poświęconym dżygitowi opowiadaniu opisuje go jako „człowieka o imponującym wyglądzie” i „uśmiechu, zdumiewającym swą dziecięcą dobroduszością”. „Był głównym, najpotężniejszym, drugim po Szamilu wrogiem Rosji. Trochę rozumiał po rosyjsku,



lecz mówić nie potrafił, a gdy czego nie rozumiał, uśmiechał się”. I dalej: „– Gdyby się urodził w Europie, zostałby może nowym Napoleonem – oświadczył głupi gruziński książę, posiadający dar pochlebstwa. – Napoleonem może nie, ale na pewno dzielny generałem kawalerii – rzekł Woroncow”. Książę Michał Woroncow był rosyjskim namiestnikiem na Kaukazie i z kwatery głównej w gruzińskim Tyflisie dowodził wojną przeciwko kaukaskim góralom, którzy pod przywództwem swoich imamów przez połowę XIX wieku podtrzymywali bunt i odmawiali przyjęcia zwierzchnictwa petersburskich carów.

Burzliwe losy hadżiego Murata mogłyby uchodzić za iście kaukaską baśń o bohaterstwie i upadku, honorze i zdradzie, szaleństwie i namiętności, niemożliwych do pohamowania żądy zemsty, pragnieniu wolności i wielkości. Na Kaukazie mówi się, że nie będzie bohaterem ten, kto myśli o konsekwencjach swoich postępów. Poczet bohaterów kaukaskich jest długi, a hadżi Murat zajmuje w nim jedno z pierwszych miejsc.

Mleczny brat książąt

Choć za najniezłomniejszych na Kaukazie buntowników przeciwko rosyjskiemu panowaniu przywykło się uważać Czerkiesów, pierwsze zbrojne powstania przeciwko Rosjanom podnieśli Czerkiesi, a przede wszystkim Awarowie, czeczeńscy sąsiedzi, żyjący w górach dzisiejszego Dagestanu. Awarem był imam Szamil, najślawniejszy z kaukaskich buntowników, a także dwaj jego poprzednicy, imamowie Ghazi Muhammed i Chamzat-bek, którzy wywołali trwające pół wieku powstanie. Awa-

rem był też hadżi Murat, który zanim przystał do powstańców, walczył przeciwko nim i uważał ich za zaprzysięgłych wrogów.

Awarski chanat, podniebny, w sercu gór, był najstarszym i najpotężniejszym z kaukaskich państweczek. Nie ustępował ani przed zachłanną Rosją, która pokonałszy Napoleona i Persję, zapagnęła zawładnąć Kaukazem, ani przed imamami, którzy stanęli Rosji na drodze, a w kraju Awarów próbowali przeprowadzić rewolucję. Chcieli obalić chanów i bejów i zaprowadzić wszędzie prawo boże, czyli porządku kalifatu.

Hadżi Murat dorastał w awarskiej stolicy Chunzachu, na dworze chanów i był mlecznym bratem książąt, dziedziców tronu. „Byłem jak gdyby bratem chanów. Robiłem, com chciał, i stałem się bogaty. Miałem konie, miałem pieniądze. Żyłem wspaniale i nie myślałem o niczym” – opowiada o swoim życiu w opowiadaniu Tolstoja. Bił się z partyzantami imamów, którzy podnieśli powstanie w Awarii, i miał aż nadto powodów, by ich nienawidzić. Na wojnie z Ghazim Mohammedem stracił ojca. Drugi imam, Chamzat-bek, do spółki z trzecim, Szamilem, zamordowali podstępnie awarskich chanów, mlecznych braci hadżiego Murata, a także ich matkę regentkę. W zemście hadżi Murat wraz ze starszym bratem Osmanem zadłgali w meczecie Chamzata-beka. Osman zginął w walce z partyzantami imama; hadżi Murat uciekł, zebrał ludzi i przegnał powstańców z Chunzachu. Pozbawieni chanów Awarowie wybrali go sobie na przywódcę. Szamil okrzyknął go zdrajcą i poprzysiął zemstę.

Hadżi Murat liczył, że jeśli będzie służył wiernie Rosjanom i bił się wraz z nimi z Szamilem, pozwolą mu rządzić Awarią. ➔

Monument Lwa Tolstoja i hadżiego Murata na płaskowyżu Chunzach, Dagestan, 2015 r.



→ Car jednak wybrał na awarskiego przywódcę kogoś innego, a ten, zazdrosny o sławę hadżiego Murata i miłość, jaką darzyli go Awarowie, oskarżył go fałszywie przed Rosjanami, że sekretnie sprzyja Szamilowi i jego powstańcom.

Rosjanie zburzyli dom hadżiego Murata, przejęli jego majątek i stada, a samego dżygita pojмали, zakuli w kajdany i powiedli przez góry do Temir Chan Szury (dzisiejszy dagestański Buj-nack), gdzie miał zostać osądzony. Prowadzony przez góry przez 40-osobowy oddział, na jednej z przełęczy rzucił się w przepaść, pociągając za sobą dwóch żołnierzy, z którymi skuty był łańcuchami. Spadając, schwycił jednego z nieszczęsnych konwojentów, by jego ciałem złagodzić upadek. Obaj Rosjanie zginęli, ale ich ciała ocaliły hadżiego Murata. Złamał nogę i kulał już do końca życia, potłukł głowę, żebra i ręce. Pozostali żołnierze uznali, że zginął – i tak zameldowali przełożonym. Nazajutrz rannego hadżiego Murata znaleźli na dnie urwiska awarscy pasterze. Ledwie wydobrali, a napisał list do Szamila, proponując mu pokój i swoją służbę. Szamil przyjął go do swojego wojska i mianował naibem, wojewodą Awarii.

Bujna kaukaska duma

Przez dziesięć lat był Szamilowi bratem, towarzyszem broni, dowódcą konnicy. Porwał za sobą Awarów, którzy pod jego komendą przystali do imama. Brawura, z jaką prowadził podjazdową wojnę, wprawiała Rosjan we wściekłość, przerażenie i podziw zarazem. Był nieustraszony, niewyciężony i nieuchwytny.

Ale niespokojny duch, nieposkromiona, wybujała kaukaska duma i miłość własna hadżiego Murata sprawiły w końcu, że między nim a Szamilem znów zapanowała niezgoda. Poszło o grabieżcze wyprawy, na jakie przy okazji zbrojnych podjazdów wyprawiał się hadżi Murat (łupami dzielił się sprawiedliwie z imamem, dżygitemi i mieszkańcami awarskich aulów), i o prywatę, którą mieszał ze sprawami świętej wojny. Cierpliwość imama wyczerpała się, gdy posłany do Tabasaranu, by pobuntować tamtejszych górali i przeciągnąć ich na stronę Szamila, hadżi Murat znów zajął się prywatą, znów pognął za łupami. Tabasarańska wyprawa zakończyła się niepowodzeniem, za co imam obwiniał Murata. Odebrał mu tytuł naiba i dowództwo konnicy. Hadżi Murat odparł hardo, że wszystko, co w życiu osiągnął, zdobył własną szablą, więc jeśli ktoś zechce mu coś zabrać, też będzie musiał sięgnąć po szablę.

Miał także Szamilowi za złe, że nie wyznaczył go na swojego następcę. Szamil był u szczytu potęgi. Panował na całym Kaukazie, o jego wyczynach mówiono w Rosji, Turcji, Persji, a nawet Europie. A jednak narzekał, że czuje się zmęczony (stuknęła mu pięćdziesiątka), że dokuczają mu stare rany i chętnie przekazałby tytuł imama innemu. Hadżi Murat, nieco starszy od Szamila, przekonywał go, by rządził aż do śmierci. W duchu zaś powtarzał sobie, że nowym imamem „ten będzie, którego szabla okaże się najostrzejsza”. Marzył, by po Szamilu zostać władcą gór. Mułlowie i naibowie namówili jednak Szamila, by na następcę wyznaczył swojego syna, Ghaziego Muhammeda.

Bojąc się, że bratobójcza wojna zaszkodzi sprawie kalifatu, mułlowie przekonali Szamila, by przebaczył Muratowi i pozwolił mu wrócić do powstańczego wojska. Szamil niby się zgodził, ale naibom przykazał, by zgładzili hadżiego Murata przy pierwszej sposobności. Ostrzeżony Murat przekradł się więc przez górskie przełęcze i ukrył w czeczeńskim aule Gechi, z którego

pochodziła jego żona. Umknął przed gniewem Szamila, lecz w rękach imama zostawił rodzinę: matkę, żonę, sześcioro dzieci.

Trwoga o najbliższych, ale także urażona duma i żądza zemsty sprawiły, że zwrócił się do Rosjan. Pisze Tołstoj: „Oświadczył, że jeśli go tylko pošlą na linię lezgińską i dadzą mu wojsko, to ręczy, że podburzy cały Dagestan i Szamil nie będzie się mógł utrzymać. (...) Niech tylko książę wyzwoli mu rodzinę, niech ją wymieni na jeńców, a wówczas albo umrze, albo zniszczy Szamila. Wyobrażał sobie, jak ruszy na Szamila z wojskiem, które mu da Woroncow, jak weźmie Szamila w niewolę i zemści się na nim i jak rosyjski car go wynagrodzi i na nowo będzie rządził nie tylko Awarią, lecz i całą Czeczenią, która mu się podda”. Książę Woroncow kazał sprowadzić hadżiego Murata do Tyflisu.

Dowód śmierci dżygita

Groźny dżygita stał się główną atrakcją na salonach gruzińskich książąt i rosyjskich dygnitarzy, ale wielkie miasto zrobiło na nim fatalne wrażenie. Gorszył go tyfliski przepych i dekadencja, a gruzińską stolicę uważał za uosobienie upadku i grzechu. Czas, który zaczął mu się nieznosnie dłużyć, spędzał w podarowanym mu domu na modlitwach i rozmyślaniach o rodzinie w szamilowej niewoli. Gości nie przyjmował, nigdzie nie był poza pałacem Woroncowa, dokąd jeździł pytać o wieści. Na próżno jednak oczekiwał rozkazu na wyprawę przeciwko Szamilowi. Rosjanie mu nie ufali, podejrzewali, że przyjechał do nich z rozkazu imama na przeszeptęgi. W końcu zapadła zima i śnieg zasypał kaukaskie przełęcze. Nie mogąc znieść bezczynności, wyprosił u Woroncowa zgodę na przeprowadzkę z Tyflisu w góry. Pod wojskową strażą pozwolono mu jechać do Nuchy, noszącej dziś nazwę Szeki i leżącej w północnym, górzystym Azerbejdżanie. Tam zastała go wiosna roku 1852, ostatnia, jaką pisane mu było przeżyć.

W Nusze żył jak rosyjski więzień i zginął podczas próby ucieczki. Znów chciał się przebić do Czeczenii. Kozacy dopadli go jednak niedaleko dzisiejszej wioski Tangyt. Z garstką wiernych dżygitów bronił się pół dnia w nierównym boju. Zabitemu hadżiemu Muratowi Rosjanie odrąbali głowę i zawieźli ją księciu Woroncowowi do Tyflisu jako wojenny łup i niezбитy dowód śmierci dżygita. Siedem lat później Woroncowowi podał się imam Szamil, został zesłany do Kaługi, a w 1871 r. umarł podczas pielgrzymki do Mekki. Kaukaskie powstanie upadło.

Bezglówne ciało hadżiego Murata pochowano w mogile w pobliżu miejsca, gdzie zginął. Odrąbaną głowę dżygita książę Woroncow odesłał carowi Mikołajowi I, a ten kazał ją umieścić w petersburskiej Kunstkammerze, muzeum i izbie osobliwości, jakie zgodnie z ówczesnymi modami zakładali europejcy wielcy królowie i książęta. Po latach czerep został przekazany do wojskowej akademii medycznej, a w końcu włączony do kolekcji czaszek muzeum antropologii i etnografii.

Trudna decyzja o pochówku

Prawnuk hadżiego Murata, Mohammed Hadżimuratow, twierdzi, że już w latach 30. XX w., w czasie stalinowskiego terroru, potomkowie dżygita pisali na Kreml prośby, by oddano im głowę sławnego przodka i pozwolono pochować z resztą szczątków. Na próżno. Rosja ani myślała rozstawać się z wojennymi łupami.

Czwierć wieku temu, gdy Związek Radziecki, komunistyczna mutacja rosyjskiego imperium, rozpadł się na kilkanaście od-

dzielnych państw, zadanie odzyskania głowy hadżiego Murata wziął na siebie jego prawnuk Mohammed, uznany sądownie za głównego spadkobiercę. Ale i w nowych czasach wysiłki potomków hadżiego Murata, wspieranych przez dagestańskich dygnitarzy, historyków i pisarzy, szły na marne. Na Kaukazie wybuchła nowa wojna, w Czeczenii, i Rosjanie obawiali się, że losy i postać hadżiego Murata znowo mogą przypominać Szamila Basajewa, nowego kaukaskiego dżygita, równie zuchwałego, nieustraszonego i kontrowersyjnego jak Awar. Rosja pozostała nieugięta nawet wtedy, gdy stłumiła czeczeńskie powstanie, a do próśb o zwrot głowy hadżiego Murata przyłączył się namaszczony przez Rosję czeczeński prezydent Ramzan Kadyrow, który wezwał kremlowskich gospodarzy, by pozwolili złożyć do grobu i czaszkę awarskiego dżygita, i mumię Włodzimierza Lenina.

Wygląda jednak na to, że sprawy ruszyły z miejsca. Do starań o zwrot głowy hadżiego Murata przyłączył się Władimir Tołstoj, prawnuk sławnego pisarza, doradca rosyjskiego prezydenta Władimira Putina. W styczniu obwieścił, że kancelaria prezydencka nie ma nic przeciwko temu, by wydać krewnym czaszkę Murata.

Pojawił się nowy problem – gdzie pochować czerep? Rodzina i ziomkowie hadżiego Murata z Awarii pragnęliby pochować czaszkę w dagestańskim Chunzachu, jego ojczystych stronach. Muzułmańscy duchowni przekonują, że głowę należy dołączyć do reszty szczątków, w istniejącej już mogile w azerbejdżańskim Tangycie. Władze z Baku przeliczają w myślach zyski z zagranicznych turystów, których mogłaby przyciągnąć mogiła sławnego dżygita. Z drugiej strony, podobnie jak Rosjanie, obawiają się, by rozgłos z powodu ponownego pochówku hadżiego Murata nie ożywił tęsknoty azerbejdżańskich Awarów czy Lezginów, rozdzielonych z rodakami granicami przecinającymi Kaukaz na części należące do Rosji, Azerbejdżanu i Gruzji, nie rozpalili separatyzmu, a mogiła nie stała się celem pielgrzymek wyznawców świętej wojny i kalifatu.

Obcięta głowa hadżiego Murata wciąż spoczywa więc w muzealnym magazynie w Petersburgu, a Kreml obiecuje, że zostanie wydana, jak tylko krewni dżygita, a także rządzący z Dagestanu i Azerbejdżanu porozumieją się w sprawie jej dalszych losów.

Bezgłowe duchy wołają u przodków

Czaszka hadżiego Murata, kaukaskiego bohatera, który nie myślał o konsekwencjach, nie będzie pierwszą, która zostanie wydana z magazynu kolonialnych łupów Rosji. Z petersburskiej izby osobliwości, gdzie zgromadzono prawie pół tysiąca odciętych głów przeciwników rosyjskiego imperium, czerep swojego przodka odzyskał już były prezydent Kałmucji Kirsan Ilumżynow. Kazachom wydano głowę Nurmohambeta Kokembajewa, który sto lat temu jako „Keiki Batyr” przeprowadził zbrojnemu powstaniu przeciwko rządowi Rosjan.



Hadzi Murat, rycina z epoki

THE PICTURE ART COLLECTION / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

O swoich bohaterów, wodzów i królów, a także o zrabowane zabytki i dzieła sztuki, upominają się również ludy podbite niegdyś przez inne europejskie mocarstwa. Namowie i Herero z dzisiejszej Namibii odzyskali w zeszłym roku z Berlina czaszki i szkielety swoich wodzów, zamordowanych przez niemieckich żołnierzy, posłanych na Czarny Łąd do stłumienia buntów w afrykańskich koloniach kajzera. W latach 1904-08 Niemcy wymordowali prawie sto tysięcy Afrykanów, co zostało uznane za pierwszą ludobójczą zbrodnię XX wieku.

W marcu Etiopii udało się w końcu przekonać Anglików do zwrotu warkocza XIX-wiecznego króla Tewodrosa II, który nie będąc w stanie stawić czoła brytyjskiej ekspedycji wojennej, wolał odebrać sobie życie, niż pójść do niewoli. Anglicy żołnierze odcięli mu warkocz jak skalp i posłali w prezencie królowej Wiktorii. Etiopczycy chcą też, by Anglicy wydali im szczątki księcia Alemayehu, syna

króla Tewodrosa, którego jako kilkuletniego chłopca razem z matką, królową Tiruwork, zabrali wraz z łupami dla brytyjskiej monarchini Wiktorii. Etiopska królowa nie przeżyła podróży, a Alemayehu zmarł na obczyźnie, nie dożywszy nawet 18 lat, i został pogrzebany w Londynie.

Pod koniec lat 90. do Szkocji po odrąbaną przez Brytyjczyków głowę Hinty, króla południowoafrykańskich Khosów (wywodził się spośród nich także Nelson Mandela), wybrał się *sangoma*, czarownik-uzdrowiciel Nicholas Tilana Gceleka. Hintsa walczył z Anglikami, przybyłymi na południe Afryki, by odebrać ziemie Khosom, Zulusom, a także białym Afrykanerom, osiadłym na Przylądku Dobrej Nadziei. Hintsa bił się dzielnie, ale dał się zwabić w zasadzkę, zginął w nierównej walce, Anglicy zaś odcięli mu głowę i wywieźli ją za wielką wodę.

Przodkowie, którzy pewnej nocy ukazali się sangomie Gcelece we śnie, powiedzieli mu, że powodem wszystkich nieszczęść, jakie spotykają Afrykę Południową: przestępczości, złośliwości, przemocy – jest właśnie odrąbana głowa Hinty. Bezgłowy duch króla nie zaznał spokoju, jest wściekły i złośliwy, błąka się po świecie i walczy z każdym, kogo napotka. Wystarczy sprowadzić jego głowę i pochować z resztą ciała, a w całym kraju zapanuje spokój. Przodkowie wskazali też czarownikowi miejsce, w którym zabójcy Hinty zakopali jego czaszkę – las w pobliżu szkockiego miasta Inverness. Gceleka wyprosił od południowoafrykańskiego rządu pieniądze na podróż i pojechał do Szkocji. Wrócił triumfujący. „Oto głowa króla” – obwieścił pokazując czaszkę, którą przywiózł z Europy. Kiedy jednak czaszkę oddano do zbadania, okazało się, że należała do białej kobiety. Sławny czarownik okrył się hańbą, stracił dobre imię i nigdy go już nie odzyskał.

© © WOJCIECH JAGIELSKI

Cytaty za: Lew Tołstoj „Hadzi Murat. Za co”, przetł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Feliks Kon, Towarzystwo Upowszechniania Wiedzy, Warszawa 1996.



Członkowie Lubelskiego Towarzystwa Szerzenia Oświaty „Światło” z Nałęczowa. Od lewej siedzą: Faustyna Morzycka, Stefan Żeromski, Gustaw Daniłowski, Przemysław Rudzki, Maria Bogdanowiczówna. Od lewej stoją: Helena Dulębina, Kazimierz Dulęba i Felicja Sulkowska.

SIŁACZKA NIEZMYŚLONA

Była pierwowzorem słynnej postaci literackiej Żeromskiego.
Faustyna Morzycka, działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej,
niewiele miała wspólnego z wizją zmuszania kogoś do kiepsko płatnej pracy.

REMIGIUSZ OKRASKA

PODCZAS NIEDAWNEGO STRAJKU, KTÓREGO ciąg dalszy nastąpi być może wraz z początkiem nowego roku szkolnego, nauczyciele i nauczycielki mogli wielokrotnie usłyszeć od zwolenników rządu oraz innych przeciwników ich akcji protestacyjnej, że powinni być jak ona: nauczycielka Stanisława Bozowska, bohaterka słynnej noweli „Siłaczka” Stefana Żeromskiego, wydanej po raz pierwszy w 1895 r. W domyśle: że nauczyciele nie powinni protestować ani domagać się podwyżek, lecz muszą poświęcać się dla cudzych dzieci i pokornie pracować za tyle, ile decyden- ci zechcą im zapłacić.

Tymczasem literacka „Siłaczka” istniała naprawdę, a pierwowzór tej postaci niewiele miał wspólnego z powszechnymi najwyraźniej dziś wyobrażeniami (co wi- dać było także przy okazji ostatniego na- uczycielskiego strajku).

Urodzona na zesłaniu

„Przyszła na świat w turmie tambowskiej (...), trzymali ją do chrztu towarzysze wy- gnania jej ojca. (...) Mrozy i tajgi sybirskie wychowały tę latorośl dalekiej Polski – a w duszę jej zapadały głęboko bujne ma- rzenia, nieziszczone nadzieje i »długie tę- skne rodaków rozmowy«” – tak ją wspo- miął w 1910 r., już pośmiertnie, Mieczysław Brzeziński.

Faustyna Morzycka faktycznie urodziła się w więzieniu w Tambowie, w środko- wej Rosji. 15 czerwca 1864 r., podczas dłu- giej wędrówki jej rodziców na zesłanie. Jej ojciec Julian w wieku 37 lat wyruszył ze swego majątku Lachowce pod Żytomie- rzem (dziś Ukraina), by walczyć w powsta- niu styczniowym na czele grupy kilku- dziesięciu ochotników (w rejonie tym żyło wielu Polaków; do dziś mieszka tam spora mniejszość polska).

Miał pecha: niemal natychmiast ujęty (przez ukraińskich chłopów) i wydany władzom carskim, został pozbawiony po- siadłości i skazany na 20 lat katorgi; karę miał odbywać na Syberii, pod Irkuckiem. Wraz z nim wyruszyła żona Maria. Gdy w trakcie wędrówki na docelowe miejsce zesłania urodziła się im kolejna córka (Ju- lian i Maria mieli siedmioro dzieci; Fau- styna była piąta w kolejności), nadali jej imię Faustyna.

Uczynili tak na cześć ciotki, siostry Ju- liana – również uczestniczki powsta- nia, opiekunki nad więźniami politycz- nymi X Pawilonu warszawskiej Cytadeli. A także, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, fe-

ministki. Faustyna Morzycka „starsza” na- leżała bowiem do liderów środowiska tzw. entuzjastek, skupionych wokół Narcyzy Żmichowskiej, które jako pierwsze na ziemiach polskich (a w wielu kwestiach w skali świata) sformułowały program równouprawnienia kobiet.

Oświatowa konspiracja

Gdy Julian odzyskał w końcu wolność na mocy amnestii, Maria go opuściła, a opieką nad dziećmi zajęła się właśnie siostra. Niewątpliwie to jej wpływowi wiele zawdzięczał światopogląd Fau- styny „młodszej”: postępowy i niepodle- głościowy, mocno naznaczony pierwiast- kiem posłannictwa i postulatami emancy- pacji ludu. Wpływ na dziewczynkę miał też jej ojciec chrzestny, lekarz-społecznik Fortunat Nowicki, który także pomagał w jej wychowaniu.

Jako nastolatkę wysłano ją do War- szawy. Tam ukończyła prywatną pen- sję i uzyskała uprawnienia do nauczania w szkołach. Weszła też w środowisko ówczesnej postępowej inteligencji. Jedną z głównych form działania tego środo- wiska w połowie przedostatniej dekady XIX w. była praca oświatowa w środowi- skach plebejskich. Panowało bowiem w tym gronie przekonanie, że wolnej i sprawiedliwej Polski nie uda się stwo- rzyć bez poparcia ludu, a z kolei lud nie podźwignie się z ucisku (społecznego i na- rodowego, ze strony władz carskich) bez uprzedniego poszerzenia horyzontów.

Dlatego „kaganek oświaty” – niesiony wbrew ryzyku i wbrew carskim zakazom – był pierwszym wyborem młodej Mo- rzyckiej. Wzorami byli dla niej siostra Ro- zalia i jej mąż, wspomniany Mieczysław Brzeziński – jeden z najbardziej zasłużo- nych polskich działaczy oświatowych, re- daktor ludowego pisma „Zorza”.

W Warszawie siostry Morzyckie zało- żyły tajne Kobiectwo Koło Oświaty Ludo- wej, zakonspirowane w strukturach le- galnego... Towarzystwa Opieki nad Zwie- rzętami. Wydawały materiały oświatowe, kształciły przyszłe wiejskie nauczycielki, koordynowały siatkę nielegalnej oświaty w Królestwie Polskim. Ale Faustynę cią- gnęło do pracy bezpośrednio z ludem.

Bogini wśród chłopów

Zaczęła ją w okolicach Nałęczowa. Gdy ojciec wrócił z zesłania, kupił ziemię wła- śnie pod Puławami. Szybko stworzył do- chodowe gospodarstwo, a wraz ze wspo-

mnianym doktorem Nowickim należał do grona inicjatorów utworzenia uzdrowiska.

Natomiast jego córka rzuciła się w wir pracy społecznej. Korzystając z mniejszej na prowincji czujności władz carskich, utworzyła nielegalną szkołę dla dzieci ubogich chłopów – nie tylko uczyła je za darmo, ale także finansowała wszelkie materiały dydaktyczne.

Trwało to kilka lat i nie miało nic wspól- nego z kaprysem panny z dobrego domu. Panny, dodajmy, która nie była szarą myszką i cierpiętnicą. Morzycka słynęła z urody i powodzenia wśród mężczyzn. Wrażliwy na kobiece wdzięki Henryk Sienkiewicz tak relacjonował swoje spo- tkanie z nią: „Płynąłem łódką po stawie nałęczowskim z boginią, która chyba zstą- pić musiała na ziemię!”.

Początkowo jej aktywność budziła dy- stans u okolicznych chłopów – zdumio- nych tym, że ktoś chce za darmo uczyć ich dzieci, a dla nich samych organizować wieczorne zajęcia kształceniowe. Jednak Morzycka szybko przełamała te opory swoją pasją i postawą. Brzeziński wspomi- nał: „Nie masz w Nałęczowie i w wioskach pobliskich człowieka, który by nie znał i nie kochał tej pięknej, miłością i dobrem przesiąkniętej duszy. (...) Nałęczowiaci pa- miętają dobrze tę »szkołę Faustyny« (...), do założenia której tyle pracy i duszy wła- snej włożyła, te kursy letnie dla dorosłych, te przedstawienia, odczyty, pokazy, które często o nią jedną prawie się opierały”.

Nowele z życia czerpane

Stefan Żeromski przybył do Nałęczowa w celach leczniczych, ale został na dłużej ze względu na swą przyszłą żonę Okta- wiew. Pisarz szybko poznał działaczkę oświatową. W dzienniku relacjonował: „O cztery wiorsty stąd mieszka Faustyna Morzycka, (...) chciała zostać nauczycielką ludową... Dziwna rzecz! Same nowele w ręce włączają z życia czerpane”.

Postać Stasi Bozowskiej nie była wytwo- rem wyobraźni. Nowela „Siłaczka” – na- pisana w uzdrowisku w 1891 r. i wydana cztery lata później w zbiorze opowiadań – jest wprost inspirowana tą znajomością, długimi rozmowami, informacjami od nauczycielki-społeczniczki i współpracą z nią.

W 1892 r. ojciec Faustyny, z racji wieku niemogący już prowadzić gospodarstwa, sprzedał majątek i wraz z córką zamiesz- kał w Nałęczowie. Dziewczyna podjęła pracę jako kasjerka w jednym z obiektów ➔

→ uzdrowiska. Żyła aż do przesady skromnie, kontynuując działalność oświatową.

W 1896 r. wyjechała do Warszawy – częściowo ze względów rodzinnych, a częściowo z uwagi na zainteresowanie carskiej policji jej aktywnością. Tu wraz z innymi działaczkami oświatowymi utworzyła wydawnictwo specjalizujące się w tanich, ale wysokiej jakości materiałach kształceniowych dla ludu. Brak takich publikacji był coraz dotkliwszy, z kolei rosnące zainteresowanie warstw plebejskich oświatą i czytelnictwem sprawiało, że na rynku pojawiało się sporo publikacji byle jakich: sensacyjnych, tandetnych. Morzycka uważała, że trzeba z tym walczyć, a lud zasługuje na porządną literaturę.

Sama zdradzała talent pisarski (chwalił ją Żeromski), napisała trzy powieści. Ale poświęciła się głównie pracy popularyzatorskiej. Przygotowała serię książeczek biograficznych – prezentacje postaci Jana Zamoyskiego, Benjamina Franklina, Wincentego Pola, Ignacego Krasickiego, Juliusza Słowackiego, Joanny d'Arc. Pisała przystępne streszczenia utworów Prusa, Orzeszkowej i Krąszewskiego. Jej kolejne broszury edukacyjne dotyczyły Grecji, Belgii, Szwajcarii, Francji, Holandii i krajów północnej Europy. Zwracały uwagę na postępowe cechy każdego z tych krajów. I tak, w książeczce o Belgii relacjonowała walkę związków zawodowych o osmiogodzinny dzień pracy i prezentowała ruch spółdzielczy jako przykład do naśladowania. „Belgo- wnie łączą się w celach samoobrony przed wyzyskiem, dla zakupu tańszych towarów, dla otrzymania większej zapłaty za swą pracę, w celu zabezpieczenia się od nieszczęśliwych wypadków (...) robotnik i włościanin belgijski mają wygodniejsze i dostatniejsze życie, niż pozwala im na to skromny zarobek, a zawdzięczają to jednoci i stowarzyszeniom”.

Ludzie podziemni

„Nie wystarcza jej należenie do konspiracyjnych kółek oświatowych, pragnie teraz poznać wielkie środowiska pracy fizycznej, zbliżyć się do robotników, których ciężka dola budzi w niej gorące współczucie. Dociera do fabryk, poznaje pracowników, ich rodziny, oświeca dorosłych, uczy dzieci i młodzież” – wspominała Walentyna Na-górska, współpracownica Faustyń.

Morzycka przeniosła się do Skierniewic, gdzie wraz z siostrą w 1899 r. założyła szkołę dla dzieci robotniczych – znowu bezpłatną, znowu z tajnymi zajęciami

Wierzę w olbrzymią potęgę oświaty,

przez nią nie tylko pojedynczy ludzie, ale i całe narody wznoszą się na szczyt największej chwały – mówiła Faustyna Morzycka.

o polskiej historii i kulturze, znowu światnie zakonspirowaną przed carską policją. Placówka istniała sześć lat, a działalność musiała przerwać z powodu stanu zdrowia Faustyń: gruźlica zmusiła ją do kilkumiesięcznej kuracji zagranicznej.

Wróciła na wieść o wybuchu rewolucji 1905 r. „Jeden wspólny huragan szalonej radości porywa nasze dusze” – mówiła, gdy po prawie dekadzie wróciła do Nałęczowa. Tam deklaruje publicznie: „Pragnieniem moim jest roznieść w tej okolicy nieco światła, bo wierzę w olbrzymią potęgę oświaty, przez nią nie tylko pojedynczy ludzie, ale i całe narody wznoszą się na szczyt największej chwały, pod wpływem zaś ciemnoty opadają na dno najmroczniejszych przepaści”.

W Nałęczowie przebywa wtedy Gustaw Daniłowski – literat i działacz Polskiej Partii Socjalistycznej; na krócej przyjeżdżają też inni „ludzie podziemni”. W willi Nowickiego znowu zakładają tajną szkołę dla chłopskich dzieci. Z inicjatywy Żeromskiego powstaje Towarzystwo Oświaty „Światło”, które ma prowadzić edukację ludu w duchu ideałów postępowych i demokratycznych. Morzycka zostaje sekretarzem organizacji. Powołują także Uniwersytet Ludowy dla dorosłych – na organizowane odczyty zjeżdża z Warszawy elita intelektualna polskiej lewicy niepodległościowej, a z okolicznych miejscowości schodzą się setki chłopów. W starej szopie pod miastem słuchają o niepodległości i sprawiedliwości społecznej.

Później, na fali pewnej liberalizacji politycznej, udaje się powołać legalną placówkę oświatową. Tak powstaje dwuklasowa szkoła, w której chłopskie dzieci uczą się języka polskiego i rodzimej historii. Morzycka jest dyrektorką, a szkoła szybko obrasta zajęciami dla dorosłych i pracującej młodzieży, kursami czytania i pisania dla analfabetów, teatrem amatorskim, przedszkolem. Istnieje dwa lata. W 1908 r. Faustyna zostaje aresztowana.

Robota, więzienie, ucieczka

Aresztowanie nie było przypadkowe – prócz pracy oświatowej Faustyna uczestniczyła w podziemnej i ryzykownej „roboty” partyjnej. Jej mieszkanie jest stałym punktem kontaktowym bojowców Polskiej Partii Socjalistycznej, a w pewnym momencie zostało miejscem schronienia więźniów politycznych zbiegłych z lubelskiej twierdzy. Morzycka opiekuje się nimi, organizuje cywilne ubrania, PPS przesyła jej fałszywe dokumenty.

Pewnego dnia jeden z więźniów, któremu Faustyna pomogła, zostaje złapany. Po torturach zdradza nałęczowskie miejsce pobytu. Morzycka trafia do więzienia w Lublinie. Szczęśliwie opuszcza je już po kilku tygodniach – dzięki staraniom rodziny i postawie świadka, który teraz, podczas konfrontacji, wypiera się znajomości z kobietą.

Ale w Nałęczowie jest „spalona”. Z fałszywymi dokumentami ucieka więc z zaboru rosyjskiego do austriackiego, gdzie życie publiczne jest znacznie bardziej liberalne. W Krakowie zostaje wykładowczynią na Uniwersytecie Ludowym im. Adama Mickiewicza (związany z PPS); wygłasza też odczyty polityczne i oświatowe w całej Małopolsce.

Po epizodach rewolucyjnym i więzieniem nie ma już wątpliwości, że jej miejsce jest w niepodległościowym ruchu socjalistycznym. I kontynuuje też misję swej ciotki-imienniczki: „Kobiety (...) rzuciły się z zapalem do zakreślającej coraz szersze kręgi tak zwanej emancypacji. I śp. Faustyna Morzycka była szczerą wyznawczynią tego (...) kierunku” – wspominała później Felicja Popławska.

Życie zanadto ciężkie

Przeżycia radykalizowały Faustyń. W Krakowie nie tylko wykłada, ale zostaje przyjęta na konspiracyjny kurs Organizacji Bojowej PPS. Obsługi bomb uczy na nim legendarny konspirator Mieczysław Mańkowski, znany z zamachu na znenawidzonego carskiego gubernatora Warszawy, generała Gieorgija Skałona. Po rewolucji roku 1905 szeregi bojowców są mocno przerzedzone, więc Morzycka zostaje przyjęta z otwartymi ramionami – znana jest jako wieloletnia i wytrwała działaczka. A gdy przewożąc kilkakrotnie pistolety, wywiązuje się z zadania, zostaje przydzielona do „roboty” najpoważniejszej.

W 1906 r. Skałon przeżył pierwszy zamach (został jedynie ranny). Postano-

wiono więc zorganizować drugi, co było bardzo trudne, gdyż gubernator unikał już miejsc publicznych. Bojowcy PPS postanowili przeprowadzić więc akcję dwustopniową: celem numer jeden miał być zastępca Skałona, generał Uthoff, zaś jego pogrzeb planowano uczynić miejscem wykonania wyroku na Skałonie. Zamach przeprowadzili Mańkowski, Morzycka i dwoje innych bojowców 10 października 1909 r. Faustyna rzuciła bombę o kilka sekund za późno, więc pasażerowie auta – brat Uthoffa i szofer (jak się okazało, generał został w domu) – wyszli bez szwanku. Były za to ofiary wśród przypadkowych przechodniów: dwie zmarły, jedna została ciężko okaleczona, kilka innych raniono.

Bojowcom udało się uciec z miejsca zamachu i wrócić do Galicji. Jednak Morzycka przeżyła załamanie nerwowe: dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu przypadkowych ofiar; uważała też, że zawiodła. Bliscy próbowali jej pomóc wyjść z ciężkiej depresji, ale poprawa była tylko chwilowa. Rankiem 25 maja 1910 r. w Krakowie Faustyna zażyła truciznę.

W liście pożegnalnym napisała: „Gdy mnie wyrzucono z miejsc najbliższych, oderwano od pracy najodpowiedniejszej, stało się to, czego ja sama nigdy się nie spodziewałam. Żyćcie nadto ciężko”.

KRYTYCY STRAJKU W OŚWIACIE przekonali, że nauczyciele i nauczycielki powinny być jak „Siłaczka”. Powstaje pytanie: czy naprawdę chcą, by naśladowali oni Faustynę Morzycką – socjalistkę, feministkę i rewolucjonistkę.

© REMIGIUSZ OKRASKA

Niechlujna „Historia Węgier”

Książka Tadeusza Kopyśa jest skarbnicą, ale nieprawdopodobnej wręcz liczby błędów.

ZACZYNA SIĘ OD OKŁADKI: ZE STARYM godłem Węgier, podtrzymywanym przez aniołów, a obok – niechlujstwo w zapisie nazw miejscowości. Albo należało pisać je po węgiersku, albo po polsku – ale konsekwentnie. Tymczasem mamy tu po polsku Pecz (węg. Pécs), a na wschód od niego już Szeged (po węgiersku).

We wstępie do swojej „Historii Węgier 1526-1989” autor wspomina wybitnych znawców dziejów Węgier – Wacława Felczaka i Henryka Wereszyckiego – jednak w „Bibliografii” próżno ich już szukać. Kuriozalny jest indeks nazwisk, np. cytowanego w tekście ks. Józefa Tischnera w „Bibliografii” autor pomylił (!?) z węgierskim historykiem Jánosem Tischlerem (notabene także polonistą). Zestaw wykorzystywanych dzieł zawiera dużo błędów pisowni – na ogół imion. Brak jest konsekwencji w cytowaniu autorów; np. na str. 9 Ignáca Romsicsa autor cytuje wedle przyjętego w większości krajów zwyczaju (wpierw imię, potem nazwisko), z kolei Andrása Gergelya już „po węgiersku”: Gergely András.

Oczywiście są to tylko „drobiazgi” – i są one niczym przy braku podstawowego źródła do powojennych dziejów zarówno Węgier, jak też (albo: przede wszystkim) dziejów Kościoła katolickiego w tym kraju: „Emlékirataim” („Pamiętników”) kardynała prymasa Józsefa Mindszentyego, o którym na Węgrzech i w świecie napisano tyle, że publikacjami odnoszą-

cymi się do niego można by urządzić obfitą bibliotekę.

Z książki Kopyśa nic nie można się dowiedzieć o procesie, torturowaniu, skazaniu i przetrzymywaniu w nieludzkich warunkach prymasa Węgier – symbolu martyrologii chrześcijaństwa w Europie Środkowo-Wschodniej czasów komunizmu. Zdanie (s. 566) „Do najbardziej znanych opozycjonistów należał István Bibó i József Mindszenty” (w tej kolejności!) dowodzi, że autor jest bezradny wobec osób i faktów dziejów kraju, który opisuje. István Bibó, członek Węgierskiej Akademii Nauk i w 1956 r. członek rządu rewolucyjnego Imre Nagya, później skazany na dożywocie, w 1963 r. uzyskał amnestię i pracował naukowo aż do śmierci w 1979 r. Jak porównywać – na podstawie jakich faktów z życiorysów? – profesora Bibó i kardynała Mindszentyego?

Rodzi się pytanie: kto był (i czy był?) recenzentem wewnętrznym książki, która urąga normom uczciwości naukowej? Mało zaszczytną rolę spełnia tu Wydawnictwo Avalon, które przecież współodpowiedzialne jest, wraz z autorem, za ukazanie się tak niechlujnej książki.

© JÓZEF PUĆIŁOWSKI OP



• Tadeusz Kopyś
HISTORIA WĘGIER
1526-1989

Avalon, Kraków 2018

TP

Kluby „TP” zapraszają

LUBLIN ■ środa, 12 czerwca, godz. 18.00

„Czy zwierzęta mają duszę?”. Gościem będzie: Szymon Hołownia. Miejsce: Trybunał Koronny (Rynek 1).

BERLIN ■ czwartek, 13 czerwca, godz. 19.00

„Wspólnota ludzi czy interesów – Quo vadis Europa?”. Miejsce: Sala seminarijna Klasztoru oo. Dominikanów (Oldenburger Str. 46).

WARSZAWA ■ czwartek, 13 czerwca, godz. 18.30

„Ukryte Piękno. Architektura współczesnych kościołów”. Gościem będzie: Jakub Turbasa. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA ■ poniedziałek, 17 czerwca, godz. 18.00

„Jan Józef Lipski i rok 1989: ryzyko, które było warte podjęcia”. Gościem będzie: Łukasz Garbał. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

W POSZUKIWANIU NATURALNEGO SNU

Naukowcy i badacze literatury są zgodni: bez smartfonów i dostępu do sztucznego światła ludzie śpią inaczej.

JAKUB MEJER

Don Kichote spłacił dań naturze, przysypiając pierwszemu, ale w drugi sen już nie zapadł; Sanczo, przeciwnie, drugiego wcale nie miał, bowiem spał ciągiem od wieczora do rana, czym dał dowód zdrowej natury i braku frasunków.

MIGUEL CERVANTES „DON KICHOTE”

POTYCZKI Z WIATRAKAMI TO NIE TYLKO jeden z najznamiętszych opisów szaleństwa w historii światowej literatury, ale też opowieść o snach i spaniu. Jak wykazał zespół pod kierownictwem Aleksa Iranzo, neurologa ze Szpitala Klinicznego w Barcelonie, na łamach powieści Cervantes umieścił „mistrzowskie opisy zaburzeń snu takich jak bezsenność, niedobór snu, głośnie chrapanie, zaburzenia zachowania podczas snu REM”.

Amerykański historyk A. Roger Ekrich uważa natomiast, że Cervantes w opisach snu zawarł jeszcze jedną informację – o tym, jak spali nasi przodkowie i jak różne to było od tego, co przyjęte jest dziś za standard. Analizując teksty źródłowe – powieści, listy, wiersze, pamiętniki, poradniki medyczne – stwierdził, że „do początków współczesności mieszkańcy Europy Zachodniej z reguły spali w dwóch interwałach”.

W sen, z powodu braku lub wysokich kosztów sztucznych źródeł światła (na dobre świece stać było nielicznych), najczęściej zapadano niedługo po zachodzie

słońca. Pamiętniki brytyjskiej klasy wyższej świadczą o tym, że jej członkowie zasypiali z reguły około godziny 21-22. Standardem było od sześciu do ośmiu godzin snu, z mniej więcej godziną przerwą około północy, podczas której często ludzie nawet nie wstawali z łóżek.

Początkową fazę snu najczęściej nazywano pierwszym snem, drzemką (*first sleep, premier sommeil, primo sonno*) lub martwym snem/nocą (*dead sleep, concubia nocte*). Kolejną nazywano „drugą” lub „poranną”. Również w polskim języku istnieje specjalne słowo na pierwszy sen – pierwszemu. W swoich dziełach korzystali z niego m.in. Jan Andrzej Morsztyn i Julian Ursyn Niemcewicz. Onufry Kopczyński, w pierwszym podręczniku polskiej gramatyki, definiował to słowo jako „pierwemu spać”. „Pierwszy sen po zaśnięciu; pora pierwszego snu, pora od wieczora do północy” – podawał „Słownik staropolski” Antoniego Krasnowolskiego i Władysława Niedźwiedzkiego z okresu międzywojnia.

*Pójdź na Wawel! — z wolą Bożą,
Choć w pierwszemu miasto leży,
I dzwon północ bije z wieży.*

Nam się wszystkie drzwi otworzą.
WINCENTY POL „PIEŚŃ O DOMU NASZYM”

Kwerendę Ekricha potwierdza eksperyment przeprowadzony przez amerykańskiego psychiatrę Thomasa A. Wehra,

który na początku lat 90. zamknął siedem osób na cztery tygodnie i zredukował ich fotoperiod (czyli liczbę godzin, kiedy mają dostęp do światła) ze standardowych dla obecnych czasów (z powszechną elektrycznością) szesnastu godzin do dziesięciu. „Rezultaty pokazują, że ludzki sen może być nieskonsolidowany i polifazowy, jak u innych zwierząt. Po zmianie okresu spania u normalnych osób się wydłużył, z reguły przybierając formę dwóch, kilkugodzinnych, symetrycznych części przedzielonych od jedną do trzema godzinami pobudki” – opisywał na łamach „Journal of Sleep Research”.

Co ludzie robili w trakcie tej przerwy? Jak wynika ze źródeł: korzystali z toalety, dorzucali drewna do paleniska, sprawdzali zwierzęta i dzieci, rozmawiali, palili tytoń. Niektórzy zajmowali się mniej chwalebnyymi czynnościami i kłusowali bądź okradali – doki lub sklepy w miastach; sady lub puszcze na wsiach. Lekarze zalecali napić się w tym czasie wody lub ciepłego napoju (miał pomagać na pęcherz) lub zmienić bok, na którym się śpi. Inni zalecali uprawianie seksu – rolnicy i robotnicy zmęczeni całodzienną pracą nie mieli na to siły przed pierwszym snem.

Ten czas „zagospodarował” również Kościół. Już św. Benedykt wymagał od swych mnichów, żeby modlili się po północy. Don Kichote budząc Sanczę mówił do niego: „Powstań – na życie twe zakli-



David Bradley „Indiański sen”, w zbiorach Museum of Indian Arts and Culture, Santa Fe, Nowy Meksyk, USA

nam – oddał się o kilka kroków i z dobrego serca, z chętną odwagą wymierz sobie trzysta albo czterysta batów (...). Kiedy je sobie wymierzysz, resztę nocy spędzimy na śpiewaniu”, na co wierny giermek odpowiadał: „nie jestem zakonnikiem, abym w środku nocy ze snu się zrywał i biczował”.

Jak świadczą dzieła literackie, pory obu części snów nie były też jednakowe u wszystkich. W „Opowieściach kanterberyjskich” Geoffreya Chaucera jeden z bohaterów wstaje rano po pierwszym śnie, podczas gdy drugi idzie spać później i wstaje już w pełnym słońcu. W uważanej za jedną z pierwszych powieści i jeden z pierwszych horrorów „Beware the Cat” Williama Baldwina wywiązuje się awantura pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy są już po pierwszym śnie, i kolejnym, który dopiero idzie spać.

Trzeba tedy, abyście wieczorem, gdy wszystkich pierwszy sen zmorzy, znaleźli się na jednym z owych wysokich grobowców, które niedawno koło Santa Maria Novella wystawiono (...).

GIOVANNI BOCCACCIO „DEKAMERON”

Wraz z elektryfikacją miast i powszechniejszym dostępem do sztucznych źródeł światła rzadziej w pismach pojawiają się wspominki o pierwszym i drugim śnie. W wydanych w 1883 r. dziełach zebranych Jana Andrzeja Morsztyna słowo pierwospy, którego autor użył tłumacząc poemat „Psyche” Mariniego, wytłumaczone jest już w słowniczku archaizmów jako „czas pierwszego snu”.

W dziełach, które w oryginale wspominały o pierwszym i drugim śnie, nowsze tłumaczenia często ignorują ten rozdział.

Dead sleep u Chaucera w tłumaczeniu Heleny Pręczkowskiej staje się „snem głębokim”. *Concubina nocte* u Cyserona w tłumaczeniu Erazma Rykaczewskiego brzmi: się „przysniło koło północy”, a u Tacyta według Seweryna Hammera: „nastaniem nocy”. Podobnie angielscy tłumacze, którzy zamiast pierwszego, drugiego lub martwego snu pisali o „wczesnej drzemce” lub „pierwszych momentach snu”.

W 2015 r. zespół naukowców pod kierunkiem prof. Horacia de la Iglesia, biologa z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, opisał, jak śpią dwie grupy z plemienia Toba/Qom – jedna w wiosce bez elektryczności, a druga, mieszkająca na przedmieściach, z dostępem do nowoczesnej infrastruktury. W każdej z tych społeczności po kilkanaście osób otrzymało specjalne czujniki na nadgarstki, które monitorowały ich ➔

→ aktywność zimą (przełom listopada i grudnia 2012 r.) i latem (sierpień 2013 r.). Okazało się, że osoby bez dostępu do prądu spały latem ok. 7 godzin (średnio o 43 minuty więcej od przedstawicieli drugiej grupy), a zimą 8,5 godziny (56 minut więcej). Podczas gdy momenty wstawania były w obu grupach podobne i zbiegały się ze wschodem słońca, ta ze swobodnym dostępem do sztucznego światła zasypiała zauważalnie później od drugiej. Fragmentaryczny sen występował u tych bez sztucznego światła jedynie latem (u drugich wcale) – zdaniem naukowców mogły go wywoływać wysokie temperatury i pełnia księżycza.

Brak występowania go zimą może zdaniem badaczy wynikać z faktu, że w okolicach Zwrotnika Koziorożca fotoperiod jest dużo dłuższy niż w Europie oraz we wspomnianym wcześniej badaniu Wehra (nigdy noc nie trwała dłużej niż nieco ponad 12 godzin).

Inne badania również nie wykazywały bifazowego snu. W 2006 r. jedna z niemieckich stacji telewizyjnych zaprosiła 5 dorosłych i 6 dzieci, aby przez dwa miesiące mieszkali tak jak nasi przodkowie z epoki kamienia. Badający dorosłych zespół psychiatrów pod kierownictwem dr Hanny Piosczyk nie zauważył przypadków spania na raty. Wykazał natomiast dużo dłuższy sen (średnio o ponad 100 minut) w porównaniu z tym, który uczest-

nicy mieli zarówno przed eksperymentem, jak i po jego zakończeniu. Oni również bez dostępu do elektryczności zasypiali szybciej (przed godz. 22, a nie po 23), a wstawali dość podobnie (około 6:30 zamiast 7).

W 2015 r. badanie pod kierownictwem dr. Jerome'a Siegela z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles plemion izolowanych – w Namibii, Tanzanii i Boliwii – również tego nie wykazało. Po obserwacji 94 dorosłych osób przez łącznie 1165 dni, naukowcy doszli do wniosku, że członkowie tych plemion śpią podobnie jak my – ok. 6,5 godziny (to dolna granica średnich czasów snu w krajach rozwiniętych), rzadko miewają drzemki w środku dnia i przesiadują po nocach – zasypiając średnio ponad 3 godziny po zachodzie słońca.

Polifazowo drzemia natomiast zarówno mieszkający na Półwyspie Malajskim Temiarowie, jak też i Ibanowie z wyspy Borneo – z tym że zupełnie inaczej, niż mieli to robić Europejczycy czasów renesansu. W nocy śpią od 4 do 6 godzin, resztę czasu spędzając na łowieniu ryb, gotowaniu, pilnowaniu ognia i odprawianiu rytuałów. Po zachodzie słońca w dowolnym momencie przytomny jest mniej więcej co czwarty dorosły członek społeczności. Powszechnie śpią natomiast w trakcie dnia – średnio jednocześnie 10 proc. grupy.

W środku nocy pani wyrwała mnie z pierwszego snu. Wśliznęła się do pokoju i siadłszy na moim łóżku pociągnęła mnie za włosy i obudziła. – Nie mogę spać, Ellen – usprawiedliwiała się. – Chcę się z kimś podzielić moim szczęściem.

EMILY BRONTË „WICHROWE WZGÓRZA”

Jak na doniesienia kwestionujące tezę o powszechności polifazowego snu, „w warunkach naturalnych” zareagował Ekrich? Powołał się na kolejne źródła pisane i współczesne badania przedstawicieli kilku kolejnych plemion, które wspierają jego tezę. Między innymi na zapiski francuskiego jezuity opisującego w XVI w., że członkowie plemienia Tupinamba jedli w środku nocy, po pierwszym śnie, oraz szejka wspominającego, że w XIX-wiecznym Muskacie, stolicy Omanu, ludzie kładli się spać przed godziną 22 i budzili z pierwszego snu około północy.

„Nie chcę argumentować, że polifazowy sen był dominującym wzorem we wszystkich kulturach preindustrialnych w świecie niezachodnim. Badanie dr. Siegela jest ważnym, chociaż pojedynczym, kontrargumentem, który miejmy nadzieję, że przyszłe badania wyjaśnią” – zaznaczał jednak ostrożnie Ekrich na łamach magazynu „Sleep”.

Dotychczasowe badania są niestety oparte albo na niewielkich grupach w sztucznych warunkach (kilka osób żyjących inaczej przez kilka tygodni), albo na krótkich badaniach ludów, które rzadko korzystają z prądu lub wcale tego nie robią. Analiza tekstów źródłowych też ma swoje ograniczenia – opiera się na zapiskach klasy wyższej i średniej, niewiele mówi o życiu chłopów, robotników, niewolników i biedniejszego mieszczaństwa. „Przyszłe badania rdzennej ludności zimą, na terenach położonych na większych wysokościach, będą potrzebne, aby zbadać, czy wielofazowy sen zdarza się w warunkach naturalnych” – pisze natomiast prof. de la Iglesia. Może one będą potrafiły nam odpowiedzieć na pytanie, czy nasi przodkowie dobrze opisali swoje nocne zwyczaje w klasykach literatury – i czy poprawnie je interpretujemy. © JAKUB MEJER

Korzystałem z prac A. Rogera Ekricha. Fragment „Don Kichota” w tłumaczeniu Anny i Zygmunta Czernych. „Dekameron” w tłumaczeniu Edwarda Boyé. „Wichrowe wzgórze” w tłumaczeniu Janiny Sujkowskiej.



Sen wśród węży

SPECYFICZNE ZWYCZAJE dotyczące snu panują w amazońskim plemieniu Pirahã, wśród którego przez kilkanaście lat mieszkał antropolog i językoznawca Daniel Everett. W książce „Don't Sleep, There Are Snakes” (ang. „Nie śpij, tu są węże!”) Everett wspomina, że Indianie Pirahã śpią znacznie mniej niż ludzie zachodniej cywilizacji, bardzo rzadko w jednym ciągu dłużej niż przez 2 godziny, najchętniej zresztą zasypiają nad ranem. W nocy pozwalają sobie tylko na krótkie drzemki. Głęboki sen w nocy w środowisku, w którym żyją, mógłby być niebezpieczny, co najprawdopodobniej ukształtowało ich kulturowe preferencje. Pirahã wierzą bowiem, że czuwanie w nocy (czas spędzają na rozmowach czy zabawach) pozwala się człowiekowi zahartować, do czego przywiązują olbrzymią wagę. Wystrzegają się także chrapania, by odgłos ten nie zwabił panter, które mogłyby go pomylić z chrumkaniem dzikiej świnii. © P. ŁK

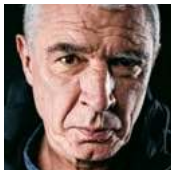
Na zdjęciu: Daniel Everett wśród Indian Pirahã

piają nad ranem. W nocy pozwalają sobie tylko na krótkie drzemki. Głęboki sen w nocy w środowisku, w którym żyją, mógłby być niebezpieczny, co najprawdopodobniej ukształtowało ich kulturowe preferencje. Pirahã wierzą bowiem, że czuwanie w nocy (czas spędzają na rozmowach czy zabawach) pozwala się człowiekowi zahartować, do czego przywiązują olbrzymią wagę. Wystrzegają się także chrapania, by odgłos ten nie zwabił panter, które mogłyby go pomylić z chrumkaniem dzikiej świnii. © P. ŁK

ANDRZEJ

Stasiuk:

Moja litania



PRAWIE PRZEOCZYŁEM ZJAZD, BO ZNAK BYŁ brązowy i niewielki, ale autostrada w sobotę rano pusta, więc zahamowałem i zdążyłem skręcić. Potem, przez cały Konin, też prowadziły mnie tabliczki, że „do sanktuarium”.

Właściwie to jechałem gdzie indziej, ale kochałem Licheń pogańską miłością i nie darowałbym sobie, że go ot tak minąłem. Tak więc stanąłem na parkingu i poszedłem. Ludzi było jeszcze niewielu. To tu, to tam grupka, dziesiąta rano dopiero. Wszyscy odświętni, porządnie ubrani, robili zdjęcia, statecznie spacerowali w tej jasnej, zielonej przestrzeni, w której ogrom kościoła nieco potulniał i jakiś taki przychylny się robił. Trochę nie pasowałem w bluzie z kapturem i amerykańskich bojówkach M65. Księża od razu wyławiali mnie wzrokiem z rzadkiego tłumu i słali strofujące spojrzenia. Nic to, myślałem i patrzyłem zachwycony na złoćliwość świątyni z błękitem nieba na wysokościach i wiosenną zielenią u stóp. Pomnik Kustosza i Jana Pawła był jeszcze odsłonięty.

A potem kupiłem sobie Matkę Boską. Długo szukałem, bo chciałem taką staroświecką, gipsową, kapliczkową, a wszędzie mieli nowoczesne, z żywicy epoksydowej, pociągnięte akrylem, albo w ogóle całkiem artystyczne, coś jak Henry Moore i Brancusi razem wzięci. No ale w końcu znalazłem. W handlowym namiocie, pośród cudnego, dewocjonalnego badziewia. Miała prawie metr, cała w lazurze i bieli, oczywiście po aryjsku jasnowłosa, pociągła, niebieskooka i depcząca prądowego węża.

„Już prawie takich nie robią” – powiedziała pani sprzedawczyni wyraźnie ucieszona. Postukałem. Dzwieczyła matowo i na spodzie postumentu, na niepomalowanym, pylił się minerał. Zapłaciłem, wziąłem ją w ramiona jak dziecko i zaniósłem do auta. Położyłem na tylnym siedzeniu i opatuliłem w śpiwór. Jakbym kładł do snu małą dziewczynkę. Jechała ze mną tysiąc kilometrów. Do Szczecina, z powrotem do Poznania i potem do domu. Przy każdym większym wstrząsie, przy każdym hamowaniu myślałem o niej: czy się nie zbudziła, czy jest jej wygodnie? Trzy dni jechałem przez kraj, który spoczywał u jej stóp. Od stuleci spoczywał. Korzył się w kuliście tego ni to anioła, ni to dziewczęcia. Na postojach odwijałem ją ze śpiwora i przyglądałem się twarzy podlotka. Przyglądałem się postaci. Była całkowicie pozbawiona kobiecości. A przecież musiała mieć biodra, by urodzić Boga. Musiała mieć piersi, by Go wykarmić. Ale w tej postaci powielonej w dziesiątkach, setkach tysięcy, rozstawiona w domach, kapliczkach, kościołach wyglądała tak, jakby zatrzymała się między niewinnością a dojrzałością. Niby królowała, a jednocześnie domagała się opieki. Niby była kimś w rodzaju bogini, ale zarazem wydawało się, że jest krucha, wy-

stawiona na jakieś zakusy i bez opieki, zwłaszcza męskiej, stanie się jej krzywdą.

Utulałem ją do samochodowego snu i myślałem o swoim dziadku, który był twardym wieśniakiem, chłopem z chłopów, solą mazowieckiej ziemi. Płodził dziecko za dzieckiem, żyłasty, zadziwiająco podobny do Karola Wojtyły, arcydzieło w tej swojej melancholijnej, dobroduszej fizjonomii. Wybuchy czułości i gniewu utrzymywały jego istnienie w osobliwej równowadze. Mnie, pierworodnego wnuka, huśtał na kolanie i obdarzał nieporadnymi pieszczotami, których w istocie nie miał od kogo się nauczyć, więc musiał mu je dyktować jakiś pradawny instynkt. Jednocześnie, gdy wchodził na podwórze, jego dzieci, zwłaszcza jego synowie woleli czym prędzej zniknąć mu z oczu. Tak samo żywy inwentarz.

W maju w jego domu zbierały się kobiety, by odmawiać Loretańską, a on przewodniczył modłom. Dlaczego on, a nie babka, równie przecież religijna? Nie wiem i nigdy się tego nie dowiem. Klęczał na przedzie, przed umajonym ołtarzykiem i figurką, która wyglądała jak młodsza, mniejsza siostra tej, z którą peregrynowałem. „Różo duchowna, Wieżo Dawidowa, Wieżo z kości słoniowej, Domie złoty...” – ta baśniowość w ustach dziadka, który na co dzień mówił językiem prostym i niewyszukanym, sprawiała dziwne, niepokojące wrażenie. Jakie obrazy pojawiały się wtedy w jego umyśle? Kim był dla niego ten podłotek wśród krepinowych kwiatów, przed którym korzył się tak niecodziennie i jakby perwersyjnie? Ten fantom kobiecości okryty biało-niebieską szatą tak szczelnie, jakby to był śmiertelny całun. Tylko różowawa twarz, dłonie i stopy zdradzały, że pod okryciem istnieje coś w rodzaju ciała.

Wspominam swojego dziadka, ale pamiętam przecież własne dzieciństwo. Na przykład nieopisaną nudę podczas niedzielnych mszy. To był jeszcze ryt trydencki, więc trwała znacznie dłużej, zwłaszcza suma i dla siedmio-ośmiolatka była kompletnie niezrozumiała i pozbawiona sensu. Błąkałem się wzrokiem we wnętrzu wysokiej, modernistyczno-neogotyckiej nawy świątyni przy warszawskim placu Szembeka. Kościół był pod wezwaniem Najczystszego Serca Maryi, więc maryjne wizjerunki musiały tam występować w obfitości. Nie pamiętam żadnego konkretnego, lecz pewną ogólną aurę, aurę kobiecości. Teraz widzę siebie, samotnego w przepastnym wnętrzu, wśród obcych ludzi, wsłuchanego w łacińskie śpiewy. Doznawałem nienazwanych, niezrozumiałych uczuć. Były pogańskie i erotyczne.

Miałem siedem-osiem lat i moje poczucie grzechu było wątpliwe, jeśli w ogóle było. Raczej jakaś baśń babilońska bałwochwalcza się działa. Może już wtedy podejrzewałem, że czcimy boginię? Że w tym strzelistym wnętrzu oddajemy się przedwiecznemu kultowi kobiecości? Że to ona rządzi krajem, Kościołem i światem. W końcu Syn był martwy, wisiał na krzyżu, raz w roku zmartwychwstawał, a potem wracał na swoje miejsce, a ona nigdy nie umarła, zasnęła tylko na chwilę. Wciąż była żywa, zaróżowiona, z wyrazem twarzy pozornie niewinnym, ale gięły się przed nią grzbiety, setki, tysiące pokornych grzbietów, korzył się przed nią mój naród. Padali jej do stóp twardej mężczyźni, jak mój dziadek, klęczeli w prochu władcy kapłani w swoich →

→ niewygodnych, hieratycznych strojach. Oczywiście wówczas nie miałem o tym pojęcia.

Wracałem do domu, na chwilę zapomniałem o spektaklu, ale wieczorem przed zaśnięciem powracała do mnie jej wizja. Dla siedmio-ośmiolatka była przede wszystkim kobietą, a siedmio-ośmiolatki też marzą. I nie oddziela ich jeszcze od przedmiotu gęsta zasłona teologii, nauki moralnej, obyczaju i tradycji, która sprawia, że uczucia i rzeczy najpierwsze stają się niewidzialne. Ledwo się tłą na dnie naszej wewnętrznej ciemności. Tak, można rzec, że o niej marzyłem przed zaśnięciem, tak jak chłopiec może marzyć o kobiecie, przeczuwając jedynie, jaka jest istota tego pragnienia.

I wiozłem ją teraz przez zielony majowy kraj. Przy bocznych drogach wciąż stały ukwiecone kapliczki. Kolorowe wstążki falowały na wietrze. Stare kobiety niczym szarobure ptaki przysiadły na ławeczkach i odmawiały Loretańską. Czasami którejś z nich towarzyszyła wnuczka. Raz czy dwa widziałem mężczyzn. Też byli starzy i trzymali się z tyłu. Stali jakby wstydlawie. Tak więc wiozłem ją opatuloną w śpiwór, który przechowywał jeszcze woń stepowego dymu, i starałem się jechać jak najostrożniej, żeby jej nie zbudzić.

„Widzisz – mówiłem w duchu – zrobili z ciebie dziewczynkę, żeby się ciebie nie bać. Bo oni, ci, co cię tak wielbią, w istocie boją się kobiet. Ten strach od wieków nie daje im spokoju, nie

pozwała im zasnąć. A ja zasypiałem z twoim obrazem pod powiekami i czułem dziecięcą rozkosz. Ponieważ nie wiedziałem, że jesteś dziewczynką, dziewczynką o niewiadomej płci. Uwięzili i skazali cię na wiekuiste towarzystwo zielonkawego węża, którego musisz dotykać bosą stopą. Moim zdaniem ten wąż jest bardzo paskudny. Raz do roku, na wiosnę pozwalają ci rodzic, a potem znów musisz wrócić do starych ubrań, w których wyglądasz tak, jakbyś nie miała czym urodzić, ani czym karmić. Bo oni się boją i nie chcą pamiętać, skąd wzięli się na świecie. Czasami wydaje mi się, że swoje istnienie uważają za własne dzieło. Że zrobili to własnoręcznie. Stąd to ich nieustanne gadanie o macierzyństwie. Że nic nie ma, ani przed, ani po. A ja gdy byłem chłopcem, nie miałem nawet pojęcia, że kogoś urodziłaś, i kochałem cię i bardzo pragnąłem być jak najbliżej. Tak wyobrażałem sobie, jak wyglądasz pod tymi wszystkimi sukniemi, w jakie cię przebrali. Przecież w miłości o takie wyobrażenia też chodzi – chociaż wtedy nie mogłem o tym jeszcze mieć pojęcia. Ale robiłem to i czułem niepokojącą radość. Czułem szczęście. Chcę, żebyś to wiedziała, bo wydajesz mi się nieco smutna i samotna. Skazana tylko na niańczenie albo na towarzystwo obleśnego węża”.

Tak do niej przemawiałem, może czasem nawet na głos, żeby jednak trochę słyszała. Wiezorami stawałem w hotelach i zwiniejętą w śpiwór pachnący jeszcze Mongolią zanosilem do pokoju. Dziewczyny w recepcjach patrzyły zaintrygowane.

© ANDRZEJ STASIUK

REKLAMA

www.spolnota.pl

Spółnota



SPÓLNOTA Drzewna Spółdzielnia Pracy w Białce koło Makowa Podhalańskiego od przeszło 50 lat jest producentem wyrobów z drewna.

Specjalizujemy się szczególnie w produkcji leżaków reklamowych, produkowanych z drewna bukowego.

Zaliczamy się do największych europejskich producentów tego typu artykułów, oprócz leżaków w ofercie posiadamy np. fotele reklamowe, stoliczki czy sanki.

Gwarantujemy wysoką jakość, terminową produkcję oraz przystępne ceny. Zaufało nam wiele firm zarówno zagranicznych, jak i polskich.



Zapraszamy na nasze strony:
www.lezaki-reklamowe.com.pl
www.spolnota.pl

Kontakt e-mail:
spolnota@spolnota.pl
spolnota.marketing@gmail.com

START 2019



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 24/2019

Nauka ciekawości

PROF. MACIEJ ŻYLICZ, PREZES FUNDACJI NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ:

**Sektor prywatny nigdy nie zastąpi państwa
w finansowaniu nauki, bo nie każda nauka
jest bezpośrednio aplikowalna do rzeczywistości.
Często się o tym zapomina, niestety w Polsce również.**

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czerwiec w tym roku sprzyja podsumowaniom. Co zmieniło się w polskiej nauce w ciągu ostatnich 30 lat?

PROF. MACIEJ ŻYLICZ: Na szczęście – wszystko. W PRL-u nie było systemu grantowego, raz uzyskana posada na uczelni była „na zawsze”, do tego byliśmy odcięci od reszty naukowego świata.

Dzisiaj możemy narzekać na wiele drobnych problemów, ale skala zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich 30 lat, jest trudna do wyobrażenia.

Czyli nie ma już wstydu?

Nie ma. Według wielu parametrów zbliżamy się wręcz do światowej czołówki – wciąż jesteśmy poza pierwszą

dziesiątką, ale już nam blisko do niej. Natomiast jeśli chodzi o poziom finansowania nauki z pieniędzy podatników, to jesteśmy dopiero na 25. miejscu. I ta różnica jest szczególnie dotkliwa. Można powiedzieć, że sukcesy naszej nauki mają miejsce pomimo braku finansowego wsparcia ze strony państwa, a nie za jego sprawą.



→ Gdzie jest najlepiej?

Szczególne osiągnięcia mamy w fizyce, zwłaszcza w fizyce wysokich energii, cząstek elementarnych i jądrowej. Oprócz tego nieźle radzimy sobie w analizie matematycznej czy biologii strukturalnej. W rankingach tych dyscyplin zajmujemy wysokie miejsca, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę relatywnie niskie nakłady finansowe.

Relacja między rozwojem nauki a ilością przeznaczanych na nią pieniędzy wciąż bywa nieoczywista dla wielu osób, szczególnie przedstawicieli władz.

A przecież to relacja podstawowa, o fundamentalnym znaczeniu. W 2004 r., gdy wchodziliśmy do Unii Europejskiej, Polska wydawała na naukę w sumie tyle, co jeden porządny uniwersytet w USA.

Daje to wyobrażenie o skali problemu. Jak jest teraz?

Od tego czasu nakłady wzrosły prawie trzykrotnie – to duży sukces, ale wciąż w tej kwestii jesteśmy w Europie na szarym końcu. Niemniej udało się stworzyć strukturalne podstawy dla działania nauki, które w swoim kształcie przypominają już najlepsze zagraniczne wzorce. Możemy dyskutować o szczegółach działania takich instytucji jak Narodowe Centrum Nauki czy Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, ale jedno jest pewne – udało się już stworzyć sprawny i wydajny system funkcjonowania nauki w Polsce. Wreszcie po 30 latach Polska – z perspektywy świata nauki – stała się krajem normalnym. Choć wciąż z nienormalnie niskimi nakładami na rozwój nauki.

Na czym polega ta normalność?

System stał się szczelny finansowo – nie ma już mowy o nadużyciach czy marnotrawieniu pieniędzy, nie licząc oczywiście pojedynczych przypadków. Powstała też gęsta i stabilna siatka współpracy między narodowej, a bez tego trudno poważnie i efektywnie zajmować się nauką. Trzecim elementem są oczywiście ludzie – młodzi,



M. WIŚNIEWSKA-KRASIŃSKA / ARCHIWUM FNP

PROF. MACIEJ ŻYLICZ (ur. 1953) jest biochemikiem i biologiem molekularnym. Od 2005 r. prezes zarządu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk.

zdolni i ambitni, choć akurat w tej kwestii zawsze byliśmy mocni. Gdy w 1986 r. zdecydowałem się wrócić do Polski ze Stanów Zjednoczonych, zrobiłem to właśnie z tego powodu. Udało mi się wtedy stworzyć niezwykle zespół, który miał świetne wyniki i bardzo mi pomógł w pracy badawczej.

A może w realiach późnego kapitalizmu to biznes powinien wziąć na siebie finansowanie nauki?

Sektor prywatny nigdy nie zastąpi państwa w finansowaniu nauki, bo nie każda nauka jest bezpośrednio aplikowalna do rzeczywistości. Wiele państw – w tym niestety Polska – o tym zapomina. To pułapka, w którą często wpadają kraje rozwijające się. Zastosowanie dla wielu badań naukowych odkrywane jest po latach, a nawet dekadach. I dopiero to przynosi korzyści, które nawet trudno oszacować. Stawianie wyłącznie na doraźną użyteczność to błąd. Wydaje się, że idziemy na skróty, a tak naprawdę trafiamy w ślepią uliczkę. Znajdowanie konkretnych zastosowań dla różnych wyników badań faktycznie powinno leżeć po stronie biznesu – i tak to działa w USA czy Niemczech. Natomiast państwo powinno wspierać bada-

nia, które z angielska nazywa się *curiosity-driven*, czyli motywowane przede wszystkim ciekawością badacza. Prawie wszystkie odkrycia i wynalazki, które zmieniły nasz świat, powstały właśnie w ten sposób.

A jaka jest w tym wszystkim rola humanistyki? Bo tutaj naukowość jest problematyczna, podobnie zresztą jak aplikowalność.

W zachodnim sposobie myślenia o nauce wykracza się poza wąskie ramy dyscyplin. Powołując zespoły naukowe, nawet jeśli mają typowo ścisły charakter, zawsze dołącza się do nich przedstawicieli nauk humanistycznych, co znacząco poszerza horyzont myślenia. Tego jeszcze w Polsce nie rozumiemy. Być może największym błędem naszej nauki jest to, że wciąż szczerlnie zamykamy się w granicach własnych dyscyplin i instytucji.

Co do humanistyki – tu w ogóle jest problem z parametryzacją czy próbą zamknięcia w naukowych ramach.

Karkołomne i zbyteczne jest szukanie wspólnego mianownika i metod ewaluacji dla nieprzystających do siebie dyscyplin naukowych. Korzyści z takiego podejścia czerpie wyłącznie aparat administracyjny. Nie istnieje uniwersalny sposób oceny pojedynczych badaczy. Niestety, ten błąd popełniamy nieustannie – jest także wyraźnie widoczny w ostatniej reformie szkolnictwa wyższego.

Co zatem zrobić z humanistyką?

W tym wypadku żadna parametryzacja nie ma sensu. Jestem z wykształcenia fizykiem, ale jest to dla mnie najzupełniej oczywiste – nie można w sensowny sposób porównać ze sobą jabłka, gruszki i śliwki. Najlepszym sposobem jest metoda *peer review*, czyli anonimowa ocena dokonywana przez równych sobie przedstawicieli tego samego środowiska. Stosowanie indeksów Hirscha czy innych wskaźników cytowań w takiej sytuacji jest absurdalne. Jedyne sposoby, by ocenić wartość projektu badawczego, to wczy-

tać się dokładnie w plan badań oraz dotychczasowy dorobek badacza i ocenić, na ile dany projekt jest ciekawy i czy wnosi coś nowego do dyscypliny. Ale to dotyczy także nauk ścisłych, w których parametryzacja ma sens wyłącznie w odniesieniu do dużych grup badaczy. W przypadku jednostek nie ma ona sensu tak samo jak w humanistyce. Tych standardów trzymamy się również w Fundacji.

Jest Pan prezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej od 2005 r. Co udało się od tego czasu zrobić?

Na początku, zaraz po wejściu do Unii, otrzymaliśmy duży zastrzyk pieniędzy z funduszy strukturalnych. Wykorzystaliśmy je, aby nadrobić najbardziej palące zaległości związane przede wszystkim z umiędzynarodawianiem nauki w Polsce, tworzeniem zespołów przez młodych ludzi, dobrym wynagradzaniem liderów projektów badawczych, co w dużej mierze się udało. Rzeczy, które dziś już są standardem i nikomu nie imponują, wtedy były ledwie marzeniem. Warto o tym przypominać, zwłaszcza w kontekście licznych dziś podsumowań. Dorobiliśmy się światowych standardów funkcjonowania nauki. Obecnie jednak mierzymy się z nowymi problemami – przede wszystkim narastającą biurokratyzacją i coraz bardziej restrykcyjnymi przepisami, nie tylko w Polsce, ale również na poziomie Unii.

Dlatego tak bardzo podobają mi się stypendia START przyznawane przez FNP – element biurokratyczny ograniczony jest w nich do minimum.

Program START finansujemy z własnych środków, więc możemy sobie pozwolić na to, co cenimy najbardziej, czyli pełną wolność.

Sami ustalamy reguły konkursu, polecamy ekspertów, do tego program kierujemy do osób ze wszystkich dyscyplin nauki w Polsce. Co szczególnie ważne – nasi stypendyści pochodzą ze wszystkich ośrodków naukowych, a nie tylko tych dwóch czy trzech największych. Bazujemy na zaufaniu, które potem procentuje. Oczywiście selekcja kandydatów jest ostra, bo mamy bardzo dużo zgłoszeń. Niemniej, kiedy badacz przejdzie już przez gęste sito naszych ekspertów, otrzymuje od nas pełną swobodę działania.

A co z kontrolą?

Oczywiście, że jest potrzebna – trzeba zwalczać wszelkie oszustwa i nadużycia. Nie można jednak podporządkować jej całego systemu, bo wtedy wylewa się dziecko z kąpielą. Z mojego wieloletniego doświadczenia wynika jasno i niezbicie, że absolutnie przeważająca większość badaczy działa uczciwie. Powoływanie olbrzymiego i kosztownego systemu kontroli nie ma więc sensu także z ekonomicznego punktu widzenia, o licznych korzyściach wynikających z budowania atmosfery zaufania nie wspominając.

A co z zaufaniem do samej nauki?

To poważny problem – nie włączamy społeczeństwa do naszych badań. I nie chodzi mi wyłącznie o popularyzację nauki, ale o otwartą postawę w dzieleniu się wynikami badań. Podam przykład z mojej dyscypliny – onkologii. W USA istnieją olbrzymie, powszechnie dostępne bazy danych najróżniejszych badań. Ostatnio grupa informatyków – zupełnie niezwiązana z tą dyscypliną – podjęła się analizy jednej z nich, przez co odkryli nowy rodzaj nowotworu piersi. O tego typu synergii mi chodzi, gdy mówię o społecznej otwartości nauki.

To szczególnie ważne w obliczu narastającej niechęci wobec nauko-wości w ogóle.

Nauka musi się nauczyć na nowo komunikować ze społeczeństwem. Trzeba też porzucić system oparty na niezdrowej rywalizacji – obecnie wciąż dominuje model, w którym naukowcy, ubiegając się o stypendia i granty, składają najróżniejsze obietnice. Na przykład, że znajdą lekarstwo na jakąś chorobę. A przecież tego nie da się przewidzieć. W ogóle nie da się z góry założyć efektów jakichkolwiek badań. Każdy naukowiec to wie, ale system wymusza tego typu nieetyczne deklaracje. A to z kolei napędza spiralę środowiskowej oraz społecznej nieufności. I tu ogromną rolę do odegrania mają odpowiedzialne media, jak choćby „Tygodnik” – potrzebujemy ludzi, którzy będą krzyczeć społeczne zrozumienie nauki. A to zadanie również potrzebne, co trudne w realizacji.

©® Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

■ PROGRAM START FUNDACJI NA RZECZ

NAUKI POLSKIEJ jest największym w Polsce programem stypendialnym dla młodych naukowców reprezentujących wszystkie dziedziny nauki. Jego celem jest wspieranie wybitnych młodych uczonych i zachęcanie ich do dalszego rozwoju naukowego. Fundacja co roku nagradza ok. 100 wybitnych młodych badaczy. Laureaci programu START otrzymują roczne stypendium w wysokości 28 tys. zł i mogą przeznaczyć je na dowolny cel. W ciągu 27 lat realizacji programu prestiżowe stypendia zdobyło ponad trzy tysiące wybitnych badaczy (łącznie z tegorocznymi laureatami), którym FNP przekazała w sumie ponad 81,5 mln zł.

■ **„STYPENDIAMI START HONORUJEMY** badaczy, którzy mimo młodego wieku mają już na swoim koncie imponujące osiągnięcia naukowe. Są to jedni z najbardziej obiecujących młodych naukowców w Polsce. Realizują ciekawe, ważne i potrzebne badania. Poprzez stypendium START chcemy ich zatrzymać w nauce” – mówi prof. Maciej Żylicz, prezes FNP.

■ **STYPENDYŚCI PROGRAMU START** są wybierani w drodze wieloetapowego konkursu, w którym oceniana jest jakość ich dotychczasowego dorobku naukowego. W programie panuje wysoka konkurencja. „Setka” nagrodzonych w tym roku badaczy została wybrana z grona 899 kandydatów.

■ **FUNDACJA NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ** istnieje od 1991 r. i jest niezależną, samofinansującą się instytucją pozarządową typu non-profit, która realizuje misję wspierania nauki. Jest największym w Polsce pozabudżetowym źródłem finansowania nauki. Do statutowych celów FNP należą: wspieranie wybitnych naukowców i zespołów badawczych oraz działanie na rzecz transferu osiągnięć naukowych do praktyki gospodarczej. Fundacja realizuje je poprzez przyznawanie naukowcom indywidualnych nagród i stypendiów, przyznawanie subwencji na wdrażanie osiągnięć naukowych do praktyki gospodarczej, inne formy wspierania ważnych przedsięwzięć służących nauce. Fundacja angażuje się także we wspieranie międzynarodowej współpracy naukowej oraz zwiększanie samodzielności naukowej młodego pokolenia uczonych. ©®

Gra o mózg



PAWEŁ KULA / ARCHIWUM FNP

Natalia Kowalczyk

Choć wykazała, że mózgi grających w strategiczne gry czasu rzeczywistego (RTS) są świetnie rozwinięte, sama od komputera woli podróże. Marzy, żeby usprawniać ludzkie procesy poznawcze, odbudowywać zaburzone funkcje mózgu i chronić go przed skutkami starzenia.

Badaczka z Uniwersytetu SWPS przebadła rezonansem magnetycznym mózgi osób, które grają średnio 12 godzin tygodniowo w strategiczne gry czasu rzeczywistego, i porównała je z mózgami niegraczy. Okazało się, że różnią się od siebie.

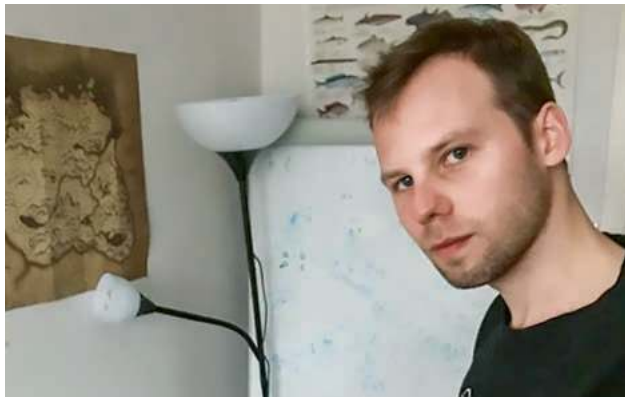
Wymagające gry akcji, w których gracz musi śledzić szybko poruszające się elementy na ekranie komputera, a przy tym wysilać pamięć i planować strategię na przyszłość, mogą wpływać na rozbudowywanie się połączeń w mózgu. Dzięki takim połączeniom informacje są przekazywane szybciej, mózg pracuje sprawniej, rośnie też spostrzegawczość.

Takie właśnie zmiany analizuje dr Natalia Kowalczyk, badając naszą neuroplastyczność. Mózg jest źródłem zachowań, ale również zmienia się pod wpływem doświadczeń. Dlatego neurokognitywistka zaprosiła do kolejnego swojego badania osoby w wieku 18-35 lat, które nigdy nie miały kontaktu z grami i z pomocą naukowców dopiero uczą się stawiać pierwsze kroki w tej dyscyplinie. Kluczowa będzie analiza zmian w ich mózgach, jakie zajądą podczas tego procesu. Uczestnicy będą badani czterokrotnie w czasie nabywania nowych umiejętności, co pozwoli ocenić nasilenie zmian na różnych etapach. Później naukowcy sprawdzą, czy są one trwałe, czyli czy połączenia neuronów pozostaną, jeśli gracz przestanie spędzać czas przed komputerem.

„Nie chcę nikogo namawiać, żeby rzucił wszystko i zaczął grać w gry. Jest wiele innych ciekawych form spędzania wolnego czasu. Ale dla rosnącej grupy osób gry stają się codziennością. Nasze informacje mogą być również cenne dla profesjonalnych graczy. Okazuje się, że w mózgu osób intensywnie grających w gry typu RTS w porównaniu do niegraczy ponadprzeciętnie rozbudowana jest sieć połączeń w rejonach odpowiedzialnych za zdolności wzrokowo-przestrzenne”

– mówi badaczka. ©P

Artysta sztuk ścisłych



ARCH. PRYWATNE

Michał Włodarczyk

Algorytmy pozwalają dokonywać obliczeń we wszystkich dziedzinach nauki. Są jednak takie problemy, na które od lat nie mogą znaleźć wzoru nawet najtęższe naukowe umysły. A jeśli już uda się je stworzyć, to często okazuje się, że maszyny potrzebują lat, a nawet wieków, by wykonać zadane operacje. Dlatego uczeni na całym świecie niezłomnie pracują nad skrótami i przybliżeniami, które uproszczą świat. Jednym z tych naukowców jest Michał Włodarczyk z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego.

Pasjonat łamigłówek, równolegle z pracą badawczą improwizuje na pianinie i komponuje muzykę na wirtualnych instrumentach – nie widzi różnicy między nauką a sztuką, bo jedno i drugie oparte jest na harmonii i algorytmach.

Kiedy informatyka dopiero raczkowała, naukowcy byli przekonani, że dla każdego problemu obliczeniowego można znaleźć efektywny algorytm – o ile poświęci się na to wystarczająco dużo czasu, kredy oraz kawy. Pojawiły się jednak problemy, których pomimo wielu lat badań nikt nie umiał rozwiązać lepiej, niż generując wszystkie potencjalne rozwiązania i wybierając najlepsze z nich.

Przy takim przepisie na wynik, nawet najsilniejsze klastry komputerowe nie dają rady. Przykładem może być tzw. problem komiwojażera. „Wyobraźmy sobie mapę, na której zaznaczamy wiele miast do odwiedzenia. Chcemy zaplanować trasę tak, żeby odwiedzić wszystkie te miejsca w jak najkrótszym czasie. To z pozoru proste, ale okazuje się, że kiedy liczba miast rośnie do stu, wówczas czas działania algorytmu staje się kosmicznie duży i nawet najmocniejsze komputery nie są w stanie takich obliczeń przeprowadzić” – tłumaczy naukowiec.

Dlatego na co dzień rozkłada owe nierozwiązywalne łamigłówki na czynniki pierwsze i zastanawia się, czy da się je rozwiązać w przybliżony sposób, rezygnując z dokładności na rzecz skrócenia czasu działania algorytmu. Dużo samotnych rozważań, żmudnych wyliczeń, niepewności, ale gdy zaczyna się rozumieć wewnętrzną strukturę danego zagadnienia, praca staje się czystą fascynacją. ©P

Ostre starcie z polityką



M. WIŚNIEWSKA-KRASIŃSKA / ARCHIWUM FNP

Joanna Rak

To nie były tylko kamienie. To było wszystko, co można wykorzystać do zrobienia krzywdy drugiemu człowiekowi: kawałki chodników, witryn sklepowych, śmietniki...” – wspomina doktor Rak z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zajmująca się prze-
mocą w działaniach politycznych.

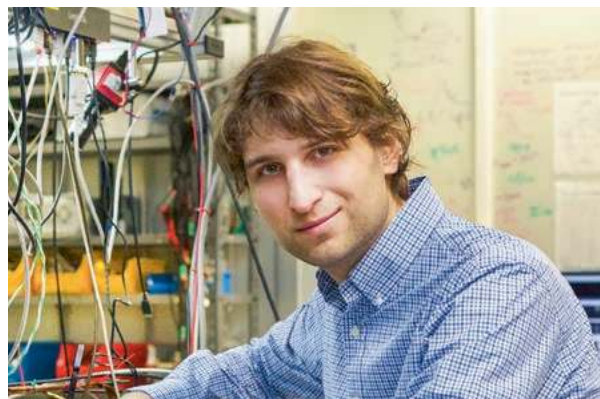
W swojej pracy musi przebijać się przez mur niechęci w komendach policji i przez medialne relacje z protestów. Nie ma wątpliwości, że wnioski z jej pracy są bezcenne w zarządzaniu sytuacjami kryzysowymi. Zaczęło się od badania przemocy stosowanej przez ETA w Hiszpanii. Po doktoracie wyjechała do Madrytu, a wówczas do głosu doszedł tzw. Ruch Oburzonych. Postanowiła więc przyjrzeć się dokładniej postawom społecznym reprezentowanym przez członków tego ruchu, a także środkom protestu, jakie wykorzystywali. Potem rozszerzyła swoje obserwacje na całą Europę.

Wyobraźmy sobie młodą kobietę, która poszukuje wyjaśnień dla agresji u aktywistów politycznych, policjantów, dziennikarzy. Obca, pozbawiona afiliacji, sama musi nawiązywać niezbędne kontakty, potwierdzać swoją wiarygodność, wyjaśniać intencje. A wszystko to – w kilkunastu państwach i w kilku różnych językach. Nikt nie witał jej z otwartymi ramionami.

„Frustrujące bywało to, że spotykałam się z niechęcią policjantów. Oni mają swoje procedury i nie chcą, żeby ktoś z zewnątrz oceniał ich czynności. A przecież badacz nie po to przychodzi, by kontrolować policję. Po prostu do przeprowadzenia badań niezbędne były dla mnie dokumenty z komend głównych. Musiałam wiedzieć, w jaki sposób zabezpieczane były protesty i jakie były postawy policjantów wobec aktywistów” – tłumaczy badaczka.

Kiedy jej badania weszły w fazę realizacji, ruchy protestu w większości już nie istniały. Niektóre organizacje nie miały przywódców politycznych, inne powstawały spontanicznie i nie były na tyle silne, żeby przetrwać. Dlatego Joanna Rak oglądała setki relacji medialnych, które odnosiły się do protestów. Musiała przejrzeć jak najwięcej wiadomości, żeby uzyskać wiarygodną relację. Patrzyła na sfrustrowanych ludzi, na agresję, walki, przemoc. Dlatego obok kompetencji językowych, naukowych i społecznych, kluczowa w jej przypadku okazała się również żelazna psychika. ©P

Pamięć światła



M. WIŚNIEWSKA-KRASIŃSKA / ARCHIWUM FNP

Michał Parniak

Kiedy ćwiczy zwroty na desce z żaglem, światło nie jest dla niego żadną falą, tylko promieniami słońca ogrzewającymi skórę. Ale na co dzień pracuje nad urządzeniem, które będzie zapamiętywać światło i przechowywać je w kwantowej pamięci. Ambitnie? „Zawsze podobało mi się pływanie na dużych falach” – mówi windsurfer i doktor nauk fizycznych z Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Wielomodowa pamięć kwantowa, nad którą pracuje, ma na celu zapisanie światła nie tylko jako obrazu. Gdyby bowiem udało się odtworzyć falę i strumień świetlny z dokładnością do jednego fotonu, powstałaby pamięć kwantowa, z której już niedaleko do komputera kwantowego i bezpiecznej, bo niedającej się podsłuchać komunikacji. Dlaczego? „Jeśli ktoś spróbuje przechwycić komunikat, w którym 1-kwantowy bit jest zapisany w jednym fotonie, to natychmiast się o tym dowiemy. Skoro bowiem jest tylko jeden foton, to nie można sobie zabrać tylko troszkę naszego sygnału – natychmiast przestalibyśmy go bowiem odbierać” – tłumaczy stypendysta START.

Michał Parniak zajmuje się konstrukcją pamięci światła i szuka źródła pojedynczych fotonów. Za „kartę pamięci” służą mu atomy rubidu. Co prawda rubid jest metalem, ale kiedy naukowcy go podgrzeją – paruje. W tym gazie atomów można zapisać światło w temperaturze pokojowej. Jednak trudno jest uzyskać dokładność na poziomie pojedynczych fotonów – dlatego naukowcy chłodzą gaz.

O osiągnięciach swojego zespołu Parniak opowiada na konferencjach naukowych i podczas wyjazdów do partnerskich instytucji badawczych. W tej dziedzinie Polacy są chętnie cytowani przez zagranicznych kolegów. Podróże są więc okazją do odwiedzenia dobrych uniwersytetów i ciekawych miejsc. Naukowiec przebywa obecnie na stażu w Kopenhadze, był też w Dolinie Krzemowej i w Hongkongu. „Mamy konkurencję w Chinach, więc to dla nas ważne, żeby grupom chińskim pokazać, co robimy, aby mogli nas cytować” – mówi fizyk. ©P

MINISTERSTWO SENSU

JACEK DUKAJ, PISARZ:

Mozesz być przekonany, że decyzję o jakimś zakupie podjąłeś z własnej woli. Ale dla tych, co posiadli odpowiednią wiedzę, jesteś przewidywalny jak narkoman na głodzie. Sam dla siebie pozostajesz tajemnicą – ale nie dla nich.

MICHAŁ SOWIŃSKI: „Po piśmie” to Twoja najnowsza opowieść o końcu świata, jaki znamy?

JACEK DUKAJ: A jaki to świat znamy? Czyż wszyscy nie żyjemy już w świecie myślunku postpiśmiennego? W świecie przeżywaczy zanurzonych coraz głębiej w przekazywane im doświadczenia zmysłowe, których prawdziwość nie zależy od źródła – są prawdziwe, gdy szczerze przeżywane. Zanurzonych w doświadczenia i przeżycia niedestylowane do znaczeń, a zatem nieodwołujące się do nawyków wyrobionych w piśmie: wynikania, krytycznej analizy, operacji na ideach, logicznej spójności. Na co dzień mamy do czynienia z ludźmi, obyczajami i ogromnymi zasobami kultury wyrosłymi już z tego nowego myślunku.

Czyli czego właściwie?

Kultura, mentalność, wykształcenie – one wszystkie są pochodnymi jakiegoś myślunku: albo oralnego, albo piśmiennego, albo postpiśmiennego właśnie. Sposób przekazywania przeżyć kształtuje umysł tak głęboko, że będąc zanurzonym w danym myślunku, nie jesteśmy go w ogóle świadomi.

Dopiero zderzenie np. z pełną oralnością pozwalało nam zrozumieć, co właściwie oznacza bycie „człowiekiem pisma”. On wcale nie musi sam czytać i pisać. Ale urodził się i wychował w świecie, między ludźmi, między przedmiotami, w technologii, prawie, gospodarce, religii – które

wszystkie są owocami pisma. Roznoszą i narzucają jako naturalny, jedyny możliwy ten myślunek: urzeczawiający idee, wciągający w linearną narracyjność, modelujący samoświadomość, zakładający obiektywizm i racjonalność widzialnego i niewidzialnego.

I to się właśnie kończy?

Ten świat pewnie nigdy całkiem nie zaniknie, lecz jest przykrywany i poddawany celom i wartościom świata przeżywaczy. Tak jak nie przestaliśmy używać mowy po nadejściu pisma; lecz to pismo najsilniej odtąd formatowało człowieka i jego cywilizację. A teraz tak formatują nas technologie transferu bezpośredniego.

Ich dominacja jest oczywista. Tak uprawiamy politykę. Pod takie wartości obracamy kolejne dziedziny sztuki i życia. Tak przeorganizowujemy naszego ducha. Ostatni zabieg, jaki wykonuję w tej analizie, ma podstawę we współczesnej popkulturze i w globalnej gospodarce opartej na handlu informacjami o miliardach konsumentów, czyli na handlu podmiotowością człowieka.

Futurologia stała się znów jednym z ważniejszych obszarów myśli.

Będę zażarcie bronił tezy, że „Po piśmie” nie jest książką futurologiczną.

To czym jest?

Nazywaniem współczesności. Bo najtrudniej przewidywać nie przyszłość ani

przeszłość (też przecież zmieniającą się nieustannie), lecz teraźniejszość. Słota na procesy i zjawiska, w których pozostajemy zanurzeni, które na nas samych pracują – jest tak silna i powszechna, że zazwyczaj uniemożliwia ich konceptualizację, analizę. Znacznie łatwiej budować spójne, ideowo domknięte opowieści o przyszłości niż o świecie, w którym sam żyjesz.

Ale jednak myślenie o przyszłości stało się ważnym paliwem dla najróżniejszych języków debaty publicznej.

I na czym ono w praktyce polega? Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia raczej z powrotem do historiozofii, tylko że uprawianej z większą subtelnością i precyzją, bo jest oparta na numerycznych danych, oraz z doświadczeniem nauk społecznych, które w drugiej połowie XX wieku zostały poddane ściślejszej metodologii. Dlatego Thomas Piketty może dziś z wyższością korygować Karola Marksa, bo ma bazy danych o kilku wiekach przemian ekonomicznych i programy do ich analizy.

I co nam takie myślenie daje?

Mamy raczej do czynienia z wzmocnieniem myślenia o dziejowości, o długofalowych procesach – do których paliwo, czyli dane, siłą rzeczy bierze się z przeszłości. Owszem, takie rozumowanie, o ile są wystarczająco spójne, mogą także powiedzieć coś o przyszłości. Wystarczy wykonać jeden obrót więcej mechanizmu dziejów →



→ – doprowadził nas on już do terażniejszości, więc obracamy teorię raz jeszcze, i oto odsłania się następna epoka. I następna.

Dzięki „przewidzeniu terażniejszości” można przede wszystkim zrozumieć więcej z własnego życia – zobaczyć, jak to jest stać się częścią lokalnych i globalnych procesów, składową wielkich sił, produktem ogromnych zmagani systemów wartości. One bezpośrednio wpływają na to, kim jesteś, co i jak kupujesz, z kim i dlaczego się przyjaźnisz, jak spędzasz wolny czas, jak myślisz o sobie. Na co dzień jesteś zbyt zajęty, aby tak nazywać i porządkować rzeczywistość. Ale to dzięki tego typu pracy „opowiadaczy dziejowości” nabiera ona sensu. I nabiera sensu twoje życie. Zakorzenia się w tym, co niewidzialne, pozazmysłowe, a co trzyma w kupie cały real: w Logosie.

Popularność tych narracji bierze się najpewniej z faktu, że w zaspokajaniu tej potrzeby zastępują mieszkańcom zsekularyzowanego Zachodu religię.

Patrzysz z melancholią na odchodzącą epokę pisma?

Bardzo starałem się oddzielić warstwę opisu i analizy od warstwy wartościowań. Ale oczywiście – jestem dzieckiem kultury pisma. Więcej: tylko w myślunku pisma da się skonceptualizować te zmiany. Pojęcia, których tu używamy – procesy kulturowe, kategorie przeżyć, sama podmiotowość człowieka – to wszystko są pochodne pisma. Dla przeżywacza – członka popiśmiennej kultury bezpośredniego transferu przeżyć – stanowią one puste zbitki dźwiękowe. Nie stoi za nimi nic możliwego do przeżycia. Jedynie intelektualne gry na znakach.

To, co teraz robimy – rozmawiamy o książce, do tego w siedzibie wydawnictwa – z tej perspektywy to czynność absurda.

I stąd moje nieustanne wysiłki pokazywania, jak każdy myślunek buduje własne hierarchie wartości. Przecież dla ludzi głębokiej oralności pojawienie się pisma oznaczało upadek człowieka. Analogicznie dla elit ery pisma postpiśmienność jest zejściem w barbarzyństwo, w prymityw. Nie mogą o tym inaczej myśleć.

Próbuję wciągnąć czytelnika w to ekstremalne ćwiczenie intelektualne: wykreślenie poza własny myślunek, spojrzenie na nie wszystkie – oralność, piśmienność, postpiśmienność – niejako z lotu ptaka,

sponad wartościowań i nawyków. Spoza własnego umysłu. Co tak do końca nie jest oczywiście możliwe. Więc modeluję z wnętrza kultury pisma i narzędziami pisma, jak też nas widzą i osądzają pokolenia sformatowane już przez technologie przekazu postsymbolicznego.

Sam nie jestem w stanie wyzbyć się sentymentu do pisma, ale przynajmniej mam świadomość mechanizmów, jakie za tym sentymentem stoją.

Piszesz o zanikającej roli i znaczeniu literatury dla tych pokoleń – to jedno. Ale sam język? Kultura bezpośredniego transferu doświadczeń będzie się skupiać wyłącznie na przeżywaniu, ale czy naprawdę możliwe jest przeżycie bez języka?

Oczywiście, że jest możliwe. Są przeżycia przedśwonne. Nawet większość. Język jest sposobem wyrażania przeżyć. Ale to nie język je stworzył.

A kto będzie strukturyzował ten świat nieskrępowanych przeżyć?

Sam piszesz o wąskiej grupie technokratów, ostatnich kapłanów pisma, zarządzających nową rzeczywistością.

Ta kwestia nie została jeszcze rozstrzygnięta. Można tu bronić rozmaitych wariantów.

Wszystkie technologie umożliwiające bezpośredni transfer przeżyć opierają się na ideach, które są bezpośrednim owocem pisma. Wszystkie polegają na cyfrowej parametryzacji i wymagają myślenia matematycznego. Matematyka jest tą dyscypliną, której nie da się uprawiać poza pismem, istnieje tylko i wyłącznie jako system operacji na symbolach. Aby więc te technologie utrzymywać i rozwijać, potrzebna jest grupa ludzi nadal potrafiących w ten sposób myśleć. Tylko że to może być naprawdę niewielka grupa. W świecie zglobalizowanym i zautomatyzowanym – kilkadziesiąt tysięcy osób. Oprócz tego istnieje mnóstwo innych nisz i społeczności, których nawet nie jesteśmy świadomi. Praktykujących różne dziwne, archaiczne umiejętności i style życia. Jak łucznictwo czy śpiew alikwotowy. Nie ma powodu, dla którego w postpiśmienności nie mogłyby też istnieć enklawy pisma.

Ważniejsze, jaka będzie relacja owej piśmiennej mniejszości względem postpiśmiennej większości. Tu dużo zależy od dominującego modelu politycznego. W etosie demokratycznym, gdzie więk-

szość wybiera swoich władców – sprawujących władzę praktyczną lub symboliczną – co najmniej od lat 60. XX wieku ludzie wybierają nie innych ani lepszych; wybierają podobnych sobie. Trudno więc wtedy zakładać dominację polityczną piśmiennej mniejszości. Mało kto zgłasza na tych wyalienowanych dziwaków, którzy nie mówią jak my, nie myślą jak my, nie żyją jak my.

Ostatnie wybory prezydenckie w USA dały nam tego przedsmak?

Postpiśmienny Trump, którego żywiołem jest niegramatyczny Twitter i czyste przeżywaństwo *reality shows*, wygrał z hiperpiśmienną Clinton, otoczoną najbardziej czytanyimi ekspertami świata. Większość zachodniego elektoratu żyje właśnie taką *reality TV* i wojnami celebów w social mediach, a nie esejami w tygodnikach opinii i Alexisem de Tocqueville’em. I ta zasada obowiązuje coraz powszechniej.

No ale wyższość modelu demokratycznego wcale nie jest oczywista. Alternatywa to na przykład model merytokracyjny, rozwijany choćby w Chinach. Ma on bardzo długą tradycję, od tysięcy lat droga do władzy prowadziła tam przez system egzaminów cesarskich, dostępnych dla każdego, niezależnie od urodzenia. Konfucjański utylitaryzm – opakowany w mitologię „harmonii społecznej” – legitymizuje rządzących ich umiejętnościami radzenia sobie z rzeczywistością. To bardzo dobrze współgra z nowożytną metodologią naukową; Chiny celują w kształceniu inżynierów, specjalistów-praktyków z dziedzin ścisłych. Nauki przyrodnicze nie są demokratyczne: nie dlatego teoria Einsteina zwyciężyła, że podobała się większości, ale że raz za razem sprawdzała się w zderzeniu z rzeczywistością. W istocie często na początku prawda naukowa stoi w opozycji do większości.

Im bardziej zależy od środowiska technologicznego, im bardziej nasze procesy polityczne są filtrowane i warunkowane przez wiedzę ścisłą (a ostatnie kampanie wyborcze to już wojny cyberspecjalistów i inżynierów społecznych), tym mniejsze znaczenie ma proces demokratyczny.

Świat bezpośredniej transmisji przeżyć będzie miał też zupełnie inne wyzwania – jednym z nich jest duch hedonizmu, czyli ugrzęźnięcie

w pustce niczym nieograniczonej rozkoszy.

To nie wynika z postpiśmienności. Tu podstawą jest obserwacja zmian zachodzących w naturze i czasie pracy – aż do sytuacji trwałej bezrobotności większości ludzi. W jednym z esejów towarzyszących „Po piśmie” postuluję powstanie „ministerstw sensu życia”. Jako że ta sama wiedza o człowieku, która odpodmiotawia go politycznie, pozwala też serwować mu odpowiednio sprofilowane hierarchie celów, ambicji, pragnień, fascynacji, aby nie zapadł się w pustkę bezsensu, gdy pozbawiony jest tradycyjnych konieczności życiowych: pracy, rodziny. To bardzo praktyczna branża; pod szyldem „gamifikacji” rozwijana już dziś na miliardowych budżetach. Pytanie tylko, czy wyłącznie w celach komercyjnych, czy też właśnie przez państwo, przez takie „ministerstwa sensu życia” – z troski o wspólnotę, o życie społeczne.

I znowu: nikt nie dostrzega tego właśnie aspektu chińskiego Social Credit System. Bo z jednej strony – to totalitarny system inwigilacji i ugniatań miliardowego społeczeństwa. Z drugiej – narzędzie do nadawania ludziom indywidualnego sensu życia.

Twoja koncepcja zakłada przyrost technologii w stabilnym systemie społecznym. A przecież już teraz tylko w USA pomiędzy jednym a drugim wybrzeżem żyją miliony ludzi, którzy z perspektywy gospodarki stali się zbędni. Osobom zastąpionym przez maszyny nie zaproponowano niczego w zamian. Być może zbuntują się i nastąpi załamanie systemu?

Przełożę twoje tezy na real: globalna katastrofa to jedyny ratunek dla kultury pisma.

Tego typu narracje milcząco przyjmują oczywistość przejścia w postpiśmienność, uciekając za to w wizję kompensacyjną: to niech cały świat spłonie, skoro to nie my mamy rządzić hierarchiami wartości!

Bo żadne lokalne bunty czy załamania nie zmieniają kierunku technologii. Biznesy i państwa nie przestaną z sobą konkurować w owym wyścigu z tego powodu, że część populacji jakiegoś kraju wypadła na aut, stała się zbędna, straciła pracę i przyszłość. Żadne takie wyautowanie nie powstrzymało nigdy podbojów, kolonizacji, industrializacji. A w skali globu i historii

Lokalne bunty nie zmieniają kierunku technologii.

Biznesy i państwa nie przestaną z sobą konkurować w owym wyścigu z tego powodu, że część populacji jakiegoś kraju wypadła na aut.

JACEK DUKAJ (ur. 1974) jest pisarzem, krytykiem, eseistą. Ukończył filozofię na UJ. Autor licznych powieści i zbiorów opowiadań. Sześciokrotnie laureat Nagrody im. Janusza Zajdla (nominowany 11 razy), a także Nagrody Fundacji im. Kościelskich i Europejskiej Nagrody Literackiej. Trzykrotnie nominowany do Paszportu „Polityki”. Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się właśnie jego zbiór esejów „Po piśmie”.

ludzkości mowa tu o setkach milionów, jeśli nie miliardach osób.

Jak w ogóle miałby wyglądać taki „bunt zbędnych”? W praktyce oznacza on głosowanie na Trumpa czy innego populistę, który dzięki temu dochodzi do władzy, po czym zderza się z tą samą twardą rzeczywistością globalnej konkurencji gospodarczej, technologicznej i kulturowej.

W sukurs przychodzi gwarantowany dochód minimalny i cała sfera władzy symbolicznej, kulturowej. W zasadzie dla czego ludzie mieliby się zbuntować? Ich życia przeżywają się poza nimi; podmiotowe są przeżycia, nie ludzie. Spokój społeczny zostaje zachowany.

Zobacz, jak w ten właśnie sposób zmieniła się natura klasy średniej. W coraz mniejszym stopniu definiuje ją własność, dochód czy siła polityczna, w coraz większym – zawieszona poza fikcją i prawdą tożsamość, mit kulturowy, w który się jej członkowie wzywają. To już nie aspiracja w stylu *american dream*. Uczestniczą oni w etosie, na który ich nie stać, ale stać ich na przeżywanie innych tak żyjących – przez Facebooka, przez media tożsamościowe, przez uczestnictwo w wojnach kulturowych. I najważniejsze jest owo przeżycie. Chyba pierwszą tak wyraźną grupą społeczną definiowaną przez wspólne przeżywanie są młodzi urbani, z tymi symbolicznymi hipsterami jako ich heroldami. Niby biedni prekariusze, ale: „Nie to jest ważne, jak żyję, ale jak o sobie myślę i kogo przeżywam”.

Z Twojej książki wynika też jasno, że każda technologia jest polityką, a każda polityka technologią.

Nie, technologia nie jest polityką: nie odbija gry sił między ludźmi, lecz samą naturę rzeczywistości. Natomiast oczywiście jest wykorzystywana przez polityków.

Technologia, czyli zarówno materialne narzędzia, jak i źródłowo rozumiana *technē*: wiedza o rzeczywistości pozwalająca przekształcać świat, w tym samego człowieka. A więc i nauki społeczne, behawioralne, kognitywistyczne, pozwalające parametryzować ludzi i manipulować nimi. Przyrost tej wiedzy jest ogromny i nieodwracalny. Nie ma dla nas powrotu do czasów niewinności, do tej metafizyki Zachodu uznającej wewnętrznego człowieka za świętą tajemnicę i na

tej tajemnicy budującej podmiotowość jednostki →



→ oraz wysokie gmachy prawa, gospodarki wolnorynkowej, demokracji.

Jak ta metafizyka przekładała się na praktykę życiową?

Dlatego odpowiadasz przed sądem za swoje czyny, że ich źródło znajduje się w tobie; że nie jesteś sterowany z zewnątrz. Otóż dlatego mówi się w demokracji o ludzie jako „suwerenie”, że skreślając polityka na karcie, jesteś w budce wyborczej sam, nikt nie kieruje twoją ręką. I dlatego wolny rynek miał najlepiej alokować dobra i usługi, że opierał się na zaufaniu do siebie ludzi opowiadających za własne decyzje.

Lecz po przekroczeniu pewnego progu wiedzy o człowieku traci on pozycję podmiotu w każdej z tych dziedzin. Subiektywnie możesz być przekonany, że decyzję o zakupie tego telefonu albo zagłosowaniu na tego polityka podjąłeś sam, niepodległe, z własnej woli. Ale dla tych, co posiadli odpowiednią wiedzę, jesteś przewidywalny jak narkoman na głodzie. Ty sam dla siebie pozostajesz tajemnicą – ale nie dla zewnątrz. Na razie ciągle mowa o skuteczności statystycznej: uda się wpłynąć na dziewięciu, a jeden się wymknie. Ale to już wystarczy, żeby nas rozgrywać, ekonomicznie i politycznie.

Kto wtedy zachowuje podmiotowość?

Wskazuje się zazwyczaj na kastę spin doktorów, ludzkich technokratów. W bardziej paranoicznej wersji – na rosyjskich agentów. To jeszcze łatwo zaakceptować: proces ma twarz, można o nim myśleć kliszami z hollywoodzkich thrillerów. Ja natomiast staram się przekonać do znacznie trudniejszej, subtelniejszej prawdy: podmiotem jest sama ta wiedza. Ona unarządza tak manipulowanych, jak i manipulujących.

Duch dziejów?

Bez przesady. Chociaż lekkie ukąszenie heglowskie pewnie można mi zarzucić. Przeważnie posługuję się metaforą Logosu. Ale samo istnienie tych reguł nie wiąże się z intencją czy nadrzędnym sensem. Po prostu owe upodmiotowione procedury stają się dla nas coraz bardziej widoczne: czy to zakłète w maszyny, programy, czy inne elementy coraz ściślej strukturyzujące nasze życie. Logos zarządza wprost korporacjami, łańcuchami dostawczymi, pracami badawczymi. Zresztą sami się chętnie procedu-

Większość zachodniego elektoratu żyje wojnami celebów w social mediach,

a nie esejami w tygodnikach opinii i Alexisem de Tocqueville’em.

I ta zasada obowiązuje coraz powszechniej.

ralizujemy. Wszystkie te poradniki samorozwoju są niczym innym jak nośnikami algorytmów usprawniania człowieka. Nie mam wśród znajomych chyba nikogo, kto by przynajmniej jednej takiej procedury na sobie nie procesował. Uzasadnienia są różne – najczęściej chodzi o tzw. uporządkowanie sobie życia i wydajność w pracy, także czysto intelektualną. Co jeść, kiedy chodzić spać, jakie pastylki łykać, w jakich godzinach jakiej aktywności się oddać, jak myśleć, jak czuć, jak współpracować, kiedy pozwolić sobie na spontaniczność. Wiele procedur odnosi się do sfery romantycznej, intymnej.

Jak zarządzać swoim związkiem?

Pamiętam, że jeszcze w latach 80. nie istniał język, który by to uniósł. Nie używało się słowa „związek”. Samo pytanie „Co zrobić, aby podtrzymać albo uczynić swój związek lepszym?” zabrzmiałoby wtedy jak najpodlejszy makiawelizm serca. A dzisiaj już dzieciaki w szkole mają w telefonach aplikacje do „zarządzania związkami”.

Nie mówiąc już o całej branży porno, która formatuje nasze życie erotyczne. Nawet sny – wydawałoby się ostatni bastion podświadomości – są hakowane. Czy przez programowanie faz REM, czy przez profilowanie treści snów obrazami przed zaśnięciem. A chemia? Nasze pokolenie przejdzie do historii jako pionierzy kultury pragmatycznej narkotyzacji. To, co się dziś dzieje z wysoko jakościową legalną marihuaną czy mikrodawkowaniem LSD, to dopiero prolog do chemicznej inżynierii mózgu.

Czy możliwe są zatem jakieś strategie oporu?

Ale przeciwko czemu? Musisz najpierw określić wartość, której chcesz tu bronić, i to tak, żeby była do pojęcia pomimo tych zmian.

Zastanawiam się, czy w sytuacji odchodzenia od kultury pisma w stronę bezpośredniego transferu przeżyć jest w ogóle jakikolwiek moment etyczny.

Etyczny? Chodzi ci o to, czy samo to przejście można uznać za „dobre” lub „złe”?

Chociażby. Czy na przykład świadome umacnianie kultury postpiśmiennej poprzez wciąganie w nią innych może być rozpatrywane w kategoriach etycznych?

Nie widzę wielkiej roli dla etyki w sytuacji dobrowolnego zanurzenia w kulturze. Na ile oczywiście cokolwiek może tu być uznane za dobrowolne.

Dlatego wątek etyczny w ogóle nie pojawia się w Twojej książce?

Etyka jest pochodną kultury, a jeszcze szerzej – myślunku.

Widać to wyraźnie w samej instytucji prawa. Prawo, tak jak my je pojmujemy, powstało dzięki pismu, jest produktem myślunku pisma. Prawo, które istnieje tylko w umyśle sędziego – niezobiektywizowane, nieupodmiotowione, nieoderwane od przygodnych okoliczności sprawy – nie jest prawem, co najwyżej obyczajem, tradycją. A najczęściej – sentymentem, ekspresją autorytetu.

I wychodzenie z myślunku pisma ujawnia się też w stosunku przeżywanego do prawa. To nie przypadek, że prawnicy, czyli egzekutorzy prawa, są jedną z bardziej znienawidzonych grup zawodowych, podobnie jak parlamentarzyści, czyli twórcy prawa. Dziś mówi się o nich: „nieludczy”, „oderwani od życia i zwykłych ludzi”, „pozbawieni empatii”. A na tym właśnie polega praca na abstraktach, na zimnych regułach, ideach. W szczycie myślunku pisma stanowiło to zaletę; dla wyzwolonych z pisma stanowi wadę.

Etyka postpiśmiennych oparta jest natomiast na wczuciu się w jednostkę, na wzięciu się w tego konkretnego człowieka. Nie masz prawa wydawać sądu moralnego o nikim, kogo nie przeżyłeś. Co więcej: każdy sąd o faktach, o rzeczywistości jest pochodną tożsamości wypowiadającego go: „Ja jako biały praworęczny Europejczyk mężczyzna uważam, że Ziemia jest okrągła”. Bo to moje przeżycie ustanawia prawdę w postpiśmiennym świecie, a nie żaden ciąg martwych symboli na papierze.

© P Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



MAURYCJ STANKIEWICZ / NOWY TEATR

Maja Ostaszewska w spektaklu Michała Borczucha „Kino moralnego niepokoju”, Nowy Teatr w Warszawie

Multikino

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

W „Kinie moralnego niepokoju” spotykają się Thoreau i Kieślowski. Pierwszy proponuje odejście od cywilizacji i życie zgodne z rytmem natury, drugi – sztukę zaangażowaną politycznie i etycznie. Z tymi wątkami splota się trzeci, współczesny.

PRZEDSTAWIENIE ZREALIZOWANE W NOWYM Teatrze w Warszawie przez wędrujący kolektyw Michała Borczucha z jednej strony zawiera rozpoznane, opisane i oswojone elementy stylu tego reżysera, a z drugiej – jest kolejną próbą przekroczenia tego, co właśnie jako rozpoznane i oswojone stało się przeciwnie skuteczne, jeśli nie jałowe.

Gdy kilkanaście lat temu Michał Borczuch debiutował, wywołał wiele nieporozumień, a nawet oburzenia („teatr dla idiotów”). Marcin Kościelniak cierpliwie wyjaśniał, że to, co wydaje się brakiem umiejętności, niedbalstwem lub lekcewa-

żeniem, jest świadomie przyjętą postawą i konsekwentną strategią. Jej zasadą jest niemal demonstracyjna rezygnacja ze znamion profesjonalizmu (sprawnej reżyserii, wyraźnych linii konstrukcyjnych, prowadzącego uwagę widza montażu, budzącego emocjonalne zaangażowanie aktorstwa itd.), które zastępują nieporządek, luźna konstrukcja, pozornie niedbała reżyseria, świadomie wykorzystywana nuda.

Podobne cechy Kościelniak znajdował u reżyserów należących mniej więcej do tego samego co Borczuch pokolenia (Krzysztof Garbaczewski, Michał Za-

dara, Monika Strzępka), a całą tę grupę nazwał „młodzi niezdolni”. Tę „niezdolność” wiązał między innymi z rezygnacją z zajmowania mocnej pozycji ideologicznej, dążenia do przekonania widzów do czegoś czy choćby zajęcia ich uwagi, bo nawet to wydawało się zbyt agresywne, przemocowe.

O ile charakterystyka pozostałych „młodych niezdolnych” może z dzisiejszej perspektywy wydać się problematyczna, o tyle Borczuch najdłużej pozostał wierny temu, co Kościelniak zdiagnozował i opisał już na przykładzie pierwszych jego przedstawień, takich jak „Leonce i Lena” (Teatr Dramatyczny w Warszawie, 2007), „Lulu” (Stary Teatr w Krakowie, 2007) czy „Werter” (tamże, 2009). Teatr Borczucha znajdował jednak wciąż nowych zwolenników, a to, co dawniej drażniło, zostało wkrótce uznane za oryginalny styl. Przełom przyniosło chwalone powszechnie i nagradzane przedstawienie „Wszystko o mojej matce” (Łaźnia Nowa, 2016). Dziś reżyser kończy 40 lat, jest artystą o sporym doświadczeniu – ale pozostaje tak samo fascynująco „niezdolny” jak kilkanaście lat temu.



Księżniczka Burgunda dziwi się światu

→ Teatr Borczucha stanowi wyjątkowo wdzięczny przedmiot syntetycznego opisu, bo wiele w nim elementów stałych, powracających strategii i rozwiązań. Ich bodaj najnowsze zestawienie sporządziła Marcelina Obarska w syntetycznym tekście na portalu culture.pl („Piękny lot. Statucie Michała Borczucha”).

Podobnie jak Kościelniak, Obarska wskazuje na szczególny typ postawy przyjmowanej przez Borczucha i jego współpracowników. Niechętni i podejrzliwi wobec „wielkich narracji”, wybierają prywatność, opowiadają intymne, niekiedy wręcz żenujące „przygody”. Jak pisał Kościelniak, nie wynika to z jakiegoś zleniwienia, ale z sytuacji pokolenia, którego reprezentant (u Borczucha grany głównie przez Krzysztofa Zarzeckiego) „pragnie nadać swojemu życiu kontur, sens i kierunek, jednak wszystkie próby rozbijają się o wewnętrzną apatię napędzaną przekonaniem, że repertuar scenariuszy społecznej samorealizacji jest ograniczony, on zaś sam do niczego nie pasuje, nic nie jest rzeczywiście jego”.

To przekonanie konsekwentnie dotyka także aktorstwa, które rezygnuje z mocnej ekspresji, jest nie tyle chłodne emocjonalnie, co jakby obojętne wobec samego siebie. Aktorki i aktorzy Borczucha zaburzają linię podziału między „rolą” a „prywatnością” w taki sposób, że nie da się rozstrzygnąć, czy historie przez nich opowiedane należą do przygotowanego scenariusza, czy też są efektem improwizacji lub wręcz wyznaniami. To, co wydaje się odślonieniem prywatności czy intymności, pozbawione zostaje znamion przekroczenia, które zwykle wiąże się z takimi sytuacjami.

W zamian właśnie w tych (często kluczowych) scenach reżyser sięga po ramę metateatralną, zaburzając kulturowo uwarunkowane znaki pozwalające na zdefiniowanie sytuacji. Szczególną rolę odgrywa tu właściwe aktorom Borczucha ściszenie głosu (paradoksalnie, a zarazem koniecznie wzmacnianego przez mikroporty) i maksymalne ograniczenie ekspresji, potęgujące wrażenie apatii, nudy i tu miwisizmu.

Precyzyjnie zakomponowana niedbałość widoczna jest też w dramaturgii przedstawień, którą współpracujący z Borczuchem Tomasz Śpiewak pozbawia nie tylko tradycyjnych znamion dramatycz-

Przedstawienie Borczucha przypomina kompozycję muzyczną:

prezentowane kolejno tematy przeplatają się, łączą, niekiedy są sobie przeciwstawiane.

ności, ale też mocnych sugestii interpretacyjnych i wiązań fabularnych. Zamiast „budować napięcie” lub „przekazywać przesłanie”, przedstawienia Borczucha otwierają pole wielogłosowego „dziania się”, którego dziwaczność wywołuje nie efekt osobliwości, ale stan permanentnego zadziwienia. W rezultacie swoistym środowiskiem podstawowym jego teatru stają się dźwiękowo-obrazowe pejzaże dyktansu, niemożności i niedziałania.

Nad wodą wielką i czystą

W takim właśnie środowisku spotkali się w Nowym Teatrze XIX-wieczny filozof amerykański Henry David Thoreau i Krzysztof Kieślowski. Pierwszy przedstawia propozycję odejścia od cywilizacji ludzi i życia zgodnie z rytmem natury, drugi – sztukę zaangażowaną politycznie i etycznie, pomimo świadomości ambiwalencji pozycji artysty i niepewności takich słów jak prawda i uczciwość.

I Thoreau, i Filip Mosz, tytułowy „amator” z filmu Kieślowskiego, podejmują mocne decyzje oparte na woli przecinającej spiętrzone zastrzeżenia i niepewności.

W teatrze Borczucha takie wybory opatruje się zmultiplikowanymi cudzysłowami, więc w „Kinie moralnego niepokoju” monologi z książki Thoreau nie tylko są wypowiedzane z właściwym Krzysztofowi Zarzeckiemu radykalnym stłumieniem ekspresji, ale też zostają umieszczone w ramie planu filmowego, nawiązującego (podobnie jak scenografia Doroty Nawrot) do wideoperformansu Józefa Robakowskiego „Samochody, samochody...”. Pochodzący z epoki „Amatora” film, rejestrujący ruch uliczny komentowany obojętnym głosem oglądającego go z okna artysty, remiksuje teraz troje statystów, którzy na znak niewidocznego reżysera mechanicznie chodzą i biegną po okręgu. Ich jednostajny ruch ilustruje pustkę cywilizacji, od której chce uciec bo-

hater „Waldena”, i jednocześnie stanowi ironiczny kontrapunkt podważający akt wyboru alternatywnego sposobu życia. Sceny te są tak długie i nużące, że nawet dobrze znający specyfikę teatru Borczucha i najlepiej do niego nastawieni widowie po kilkunastu minutach świetnie rozumieją jednego ze „statystów”, Bartosza Bielenię, który przy kolejnym okrażeniu bezgłośnie wypowiada w stronę widowni błagalno-ironiczne „RATUNKU!”.

Stopniowo na plan przenikają sceny zapożyczone z „Amatora”, a także sekwencje budujące trzeci główny wątek przedstawienia, *quasi*-prywatną historię trójki rodzeństwa: Maryli (Maja Ostaszewska), Benka (Marek Kalita) i Zenka (Jacek Poniędziałek), znanych i odnoszących sukcesy aktorów warszawskich. Piszą oni do siebie listy pełne wyznań o pogubieniu, pustce i małych tęsknotach osuwających się w banal nostalgii za „realnym” życiem „prostych” ludzi oraz o utraconych związkach z bliskimi i naturą. To jakby współczesna i zarazem zdrobniała reprzyza tematu „Waldena”, przetłumaczona zarazem na codzienność i celebryckość. Gwiazdy Nowego i telewizyjnych seriali tworzą tu śmieszne, ale też jakoś wzruszające niby-autoportrety umieszczone w podwójnym cudzysłowie ukrywającym i chroniącym wszystko, co mogłoby się wydawać „szczerością”.

Budowane z tych trzech zasadniczych wątków przedstawienie przypomina kompozycję muzyczną: prezentowane kolejno tematy przeplatają się, łączą, niekiedy są sobie przeciwstawiane. W środkowej części temat „Waldena” wydaje się niemal zanikać, wchłaniany przez niemal parodystyczne rekonstrukcje scen z „Amatora”. Z jednej strony ośmieszają one anachroniczność dawnych emocji i dylematów, ale z drugiej obnażają nieznośną lekkość i letniość dzisiejszego sposobu bycia, z perspektywy którego tamte wątpliwości i moralne niepokoje wydają się tak wielkie, że już niemożliwe do przywołania serio.

Niemożność powrotu do „prostych pytań” spotyka się z niemożnością ucieczki od ludzi, gdy nad brzegiem stawu bohater Thoreau usiłuje daremnie i niemal żałośnie przekonać Filipa Mosza (Piotr Polak) do swoich racji. Wszystko kończy się jakąś piknikowo-majówkową zabawą ze skokami do nieistniejącej wody, jawnie odgrywanymi jako teatralne tricki. Słynna ostatnia scena filmu Kieślowskiego zrekonstruowana jest w takim samym pa-

rodystycznym i chłodnym stylu, ale gdy jedna z aktorek mówi, że jest ona dla niej szczególnie ważna, brzmi to zaskakująco wiarygodnie.

Rekonstrukcja finału „Amatora” poprzedza finał wątku rodzeństwa, które jedzie do rodzinnej miejscowości na Mazurach, by rozwiązać przyziemny majątkowy problem z odziedziczoną działką i odkryć przy okazji, że nieopłacany od lat grób rodziców został przekopany, a ich szczątki przeniesiono do zbiorowej mogiły. Żalonna nieporadność współczesnych pozwala niespodziewanie serio zabrznieć – też w sumie groteskowemu – finałowemu monologowi Thoreau do zwierzęcej zuchwy. W tym prześmiewczo-melancholijny sosie wyświetlany na koniec na krzywo rozpiętej płachcie obraz płonącego ognia ma posmak jakiejś nieodgadnionej, ale dotykającej nas poezji.

Garnek nad ogniskiem

„Kino moralnego niepokoju”, zachowując wszystkie cechy „słabego teatru”, zdaje się ponownie uruchamiać obecną już w „Żabach” dramaturgię wyjścia z chaosu i niemożności ku czemuś niejasno zapowiadającemu przekroczenie. W przedstawieniu według tekstów Arystofanesa podróż do Hadesu i przejście przez śmierć wiodły w świat jakiejś miłosnej utopii. W „Kinie moralnego niepokoju”, przy całej chłodnej ironii i parodystycznym tonie cytowań, rozgrywane jest podobne przejście od znużenia i marazmu do niejasnego poczucia wspólnoty. Pojawia się nawet – o dziwo! – wezwanie do poszukiwania własnych

sytuacji szczęścia i radości. Problem jednak w tym, że nie bardzo wiadomo, do kogo miałyby ono być kierowane.

Kościelniak widział w Borczuchu reprezentanta pokolenia, dla którego opresja jest nadmiar, a codziennością postmodernizm. „Kino moralnego niepokoju” to zaskakujący wyraz potrzeby przekroczenia tej nazbyt już oczywistej diagnozy.

Słowem-kluczem teatru „młodych niezdolnych” była porażka, rozumiana w duchu wydanej niedawno po polsku, ale dawno już w tym środowisku znanej książki Jacka Halberstama „Queer Art of Failure” („Przedziwna sztuka porażki”). Przecistawiając się światu rządzonemu przez paradygmat skuteczności i wydajności, jego bohaterowie rozgrywali porażkę, niemożność, „słabość” jako akty niezgody. Co jednak zrobić, gdy odgrywanie porażki przestaje mieć sens, bo z jednej strony odniosło się sukces i zdobyło uznanie, a z drugiej – poniosło zbiorową porażkę, znajdując się nagle w obliczu wielu tysięcy „młodszych silniejszych”, maszerujących pod hasłami, które – jak się wydawało – dawno unieważnili artystyczni dziadkowie i ojcowie?

To chyba nie przypadek, że w „Kinie moralnego niepokoju”, zainscenizowanym w najmłodszym warszawskim teatrze, spotykają się gwiazdy teatru „ojcóbójców” (a zarazem telewizyjno-polityczni celebryci), aktorzy Borczucha oraz najmłodszy „statyści”. Tym pierwszym właśnie przekopano grób rodziców (pozwalam sobie nie ciągnąć rysującej się tu teatralnej analogii...), drudzy nostalgicznie i paro-

dystycznie ponawiają przeszłe akty niezgody, podczas gdy ci ostatni męczą się jednostajnością teatralno-filmowej inscenizacji. Wszyscy wydają się uwięzieni w niemal Gombrowiczowskiej pułapce kolejnych warstw i wariantów siebie, wobec której wybór Filipa Mosza jest nie tylko bezradny, ale wręcz całkowicie nie na miejscu.

Nieprzypadkowe i niezartobliwe wydaje mi się powtórzenie przez Bartosza Bielenię w czasie ukłonów niemego krzyku o ratunek zwróconego ku publiczności. Ale teatr Borczucha to nie jest teatr Prospera, który mógł jeszcze mieć (nawet jeśli gorzką) nadzieję na wybaczenie i ocalenie przez widzów. Ci warszawscy śmieją się ironicznie, gdy na filmie z prób zaproszony na nie w swoistej rekonstrukcji sceny z „Amatora” Krzysztof Zanussi usiłuje tłumaczyć sytuację swojego pokolenia, przypominając ból ludzi, którzy po wielkim transferze musieli porzucić groby swoich bliskich. Śmieją się też, gdy Maryla, Benek i Zenek odkrywają, że przez niedbalstwo stracili grób rodziców.

Nie wiem, co to jest za śmiech. Drwiny? Uciezki przed wzięciem do siebie? Ulgi? Ale choć nie wiem, to niepokoi mnie, że wieloletnie celebrowanie własnej słabości i porażki doprowadziło do sytuacji, w której ich umiłowanie grozi łatwym usprawiedliwieniem. No i brakiem moralnego niepokoju.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

KINO MORALNEGO NIEPOKOJU – reż. Michał Borczuch, Nowy Teatr w Warszawie, premiera 25 kwietnia 2019 r.



Już w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego” pierwszy dodatek poświęcony Festiwalowi Conrada, a w nim idea oraz program tegorocznej edycji. Przekonajcie się jaką opowieść przygotowaliśmy tym razem i co wydarzy się w październiku podczas największego święta literatury w Polsce.



Festiwal Conrada jest laureatem EFFE 2019-2020 – znaku jakości Europejskiego Stowarzyszenia Festiwalu (EFA) dla wybitnych festiwalu artystycznych.





TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

Protest przeciwko cenzurze w Muzeum Narodowym i usunięciu prac Natalii LL i Katarzyny Kozyry, Warszawa, 29 kwietnia 2019 r.

Stan przedzawałowy

PIOTR KOSIEWSKI

Lista zarzutów wobec dyrektora warszawskiego Muzeum Narodowego Jerzego Miziołka wydłuża się: chybione decyzje wystawiennicze, fatalna polityka personalna, działania cenzorskie.

WMAJU UBIEGŁEGO ROKU AGNIESZKA Morawińska, kierująca Muzeum od 2010 r., złożyła rezygnację. Decyzję tłumaczyła pogarszającą się sytuacją finansową Muzeum, lekceważeniem przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego problemów lokalowych, w tym sal wystawienniczych i odpowiednich przestrzeni magazynowych. Dlatego też, podkreślała, „w poczuciu troski o dobro Muzeum postanowiłam przyspieszyć swoje odejście”. Jej decyzja została odebrana jako protest przeciwko polityce Piotra Gliškiego.

Muzeum na nowo

Po odejściu Morawińskiej funkcję dyrektora pełnił Piotr Rypson, wcześniej wicedyrektor Muzeum ds. naukowych i współtwórca jego największych sukcesów. Do listopada 2018 r., kiedy to Piotr Gliški powołał na to stanowisko Jerzego Miziołka, profesora na Uniwersytecie Warszaw-

skim, autora prac dotyczących recepcji antyku w czasach nowożytnych. Został mianowany bez konkursu, chociaż właśnie konkursów minister domagał się w przypadku m.in. Dariusza Stoli, którego nie powołał na drugą kadencję w Muzeum Polin, oraz Moniki Szewczyk, kierującej z sukcesem białostocką Galerią Arsenał.

W przypadku Jerzego Miziołka wystarczyły konsultacje. Wybór profesora wsparła muzealna Solidarność. Pozytywną ocenę wystawiło Stowarzyszenie Muzealników Polskich. Negatywną – Stowarzyszenie Historyków Sztuki i Polski Komitet Narodowy ICOM. Ta ostatnia organizacja zwracała uwagę na niewielkie doświadczenie kandydata, który nigdy nie zarządzał „samodzielną jednostką posiadającą osobowość prawną, ani nie pracował w muzeum o podobnym stopniu złożoności problemów inwestycyjnych, remontowych i proveniencyjnych, z jakimi zmaga się Muzeum Narodowe w Warszawie”.

Miziołek od 2010 r. kierował Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego, jednak to instytucja z niewielkim budżetem, zatrudniająca zaledwie osiem osób. Trudno ją porównywać z muzeum z kilkoma oddziałami, z ok. 450 pracownikami etatowymi, z ogromnymi zbiorami (ok. 830 tys. dzieł) i wielomilionowym budżetem.

Nie jest nowym zwyczajem powoływanie na stanowiska dyrektorów osób z niewielkim (lub żadnym) doświadczeniem muzealnym. Niektórzy z nich – jak Robert Kostro, Paweł Machcewicz, Jan Ołdakowski czy Dariusz Stola – dziś są bardzo kompetentnymi muzealnikami. W polskim muzealnictwie mamy bowiem do czynienia z poważną luką pokoleniową i niewiele jest osób, które mają doświadczenie nie tylko kuratorskie, ale także w zarządzaniu. Stąd nominacje osób spoza środowiska, do tego młodych, są też inwestycją w przyszłość. Być może oni szybciej dostosują program instytucji do współczesności i dotrą do nowych odbiorców. Tym kierowano się np. powołując w 2015 r. 45-letniego wówczas Aleksa Farquharsona na nowego dyrektora Tate Britain, najważniejszego muzeum sztuki brytyjskiej w Zjednoczonym Królestwie.

Miziołek w chwili nominacji nie był autorem ani jednej ważnej wystawy, nie miał realnych doświadczeń menadżerskich ani kontaktów w międzynarodowym świecie muzealnym. Nie posiada zatem tego, czego należałoby oczekiwać od osoby w tym wieku (w chwili nominacji 65 lat). Co nie musiało oznaczać, że będzie nieodpowiednim dyrektorem. Został szefem instytucji, która przeszła gruntowną modernizację. Cenionej, o międzynarodowym prestiżu. Z profesjonalnym zespołem. Można było też sądzić, że wraz z jego nominacją zmieni się polityka ministerstwa wobec warszawskiego Muzeum.

Stało się inaczej. Miziołek szybko pozbył się osób, które zarządzały dotąd Muzeum. Dyrektor ma prawo dobierać sobie najbliższych współpracowników. Jednak jego wybory są dość zaskakujące: trener sportowy, dwóch byłych policjantów, blogerka modowa (która sama szybko odešla). Jedyną osobą w gronie jego współpracowników posiadającą duże doświadczenie to Joanna Kilian-Michieletti, historyczka sztuki, kustosz od lat związana z Muzeum Narodowym.

Zaskoczeniem było zwolnienie z pracy Piotra Rypsona, bez podania przyczyn i ze złamaniem kodeksu pracy (sprawa

jest w sądzie). To był dopiero początek. Za rządów nowego dyrektora odeszło już 48 osób, w tym niemal cały Dział Komunikacji i Programów Publicznych. Media piszą o atmosferze strachu i bałaganie organizacyjnym, a zakładowa Solidarność, początkowo popierająca nowego dyrektora (obiecywał podwyżki 20-30 proc.), od 9 maja jest w sporze zbiorowym z władzami Muzeum. Andrzej Rybicki, przewodniczący Rady Krajowej Sekcji Muzeów i Instytucji Ochrony Zabytków NSZZ „Solidarność”, w liście do Ministerstwa podkreśla: „Stwierdzenie publiczne »Postawie wokół muzeum wieże strażnicze...« właściwie dyskwalifikuje go [Miziołka – PK] jako osobę zarządzającą jakimkolwiek zespołem ludzkim”. List do Głińskiego skierowała też Rada Kuratorów MNW.

Wszędzie widzę wystawy...

Jerzy Miziołek od razu zaczął rewidować program wystaw czasowych. W planach jego poprzedników były m.in. retrospektywy Bronisława Linkego, Tadeusza Makowskiego i Stanisława Szukalskiego, wystawa o związkach między antykiem i sztuką nowożytną, gruzińska i polska awangarda. Czy zostaną one zrealizowane – nie wiadomo. Już została odwołana zaplanowana na ten rok wystawa „Kolor” (Jerzy Miziołek uznał ją za zbyt mało naukową). Otwarto natomiast planowaną od dawna wystawę „Sztuka to wartość. Z kolekcji PKO Banku Polskiego” (który od lat sponsoruje Muzeum). Dojdą do skutku prezentacje sztuki koreańskiej oraz Ignacego Łopieńskiego.

Równolegle nowa dyrekcja zaczęła realizować własne plany wystawiennicze, a przynajmniej wiele o nich opowiadać. Już w grudniu miała się odbyć wystawa „Boże Narodzenie w sztuce”. Na przełomie lutego i marca zapowiadano powstanie „Panteonu wielkich artystów”, w którym wśród portretów artystów miałyby być eksponowane dzieła wypożyczone m.in. z mediolańskiej Brery, madryckiego Prado czy z Uffizi. Oba pomysły pozostały na papierze.

Wielkanocna wystawa „Światło Przemienienia i Zmartwychwstania Pańskiego” okazała się dwutygodniową prezentacją zaledwie kilku dzieł. Natomiast szumnie zapowiadana ekspozycja „Leonardo da Vinci: geniusz Renesansu i jego legenda” sprowadzono do pokazu 17 reprodukcji dzieł artysty. Jak tłumaczył

dyrektor: wystawa ta jest formą dialogu współczesnego świata z Leonardem. Ostatecznie jedynym istotnym nowym wydarzeniem jest trwająca właśnie prezentacja kolekcji rzeźb Augusta Zamoyskiego zakupionej do zbiorów Muzeum, połączona z pokazem konserwatorskim.

Pokaz reprodukcji Leonarda wywołał falę ostrych komentarzy. Jednak największe oburzenie wywołało usunięcie przez Jerzego Miziołka z ekspozycji stałej sztuki XX i XXI wieku „Sztuki konsumpcyjnej” Natalii LL oraz „Pojawienia się Lou Salomé” Katarzyny Kozyry. Uznano to za wprowadzanie cenzury, i to dotyczącej dzieł należących do klasyki polskiej sztuki. Pod listem protestacyjnym podpisali się czołowi artyści, kuratorzy i krytycy z Polski oraz zagranicą. Muzeum zaczęło kojarzyć z obskurantyzmem.

Dyrektor tłumaczył, że dzieła usunął po interwencji Ministerstwa Kultury. Ono jednak natychmiast zaprzeczyło. Zasadnie też przypominało, że „za całokształt działalności instytucji kultury odpowiedzialność ponosi jej dyrektor. (...) Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego nie kieruje bezpośrednio pracami i nie steruje polityką wystawienniczą ani repertuarową instytucji kultury”. Po wydaniu tego oświadczenia Miziołek ogłosił, że został źle zrozumiany. Sam podjął tę decyzję, bo – jak tłumaczył Onetowi – jest przeciwny „eksponowaniu dzieł, które mogą irytować wrażliwą młodzież”. A w innym wywiadzie ogłosił, że powodem usunięcia obu prac były... problemy z klimatyzacją.

Nowa dyrekcja postanowiła zlikwidować całą Galerię Sztuki XX i XXI wieku, która była jedyną tak obszerną dostępną w stolicy prezentacją twórczości tego czasu, do tego przemyślaną i przygotowaną dużym wysiłkiem, także finansowym. Miziołek uznał jednak, że trzeba ją natychmiast zmienić. Na początku maja br. galeria została zamknięta. Ogłoszono, że szybko powstanie nowa, tworzona we współpracy z Andrzejem Starmachem, znanym krakowskim galernikiem. Ten jednak natychmiast w sposób niezwykle spektakularny temu zaprzeczył: wykupił wręcz całostronicowe ogłoszenie w „Gazecie Wyborczej”.

Muzeum przeogromne

Narzuca się dość oczywiste pytanie: jakie według Jerzego Miziołka ma być Muzeum Narodowe? Wiele wyjaśnia „Koncepcja rozwoju i działalności MNW w ciągu naj-

bliższych czterech lat”, którą przedstawił Ministerstwu Kultury 10 października 2018 r. Plany te są bardzo ambitne, wręcz imperialne, poczynając od przejęcia w ciągu najbliższych miesięcy części gmachu zajmowanego przez Muzeum Wojska Polskiego (wiadomo, że budowa jego nowej siedziby jeszcze trochę potrwa), przez wzniesienie na dziedzińcu przed głównym wejściem „odpowiednika szklanej piramidy Luwru”, po przejęcie przylegającego do tego całego kompleksu parku wraz z XVIII-wiecznym Elizeum.

Na tym nie kończą się ambicje. Miziołek proponuje budowę obok Muzeum Łuku triumfalnego „na cześć zwycięstwa w 1920 roku”. Bowiem, jak pisze: „Doktor Jarosław Kaczyński w jednym z ostatnich wystąpień mówił o konieczności odważnego sięgania po wielkość i przytoczył słowa Władysława Broniewskiego, poety-legionisty: »To za mało! Za mało! Za mało! (...) Piersiom żywych daj oddech zapału / wiew szeroki i skrzydła ramion!«” (dyrektor przywołuje w tym dokumencie także twórczość Mateusza Morawieckiego oraz Piotra Głińskiego).

Kluczowy jest jednak proponowany przez niego program wystawienniczy i badawczy. W ostatniej dekadzie udało się znacząco zwiększyć frekwencję w Muzeum Narodowym: z 297 tys. w 2012 r. do 730 tys. w 2015 (ale w kolejnym było 690 tys.). Miziołek zapowiada podwojenie liczby zwiedzających. Muzeum na pewno potrzebuje zmian, bo coraz bardziej zmieniają się gusty i zainteresowania publiczności. Niestety dyrektor zaproponował rozwiązanie mocno wątpliwe: mnożenie wystaw, pokazów, prezentacji.

Jest też przekonany o konieczności obchodzenia rocznic. Po pokazie Leonarda jesienią miałyby zostać zorganizowane wystawy rocznicowe Petera Bruegla st. i Rembrandta (wspólna!), wiosną roku następnego Rafaela, jesienią 2021 r. Dantego. Pomijając mało realistyczne pomysły wypożyczenia dzieł tych wszystkich artystów, warto zapytać się: po co?

W tych planach uderza coś jeszcze: ważne wystawy przygotowuje się z dwu-trzyletnim wyprzedzeniem, bowiem dobre przygotowanie wymaga czasu i środków. W takim rytmie pracują poważne muzea. Jerzy Miziołek całkowicie to ignoruje i kończy na reprodukcjach.

Co więcej, dyrektor podkreśla, że wystawy w Muzeum od tej pory mają mieć charakter naukowy. A jednocześnie ➔

→ organizuje wystawę „Arkadia. Mit-legenda-wizja sielskiego bytowania” m.in. w Centrum Handlowym Arkadia! Jak to pogodzić z *dignitas* instytucji, o której Miziołek tak lubi rozprawić? Jednak przede wszystkim pomysły te wiele mówią o jego stosunku do odbiorcy. Widać uważa, że Polki i Polacy nie potrafią odróżnić poważnej wystawy od jej podróbki i koniecznie trzeba sięgać po kuglarskie sztuczki, by ściągnąć widzów do muzeum.

„Wszystkim krytykom przypominać, jestem dyrektorem, miałem prawo tak postąpić, mam swoją własną wizję dynamiki” – mówił w wywiadzie dla radiowej Dwójki poświęconym „awanturze o banany”. W kolejnych rozmowach często podkreśla swoją wszechwładzę, chyba nie rozumiejąc, że nie na tym polega współczesne zarządzanie instytucjami.

Istotne dzisiaj są: ciągłość (tymczasem Miziołek z lubością podważa osiągnięcia swych poprzedników), stabilność i umiejętność współpracy. Jak przypominała przed kilkoma dniami polska sekcja Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki AICA: „Muzeum Narodowe w Warszawie jest nie tylko opiekunem dóbr kultury, ale też instytucją społecznego zaufania. Od zarządzających tego rodzaju instytucją oczekuje się spójnej wizji programowej, realizowanej zgodnie z muzealnymi, naukowymi i innymi etycznymi standardami”.

Jednak, co najbardziej zdumiewające, na planach przedstawionych przez Jerzego Miziołka znalazł się podpis Piotra Glišńskiego oraz adnotacja: „Akceptuję”. To oznacza, że wszystkie te pomysły zostały zaakceptowane przez Ministerstwo Kultury. Czy nikt nie zauważył, że są one nie tylko nie-realistyczne, ale świadczą o łamaniu podstawowych muzealnych zasad i standardów?

Dlatego też odpowiedzialność za dalsze losy Muzeum Narodowego ponosi przede wszystkim Ministerstwo. I, co gorsza, zaczyna się realizować najgorszy scenariusz: MNW zaczyna dzielić los Teatru Polskiego we Wrocławiu oraz innych instytucji kultury, obsadzonych już za tej władzy, które doprowadzono do stanu upadku.

© PIOTR KOSIEWSKI

Filozofia niemego dialogu

ANITA PIOTROWSKA

Bez anielskich chórów, natchnionych twarzy, poślaczanego splendoru, za to w błocie, pocie, ogniu i krwi rozgrywa się najnowszy film Bartosza Konopki, mierzący się z istotą chrześcijaństwa i religii w ogóle.

OSADZONA W NAJGŁĘBSZYCH MROKACH średniowiecza, na zamieszkałej przez ostatnich pogan bałtyckiej wyspie, „Krew Boga” konfrontuje nie tyle misjonarzy i tubylców, co różne przejawy religijności i modele jej krzewienia. Ten odgórny i ten oddolny, instytucjonalny i metafizyczny, manipulatorski i otwarty. Ktoś powie, że to wszystko gdzieś już było – i będzie miał rację, choć trzeba przyznać, że w polskim kinie prócz kilku filozofujących podróży międzykulturowych („Na srebrnym globie” Andrzeja Żuławskiego, „Głos” Janusza Kondratiuka czy „Walser” Zbigniewa Libery) nie mieliśmy dotychczas takich filmów. Tym bardziej sukces „Krwi Boga” zdaje się połowiczny, okupiony odbiorczym zmęczeniem, a chwilami nawet pytaniem, czy cała ta pionierskość, produkcyjny wysiłek i wysokie C artystycznie się opłaciły.

Przez puste plaże, strzeliste katedry dziewiczego lasu, przez wilgotne szczyliny skał przedziera się w filmie Konopki dwóch rycerzy krzyża. Starszy z nich o imieniu Willibrord (w tej roli Andrzej Pieczyński) ocalał z katastrofy morskiej dzięki pomocy młodszego, nazywanego Bezimiennym (Karol Bernacki). W pewnym momencie, na znak protestu przeciwko inwazyjnemu nawracaniu uprawianemu przez towarzysza, drugi z bohaterów własnoręcznie zaszywa sobie usta. Obaj stanowią bowiem awers i rewers niesionego innowiercom posłania. Po jednej

stronie mamy więc postawę konfrontacyjno-wyższościową wobec wyznających kult Peruna i mówiących „barbarzyńską” mową mieszkańców wyspy, po drugiej – miłosierdzie i pokorę. Pierwszy z bohaterów wyzywa na pojedynek lokalnego szamana, przemawia do miejscowych tonem *ex cathedra* i angażuje ich do budowy kościoła, podczas gdy „niemy” stawia na budowanie międzyludzkiej bliskości. Łatwo się domyślić, który spełni w tej rozgrywce rolę surowego funkcjonariusza, a który zbawczego proroka. I komu ostatecznie przypadnie moralne zwycięstwo.

Choć walka o rząd dusz opiera się w filmie na tym dwubiegunowym podziale, scenarzyści starają się zmiękczyć twarde głowe podejście Willibrorda, zaglądając głęboko w jego duszę. Każą mu przeżywać podczas misji religijne zwątpienia, zmagać się z poczuciem winy i rozdrapywać nigdy niezaleczone rany. Dopiero ostatnie sceny przyniosą odpowiedź, co tak naprawdę kierowało duchownym w jego prozelickim zapale: czy ratował członków plemienia przed dużo bardziej agresywną chrystianizacją, czy jedynie szantażował ich groźbą inwazji. Bo przecież język, choćby najbardziej wzniosły, może być zarówno intymną modlitwą, jak narzędziem przemocy. Dlatego prawdziwa religijność objawia się w filmie Konopki bez słów – poprzez filozofię niemego dialogu.

Podobny rodzaj pozawerbalnego kontaktu próbuje nawiązać twórca filmu ze swym widzem. Również topografia i chronografia ulegają w „Krwi Boga” celowemu zamazaniu – jesteśmy oto wszędzie i nigdzie, kiedyś i dziś, ażeby raz jeszcze, tym razem pośród mówiących po staroprusku rodzimowierców, wspólnie uczestniczyć w założycielskim rytuale, jakim jest Chrystusowa ofiara z przelanej krwi. Reżyser nie ukrywa zresztą w publicznych wypowiedziach, że film stanowi dla niego

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków goszczą
dziennikarze „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl





BARTOSZ MROZOWSKI / KINO ŚWIAT

Kadr z filmu „Krew Boga”

bardzo osobiste wyznanie wiary. Po krótkim dokumencie „Królik po berlińsku” czy debiucie fabularnym „Lęk wysokości” Konopka zdążył jeszcze nakręcić parodokumentalną „Sztukę znikania”, w której przybyły z Haiti szaman poszukiwał *sacrum* w zbiorowych obrzędach późnego PRL-u. Ta fascynacja religijnym wyznaniem w najnowszym filmie zawiodła twórcę aż do samych źródeł, zmąconych jednak gorzkim przesłaniem: wszak religia, która opiera się na władzy, podobnie jak władza oparta na religii, łatwo zamienia się w piekło wybrukowane dobrymi chęciami. Dlatego przepełniony pychą i cierpieniem, wojujący słowem i mieczem biskup w rycerskiej zbroi musi znaleźć swoje odwrócone odbicie w postaci Bezimiennego. Sam zaś film staje się traktatem o religii definiującej siebie przede wszystkim jako bunt wobec władzy – ojcowskiej, boskiej, kościelnej. W dodatku z silnie zarysowanym wątkiem kobiecym.

Pomimo wywrotowego ładunku, „Krew Boga” to film pozostający w ciągłym rozroku, buntowniczy i zachowawczy jednocześnie. Chwilami jakby zapadający się w siebie, nazbyt w siebie zapatrzoną i zaśluchaną, a do tego rozdartą pomiędzy medytacją, teatrem antropologicznym i brudnym widowiskiem. Znajdziemy w nim echa „modlitewnego” kina Terrence’a Malicka, niedysiejszych wypraw do jądra ciemności odbywanych przez Wenera Herzoga, a także „Valhalla: Mrocznego wojownika” Nicolasa Windinga Refna czy wypełnionego misjonarskim

obrazem „Milczenia” Martina Scorsese. Choć tytuł polski celowo redukuje swój świat przedstawiony do parabolicznej umowności, jednocześnie przytłacza formalnym naddatkiem: przesterowanym dźwiękiem, zgniłym kolorem, przepalonym kadrem i rozedrganą, zniekształcającą rzeczywistość kamerą (zdjęcia Jacka Podgórskiego zostały nagrodzone na festiwalu w Gdyni).

W tym napięciu między redukcją i nadmiarem jest z pewnością jakaś metoda. Konopka robi bowiem wszystko, byśmy nie poczuli się nazbyt bezpiecznie i komfortowo. Kiedy zawiesza spojrzenie na tajemniczych przedchrześcijańskich rytuałach, kiedy pohukuje „diabelskimi” dźwiękami waltorni i przeczołguje swoich bohaterów przez obce ziemie, pragnie wzbudzić w widzu poczucie permanentnej niewygody. Bo czyż nie tym właśnie powinna być prawdziwa wiara? Jednakże wizualno-dźwiękowa intensywność tego filmu, której czasem bliżej do galerii sztuki współczesnej niż do sali kinowej, raz po raz odkleja się od fabuły i staje się wartością samą w sobie, bardziej przedmiotem estetycznej kontemplacji niż emocjonalnego przeżywania. Dlatego widz nie ma szans odlecieć w wirtualne średniowiecze czy w religijne misterium. Pozostaje całkowicie na zewnątrz, wraz ze swoją wiarą czy niewiarą, nie tylko w znaczeniu religijnym. ©

KREW BOGA – reż. Bartosz Konopka. Prod. Polska/Belgia 2018. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 14 czerwca.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [15 – 21 VI]

1. Western



Dramat, reż. Valeska Grisebach, Niemcy/Austria/Bulgaria 2017, Ale kino+, 18 VI, 13.45

Na bułgarsko-greckim pograniczu niemieccy robotnicy budują elektrownię. Pomiędzy miejscowymi a przybyszami z Zachodu rodzi się napięcie, które buduje gorzki obraz współczesnej Europy, panujących w niej podziałów i wzajemnej nieufności. Przed dwoma laty film był zwycięzcą festiwalu Nowe Horyzonty.

2. Druga połowa kadru



Dokumentalny, reż. Amy Adron, USA 2018, Canal+ Dokument, 18 VI, 10.50, Canal+ Film, 18 VI, 11.05

Dlaczego w dzisiejszym przemyśle filmowym pracuje tak niewiele kobiet reżyselek? Na którym etapie kariery zaczynają być niewidoczne? O swoich doświadczeniach opowiadają przed kamerą uznane dziś amerykańskie twórczynie średniego i młodszego pokolenia, jak Miranda July, Ava DuVernay czy Lena Dunham.

3. Vice



Biograficzny, reż. Adam McKay, USA 2018, CHILI Przed zwierciadłem politycznej satyry twórca „Big Short”

sadza byłego wiceprezenta Dicka Cheney’a, a także George’a W. Busha i Donalda Rumsfelda. Popisowe role tworzą tu Christian Bale, Sam Rockwell i Steve Carell, choć najjaśniej z nich błyszczy Amy Adams jako pociągająca za sznurki żona tytułowego bohatera.

4. Arktyka



Dramat, reż. Joe Penna, Islandia 2018, Cineman VOD

Przed nami charyzmatyczny Mads Mikkelsen i szkoła przetrwania w arktycznej pustce. Duński aktor wcielił się w postać pasażera ocalałego z katastrofy lotniczej, który podejmuje morderczą walkę o każdy dzień życia w ekstremalnych warunkach. Największym wyzwaniem okaże się test na człowieczeństwo.

JAN

Klata: Utrwalanie



ZNOWU, ZNOWU, ZNOWU, DZIEŃ ŚWISTAKA, „*deja vu all over again*”, jak powiedziała by Dżoana Krupa. Albo „*Repetitio instrumentum propagandae*” – jak niebawem niechybnie powie filozof Legutko w Brukseli. Marek F. został schwytany, schwytany nie od razu, nie od razu Marka F. schwytano, w Hiszpanii podobnie, fakt pochwylenia Marka F. rozsiedział Marka F., czego Marek F. nie ukrywa, więc mówi głośno i wyraźnie, że ma nagrania. Taśmy prawdy, reaktywacja. Niespodzianka? Niezbyt, niezbyt, mimo wysiłków obozu rządzącego wychodziły na jaw coraz bardziej ewidentne powiązania Marka F. z Prawem i Sprawiedliwością. Marek F., jego szwagier i dwaj kelnerzy (świetna nazwa kapeli biesiadnej) spełnili zadanie, a następnie się rozczarowali do nowej władzy, której przecież utorowali drogę. Obiecali im „korzyści i łupy”, a wyszło jak zwykle, czyli do... niczego. A zatem Marek F. udał się w drogę wręcz przeciwną, zapewne chciał dotrzeć na Węgry, ale GPS mu źle podpowiedział... dojechał do oceanu, i go Interpol schwycił.

Co teraz? Teraz wypłynął list, w butelce. „W hiszpańskim więzieniu gnije człowiek, który wierzył w sprawę pt. Polska uczciwa i sprawiedliwa” – cytuję poruszającą epistolę szefa „szajki kelnerów plus szwagier”. Wołanie o pomoc zaadresowane do prezydenta Dudy, oczywiście. Jak trwoga, to do Dudy. Prezydent Duda w liście dostaje ostatnią szansę. Inaczej będzie jesień śreniowiecza, gdy Marek F. „wszystko ujawni”, zwłaszcza kto za nim stał – ma to na nagraniach. Aha, list jest z kwietnia, ale władze się nim nie chwaliły. Na szczytach panowała cisza przez dwa miesiące. Ani mru-mru. Fallada pisał, że każdy umiera w samotności, F. się nie zgadza: „Nie zamierzam umierać w samotności. Ujawnię zleceńodawców i wszystkie szczegóły”. Postanowił umrzeć w doborowym towarzystwie?

Nie dajmy się zwieść pozorom: pasja nagrywania jest niezależna od społecznego środowiska, prezentuje się niesłuchanie demokratycznie. Nie tylko ze słuchu, ale z doświadczenia powiem, że nagrywają związkowcy – bezskutecznie, ale jednak pasjami. Powszechnie znany jest fakt, że w światku teatralnym obraca się para reżyserów płci obojga, która nagrywa rozmowy, aby następnie wykorzystywać je w (przegranych) procesach sądowych, które namiętnie wytaczają na prawo i lewo. Poczucie bezpieczeństwa, panowania nad sytuacją, kontroli nad swoim wycinkiem rzeczywistości, euforia – oto, co znaczy dyktafon w kieszeni bądź torebce. Ludzie czują się swojsko, wciskając REC. Mam ręce w kieszeniach, a kieszenie jak ocean – jak śpiewał niedoszły klasyk na z trudem zachowanych nagraniach. Czy w oceanie Marka F. płotki, czy walenie, pokaże czas. O ile nie będzie ułaskawienia. ©

Lektor: Bóg, który nas przespał



■ Hans Magnus Enzensberger
SPOTKANIE INNEGO RODZAJU. WIERSZY
Wybór i tłumaczenie Ryszard Krynicki.
Wydawnictwo a5, Kraków 2019,
Biblioteka Poetycka tom 79.

„WAŻY ZALEDWIE CZTERDZIEŚCI gramów. / Miesiącami żyje w powietrzu, nieprzerwanie, / poluje, kocha i śpi wysoko w górze”. Poruszająca chwila, kiedy odkrywasz, że znakomity poeta poświęcił wiersz jerzykowi, twojemu ulubionemu ptakowi, na którego powrót czekasz niecierpliwie każdego maja. I którego podziwiasz, choć wiesz, że „nasz podziw nic go nie obchodzi”.

Hans Magnus Enzensberger, który niedługo skończy 90 lat, jest seniozem literatury niemieckiej i być może najważniejszym z żyjących jej twórców. Wszechstronnym i zmiennym, zarówno jeśli chodzi o uprawiane gatunki, jak i przestrzenie tematyczne. Wędrującym między zaangażowaniem w społeczną i polityczną rzeczywistość, między refleksją historyczną

(cykl poetyckich portretów „Mauzoleum. 37 ballad o historii postępu”) a fascynacją pozaczasową naturą, obojętną jak jerzyk z cytowanego wiersza. Burzącym mur pomiędzy poezją a nauką (znamy jego autoantologię „Eliksiry nauki”, przełożoną przez Sławomira Leśniaka). Zaskakującym w każdej fazie swojej twórczości, którą otworzył buntowniczy tom „Obrona wilków” (1957).

Wiersze Enzensbergera tłumaczyli na polski m.in. Grzegorz Prokop oraz Jacek St. Buras i Andrzej Kopacki (dwujęzyczne „Utwory wybrane, 2001). Teraz otrzymujemy Enzensbergera zobaczonego przez Ryszarda Krynickiego; trudno nie myśleć o pewnych analogiach pomiędzy drogami obu poetów. Niewiele tu powtórzeń z tomem Burasa i Kopackiego, no i są utwory z trzech ostatnich zbiorów, których nie mogli oni

uwzględnić. Jest Enzensberger „polityczny” (portret Władysława Mołotowa, przełożony kiedyś dla podziemnego „Zapisu”, czy piękny wiersz o Budapeszcie „Zwiedzanie miasta”), wyraźniej wybijają się jednak refleksja nad daremnością naszych prób zapisania swojego znaku na planecie. Wybrane przez Krynickiego na okładkę zdjęcie – mgławica Motyl w obiektywie teleskopu Hubble’a – kieruje nas w stronę wątku kosmicznego piękna, obojętnego, jak natura, wobec naszych emocji. „W końcu nie jesteśmy jedyni” – pisze Enzensberger w ironiczno-chłodnym wierszu „Teologia naukowa”, w którym Bóg (zapewne jeden z wielu) okazuje się zmęczonym, niezbyt uważnym konstruktorem. Być może obejrzy nasz wszechświat dopiero wtedy, gdy go już nie będzie; wcześniej „akurat był czymś innym zajęty, / ten Bóg. Przespał nas”. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Pojedynek kuchenny



PIĘDZIESIĄT SIEDEM. TYŁE WYNOŚI ŚREDNIA wieku członków brytyjskiej Partii Konserwatywnej – a całe 71 proc. z nich to mężczyźni. Ci właśnie starsi panowie zadecydują w najbliższych tygodniach o Waszym losie. Jak to możliwe, pytacie – toć Londyn

daleko, a w miastach przez Wisłę wstęgą opasanych ślini się po nocach ołówki, sumując, owszem, posłów, ale raczej tych, których PiS-owi zabraknie jesienią do większości konstytucyjnej. Chcieliście Zachód, no to go macie: szalenie to dla nas ważne, kto zostanie nowym brytyjskim premierem.

Wcale nie mówię, że da się przewidzieć, jak dalszy rozwój brexitowej kołomyi przełoży się na różne aspekty naszego funkcjonowania – a nie chodzi tylko o wskaźniki gospodarcze czy perturbacje ze zbytem profili dwuteowych walcowanych (z całym szacunkiem dla tychże), ale o trudniej mierzalne skutki dla nastrojów klasy politycznej w reszcie Europy. Która to klasa na razie nie korzysta z okazji, żeby wykazać się wymaganą w tej robocie mieszaną odwagą, wyobraźni i zimnej krwi. Przynajmniej ja dostrzegam na razie tylko typowy dla aparaczyków odruch pudrowania *status quo* nawet w chwili, kiedy ono przysło i dymi jak grafit na dachu reaktora we wspnianym serialu „Czarnobyl”. Podobne – przy wszystkich dziejowych różnicach – tępo wylęknione szare twarze, jak na tamtych odprawach politbiura. Dziś mandaryni dzielący stanowiska w Unii mają tylko lepsze garnitury i nikt już nie ośmiela się zapalić (przepyszne są te kryształowe popielniczki w serialu, esencja socwnętrza, wielkie brawa dla scenografa).

Rzadko kiedy w warunkach pokoju i spokoju widać tak dobrze jak dziś, do jakiego stopnia w każdym zakątku rzeczywistości czyha zasada niezamierzonych konsekwencji. Nie przywiązywać się do planów, nie czekać na „lepszy moment”, nie rozglądać się dookoła za innym (domyślnie: lepszym) życiem. Gdyby na fali obecnego wzmożenia władza chciała powołać Narodowy Instytut Coachingu, sugerowałbym wdrożenie treningu na rzecz niepewności jutra. Przydaje się w sferze publicznej, tak jak przydaje się w codzienności, na parterze życia, czego nieustannym dowodem jest choćby to, że uchodzę za człowieka umiejącego gotować.

Mnie samego to nieraz dziwi. Nie kończyłem kursów, owszem: tyrałem w paru kuchniach i innych, nieraz ekstremalnych miejscach, gdzie się karmi zbiorowo ludzi, ale bez systematycznego zapachu czeladnika, ciągnącego dzień po dniu „naukę”. Mam dość toporne paluchy, nie pytajcie, jak wyglądały ostatnie pierogi, które ulepiłem – było to jeszcze za rządów Tuska, ale

rodzina ma do tej pory kłopoty z przeponą nadszarpniętą wówczas od śmiechu. Z koordynacją ruchową też kiepsko, podśmiewam się z kursów nożowniczych *knife skills*, ale w duchu wiem, że to przez czarną zazdrość, też bym chciał umieć pokroić w pół minuty marchew w zapałkę z dokładnością co do mikrometra. Kubki smakowe? Przeciętne, może tylko taką mają zaletę, że dość wyczulone na niuanse w mdłych rejestrach, bo skoro mało solę i z umiarem pieprzę, to się język nie zdążył otępić.

A jednak bywam diabelsko skuteczny, bo wchodzę do kuchni i nie pytam wysokiej komisji w niebie lub telewizorze, czy mi na pewno wolno i jak sobie poradzę. Nie boję się, że coś nie wyjdzie albo pójdzie niezgodnie z planem lub zasadami. Jeszcze czuję w kościach euforię po zabawie, do jakiej zaprosiły naszą redakcję koleżanki z kwartalnika „Przekrój” (na zdjęciu część naszej reprezentacji wraz z Miładą Jędrzyk) – w zielonej enklawie domków na Jazdowie zrobili festiwal, którego atrakcją miał być warszawsko-krakowski pojedynek kuchenny.

Zasada była prosta: organizatorzy nakupowali mnóstwa produktów i przygotowali całkiem porządne stoły ze sprzętem, ale żaden z dwóch zespołów nie wiedział dokładnie, co zastanie. O podanej godzinie należało rozpoznać bojem spiżarnię i zdecydować z marszu, co będziemy robić. Cóż to była za euforia, puścić się na żywioł! A jeszcze ten moment, kiedy zaczął nawałać prąd i palniki indukcyjne zamarły... Podziwiam sprawność, z jaką szybko zażegnano ten kryzys, czapki z głów, drodzy przekrojowcy! Zanim jednak się udało, było to ekstatyczne doświadczenie – zmierzyć się z sytuacją, kiedy potencjalnie większość pierwotnego planu trzeba zawiesić na kołku. Zamiast czekać, aż prąd wróci i wszystko będzie „jak należy”, zajęliśmy się tym, co było wykonalne. Bo jeśli coś w ogóle w tej kwestii „należy”, to tylko przeżyć każdy dzień tak, żeby ludzie nie odeszli od nas głodni.

©P



MONIKA OCHĘDOWSKA

Współ z Moniką Ochędowską i Markiem Rabijem zaimprovizowaliśmy w niedzielę obiad złożony z warzywnego curry oraz frittaty z cukinią. Przepisem na świetne curry Marek – mam nadzieję – podzielił się na naszej facebookowej grupie Smaki, o sekretach dobrej frittaty już tu pisałem nieraz. Opowiem wam więc, jaką jeszcze z marszu Marek wymyślił sałatkę, którą w trakcie wykonania udoskonaliłem, łapiąc to, co było pod ręką. Porcje na średnią miskę dla 6 osób. Z 3 pęczków **botwinki** odcinamy łodygi i osobno liście (buraczki zostawiamy

na coś innego). Rozgrzewamy na patelni **czosnek** w 3 łyżkach **oliwy**, dodajemy posiekane drobno łodyżki plus łodygę **selera naciowego**. Podlewamy paroma łyżkami **wody**, dusimy kilka minut, dodajemy posiekane liście i **sól**, doprawiamy **tymiankiem**, dusimy krótko, żeby tylko nieco zwiędły. Przekładamy do dużej miski, studzimy. Doprawiamy skórką startą z 1 **cytryny** i wyciśniętym z niej sokiem. Dodajemy puszkę **cieciorki** i sporą garść **kiełków z buraka**. Mieszmamy, polewamy oliwą, doprawiamy ewentualnie **pieprzem** i jeszcze zakwaszamy wedle gustu. Na wydaniu każdemu kładziemy po kilka kostek **fety** (tzn. serka sałatkowego, który uzurpuje sobie tę nazwę, ale do sałatki wystarczy).



„TP” 22 / 2019

Homo sovieticus istnieje

Rafał Woś wzięł na celownik ks. Tischnera i użył przez niego zwrotu *homo sovieticus*. Autor nie stawia zarzutu ks. Tischnerowi, iż mylił się opisując kondycję mentalną ludzi, którzy przeszli kilka dekad indoktrynacji socjalistycznej. Nie wskazuje, które argumenty ks. Tischnera są niepoprawne. Zamiast tego stwierdza, iż „nie może darować Tischnerowi, że wolał występować w spotach KLD”, że użył „nieszczęsnego sformułowania”, że jego tekst „może rozczarować”, że ks. Tischner był „celebrytą”, że „TV stoi dla Tischnera otworem, a książka korzysta z zaproszenia”, aby w końcu stwierdzić: „wciąż nie potrafię zaakceptować tego, że to powiedział”. Chciałbym wyjaśnić, że *homo sovieticus* nie jest epitetem wprowadzonym do obiegu publicznego

przez ks. Tischnera. Jest to określenie powstałe w latach 60. minionego stulecia. Posiada swoje precyzyjne znaczenie i jest powszechnie akceptowane w poważnych dyskusjach poważnych ludzi. Subiektywna wrażliwość Rafała Wośa nie odgrywa tu żadnej roli. Jeżeli z tego powodu będziemy wykluczali pojęcia z debaty, doprowadzimy po prostu do jej kastracji. Mam nieodparte wrażenie, że główny zarzut wobec ks. Tischnera nie został jednak przez autora wypowiedziany. A mianowicie: jak ks. Tischner mógł wyrażać inne poglądy niż lewicowe? Otóż mógł. Ks. Tischner był człowiekiem bardzo dobrze wykształconym. Posiadał szerokie horyzonty myślowe i był otwarty na nowe spojrzenia. Cechowała go niezależność poglądów i odwaga w ich wyrażaniu. Jako człowiek dojrzały zdążył poznać „raj realnego socjalizmu”. Był świadkiem dziejowych przemian, jakie w tym czasie się dokonywały. Widział spustoszenie, jakie tamten system czynił w mentalności swoich obywateli. Z chwilą likwidacji systemu socjalistycznego mentalność ludzi nie zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki. Do dziś widzimy tego skutki, nie tylko w Rosji czy na Ukrainie. Tego typu postawy nie zniknęły również w takich społeczeństwach jak Niemcy Wschodnie, Polska, Węgry czy też inne kraje byłego Bloku Wschodniego. Do tego potrzeba dużo cierpliwości i kilku pokoleń.

ZBIGNIEW MISIEWICZ

Łaskoczenie moje neurony

Zakochałem się w was, całkowicie i bezkrytycznie. Od kiedy sięgnąłem po pierwszy w moim życiu numer „TP”, zostałem zauroczony. Pochłaniam wszystko, każdą literę, i zachłannie rzucam się na kolejne. Muszę jednak wyznać, że jest to miłość późna, i to tylko z mojej winy. Chociaż „Tygodnik” przewija się w każdej książce, która traktuje o Polsce okresu PRL, pojawia się też w biografiach osób walczących o niezależną Polskę, to jednak ten przydomek – „katolicki” – mnie odstraszał. Dlaczego? Otóż niestety jest we mnie mało wiary, a dużo sceptycyzmu, szczególnie do sformalizowanej religijności. Ponadto kontakt z przedstawicielami Kościoła, jak również z prasą katolicką wzmacniał we mnie opór przeciw kategoryzowaniu: wierzy – jest dobry; nie wierzy – nie nasz i piekło dla niego.

Dopiero lektura rozmów z ks. Bonieckim i jego wrażliwość w widzeniu świata oraz ludzi przekonała mnie, że może jednak „TP” nie jest typowym, wojującym pismem katolickim. I stało się – przeczytałem was. Było to jak otwarte okno w zatłoczonym pociągu do Warszawy. Wciągnęło mnie całkowicie. Ta świeżość spojrzenia, brak napuszenia wszechwiedzących redaktorów i próba bycia obiektywnym – to jest zachwycające. Niezwykle jest, że w otaczającym nas świecie, gdzie każde pismo, stacja telewizyjna czy radiowa każą nam być za czymś albo przeciw czemuś, gdzie nie ma miejsca na docenienie przeciwnika, a każdy myślący inaczej jest wrogiem niepodległości, demokracji, wiary lub czegoś równie wielkiego, wy potraficie (albo przynajmniej próbujecie) wyważyć rację. Mam nadzieję, że to moje zakochanie, nawet jeśli kiedyś minie, zaowocuje trwałą więzią. Dziękuję wam za to, że tak przyjemnie łaskoczenie moje neurony w mózgu i poszerzacie wiedzę o świecie, kulturze i Polsce, która nie jest tak dwubarwna, jak by chcieli politycy.

PATRYK MALAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD – TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
Dyskutuj o ulubionych autorach
Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na powszech.net/bnd

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

TYGODNIK
POWSZECHNY

Book's
not dead

mnk
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

06/04/2019

08/09/2019

WAJDA

Wystawa w Muzeum Narodowym w Krakowie
Exhibition at the National Museum in Krakow

Gmach Główny, al. 3 Maja 1
Main Building



Współorganizatorzy
Co-organizers

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Kraków

Projekt współfinansowany ze środków
Project co-financed by



POLSKA INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
POLISH FILM INSTITUTE

Mecenas Wystawy
Patron of the Exhibition



Bank Polski

100
1919/2019

Mecenas Muzeum Narodowego
w Krakowie i Sponsor Wystawy
Patron of the National Museum in
Krakow & Sponsor of the Exhibition



Partner Strategiczny Muzeum
Narodowego w Krakowie
Strategic Partner of the National
Museum in Krakow



Partnerzy wystawy / Exhibition Partners

kbf   **ams**

Partnerzy medialni / Media Partners



Partnerzy filmowi
Film Partners





BIEBRZNIĘTY

Nad wejściem do izby wisi cios mamuta. Kiedy jest zimno, króla ogrzewa stos kozuchów i kilkanaście psów. Nie ma lodówki, pralki ani wanny.

Za piecem wisi ukaz Mikołaja I z 1826 r. Oryginał. Dzięki niemu tłuszcz z patelni nie przyska na ścianę.

TEKST KRZYSZTOF STORY | ZDJĘCIA WOJTEK DRZYŹDŹYK

DROGA POWSTAJE ZA RZĄDÓW PRAWNUKA TEGO CARA, KTÓREGO ukaz dzisiaj wisi za kuchnią. Mikołaj II Romanow potrzebuje sprawnego połączenia między carskimi twierdzami: Grodnem, Osowcem i Łomżą. Prace ruszają pod koniec XIX wieku. Kluczowy odcinek prowadzi doliną Biebrzy – od mostu na Narwi w Strękowej Górze do twierdzy Osowiec. Nowy trakt przetnie biebrzańskie bagna jedną, niemal prostą linią. Według anegdoty drogę zaplanowano za pomocą linijki przyłożonej przez cara do Grodna i Warszawy.

Carska linijka poprowadziła drogę równoległą do lewego brzegu Biebrzy przez bagna i piaszczyste wydmy. Budowa jest trudna i kosztowna. 15 kilometrów do Dobarza trzeba prowadzić po sztucznej grobli wśród bagien. Robotnicy wybierają torf, usypują żwir, maszynami parowymi kruszą kamienie. Budowa kończy się w 1907 r. Powstaje Carska Droga.

Gdy spojrzeć na nią z satelity, prawie nic nie widać. Ledwo widoczna żyłka ogromnej inwestycji tonie w biebrzańskej zieleni. Znika wśród ogromnej pościeli lasu. Dolina Biebrzy to jedna z najbardziej dzikich części Polski. Pół kilometra za Laskowcem wjeżdża się w las. Znaki drogowe ostrzegają o łośiach na drodze, potem znikają całkowicie. 10 kilometrów dalej od drogi odchodzi mała, drewniana kładka zawieszona nad bagnami. Prowadzi 400 metrów w głąb torfowiska. Można stąd obserwować setki gatunków zwierząt i roślin. Wieczorem i rano przychodzą łośie, przelatują żurawie i wodniczki. Są gronostaje, wilki i jelenoty.

Na Carskiej można się poczuć jak intruz. Asfaltowa żyła przecina las, na wprost, na wskroś. Godzina jazdy i ani jednego skrzyżowania. Nawet ostrego zakrętu. Tylko ten wąski korytarz wśród wysokich ścian lasu. Wygląda to jak organiczna, żywa biokatedra. Wydaje się, że nikt poza łośiami, jeleniami, dzikami nie powinien tu mieszkać. A on mieszka. Nazywa się Krzysztof Kawenczyński i, jak na złość, pochodzi z Warszawy.

Sztuka naiwna

Z Carskiej trzeba zjechać w las w stronę Biebrzy. Szutrowa droga prowadzi do opuszczonej wsi Budy. Dziś mieszka tu tylko jeden człowiek. Wychodzi przed chatę, uspokaja psy, uśmiecha się pogodnie. Czarny polar narzucił na białą koszulę, na szyi ma złoty medalik z 1913 r. Burza siwych, kręconych włosów sprawia, że wygląda jak połączenie Wodeckiego z Paderewskim. Zaprasza do chaty. Nad wejściem wystrugany z drewna uśmiechnięty Chrystus na krzyżu.

– Piękny, prawda? Uśmiechnięty Chrystus. Przez cierpienie do szczęścia. Taka sztuka naiwna – mówi Król Biebrzy. Wszyscy go tak nazywają. Ale Krzysztof Kawenczyński wcale nie urodził się królem. Ba, nawet z Biebrzą nie miał nic wspólnego. Urodził się na warszawskim Mokotowie. Ojciec był dziennikarzem, mama pracowała w przedszkolu. On sam od dziecka interesował się przyrodą. Całe godziny spędzał w sklepie zoologicznym, dużo czytał. Wszyscy wiedzieli, że Krzysiek lubi książki.

To nieprawda. Krzysztof książek nie lubi. On nimi oddycha. Dwa razy powtarzał klasę, bo zamiast chodzić na lekcje, przesiadywał w antykwariacie na Świętokrzyskiej, wśród zakurzonych tomów. Interesowały go te o przyrodzie i te stare. Przychodzili tam kolekcjonerzy, opowiadali o aukcjach. Ciągnął go ten świat. Pierwszy starodruk kupił na jarmarku w Gdańsku i wtedy świat połknął go na dobre. Za książkę potrafił zapłacić tyle, co za samochód: – Miałem olbrzymią kolekcję starodruków. Intuicję też miałem. Dobrze mi szło na aukcjach.

W swojej kolekcji miał wszystkie polskie Biblie. Handlował masą perłową. Lubił to życie, nie tylko ze względu na książki. Fascynowało go życie towarzyskie, hotele, przyjęcia. Kobiety także: – Poznałem ją na aukcji w Poznaniu. Była śliczna, lubiła książki, pracowała w antykwariacie w Gliwicach.

Została jego żoną, doczekali się syna. Po ślubie Krzysztof wraz ze współnikiem prowadził antykwariat Lamus, duży dom aukcyjny w Warszawie. Nie brakowało mu ani pieniędzy, ani szczęścia.

– Dolinę Biebrzy znałem z młodości, jeździłem tu obserwować ptaki. Na początku lat 90. przyjechaliśmy tu z żoną. W ciągu dwóch godzin kupiliśmy dom. Był drogi, musiałem sprzedać jeden starodruk. Ale to było tak rekreacyjnie, dalej mieszkaliśmy w Warszawie – opowiada.

→

→ Gospodarstwo sprzedawał starszy pan, mówili na niego Mocarski. W trójkę chodzili wokół chaty. Żona się targowała, żeby zaoszczędzić. On podbijał cenę, żeby się Mocarski nie rozmyślił. Już po cichu marzył, by przenieść się tu na stałe: – A potem? A potem zbankrutowałem. Wszystko wydawałem na książki.

Po sześciu latach małżeństwa żona miała tego dość. Jak sam mówi, wyrzuciła go z domu, chciała rozwodu: – Kazała mi wybierać: albo starodruki, albo rodzina. A ja wybrałem starodruki.

Dzień po rozwodzie spakował walizki i uciekł nad Biebrzę. Uciekł w miejsce przy Carskiej Drodze, w którym zakochał się 20 lat temu. Parę kilometrów za Długą Łuką, gdzie sam w młodości obserwował żurawie i wodniczki. Z czasem poznał dolinę jak nikt inny. Został jej Królem. Dzisiaj zaprasza na swój dwór kupiony od Mocarskiego za jedną książkę – Biblię Brzeską z 1563 r.

Ziemia i zwierzęta

O takich jak on mówi się tutaj, że są „biebrznięci”. Że zakochali się w tej krainie bez pamięci. Król oprowadza po swoim dworze. Od czasu, gdy przyjechał, nie zmieniło się prawie nic. Na Carskiej położono nowy asfalt, turystów w dolinie przybyło, ale tu wszystko wygląda jak 20 lat temu. Tylko ziemi ma więcej.

Pieniądzy ze sprzedaży Biblii Brzeskiej wystarczyło na 7 hektarów. Kawenczyński sprzedawał kolejne książki, dokupował ziemi – dziś ma jej prawie 3 razy więcej. Duże gospodarstwo, dwie chaty, obora. Wszędzie dziko rosną trawy, leżą stare drzewa. Król nie przeszkadza naturze. Ciągnika nie używa, wynajmuje ludzi, którzy ręcznie koszą łąki. Siano układają w wysokie stogi, jak dawniej, bez szkodenia przyrodzie.



Wolne są też zwierzęta. 5 koników, 11 krów polskich czerwonych. Stare, niepotrzebne innym. Oraz 26 psów. Przygarnięte, przytulone, najczęściej porzucone. Przy Carskiej ludzie często wyrzucają zwierzęta. Król zwozi je do siebie, opiekuje się: – U mnie mają dożywocie. Chyba że będą chciały iść gdzie indziej.

Pałac

Wchodzimy do pałacu. A pałac całkiem świadomie nie przypomina Wersalu, nie kapie złotem, nie szokuje zdobieniami. Pałac z premedytacją postanowił być drewnianą, chylącą się już chatą: – Nie potrzebuję wiele. Nie mam pralki ani lodówki. Nawet szafy, bo wszystkie zajmują eksponaty. Wystarczy.

Żyje skromnie. Gdy przychodzą mrozy, stawia na piecu garnki z wodą. W domu unosi się para i wydaje się, że jest cieplej. Jego tron stanowi posłanie z kozuchów. Śpi razem z psami, tak jest cieplej. Zamiast dworskiej porcelany ma kolekcję obdrapanych czajników z gwizdkiem. Zamiast królewskiej kuchni – stary żeliwny piec. To tu rządzi Król, stąd dyryguje powolnym rytmem biebrzańskiego życia.

Poddanych ma wiernych. Otaczają go zewsząd, wypełniają chatę po sam sufit, przytulają się po kątach. Trzeba patrzeć pod nogi, bo na podłodze ciężko o wolne miejsce. Można by je nazwać eksponatami, dla niego są bardziej jak towarzysze. Pamięta historię każdego z nich. Tych z drewna, tych ze szkła i tych z papieru. Te z drewna to na przykład największa kolek-





cja rzeźby ludowej na Podlasiu. Dzieła Dionizego Purty, Kazimierza Rafalki, Ryszarda Myśliwca. Ptaki-dziwaki, obrazy kolorowe, Chrystusy kanciaste i anioły pękate. Wszystko swojskie, pachnące, barwne. Sztuka naiwna, w swej naiwności genialna. Cała podłoga, półki i kredensy w tej naiwności i w tym geniuszu. Aż przejść ciężko.

Za Królem ciężko nadążyć. Co chwilę w oko wpada mu nowy przedmiot i nowa historia. W dwóch chatkach Kawenczyński stworzył prywatne muzeum. Jest tu wszystko. Jest kolekcja akordeonów i gramofonów. Są dziesiątki walizek, kryształowe karafki, rzeźby, obrazy i porcelana. Jest bomba – niewybuch z czasów pruskich. I nawet telewizor. Stoi w kącie, odłączony i zapomniany, upchnięty za dziesiątkami rzeźb Dionizego Purty. Nad wejściem do izby wisi cios mamuta.

Cisza

Pokazuje nieliczne stare książki, które jeszcze mu pozostały. Te najcenniejsze (liczone w setkach tysięcy złotych) sprzedał, resztę zostawił z sentymentu. Bierze je do rąk z czułością i opowiada jak o najlepszych przyjaciółch. Jest „Zawstydzenie nowych arianów” wydrukowane w Krakowie w 1608 r. Jest „Komentarz do Psalmów” Dionizego Kartusza z 1570 r. Oprawa piękna, z epoki. Deski obciążone skórą z częściowo zachowanymi okuciami i śladami klamer na skórzanych pasach. Jest też „Oda do Narwii” Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, światowej sławy poety z XVII wieku. Król czyta ją w łacińskim oryginale, ale polskie tłumaczenie brzmi tak:

*Licha wioska jej wystarcza,
Uperlone rosą kwiaty,
Róże, gwoździk, tulipany,
Lub Wilii brzeg majowy
Zefirami ugłaskany.*

Kawenczyński idzie dalej. Schyla się pod swoje łóżko, odgania wścibskie szczeniaki i wyciąga zalaminowany poślizg papier: – To jest odręczny podpis króla Zygmunta Augusta. Zobacz, jak ładnie pisał.

Biorę i czytam. „Sigismundus Augustus Rex”. Podpis rzeczywiście staranny. A Król już zdążył uciec, już dalej odwiedza poddanych. Odwiedza portrety carów, odwiedza medale księżnych i tomiki poezji zapomnianej.

– A nie smutno Królowi tutaj, tak samemu? – pytam.

– A czy ja jestem sam?

Ma rację. Choć przecież żyje skromnie, w spartańskich warunkach. Utrzymuje się głównie z unijnych dopłat do gospodarstwa. Jedzenie dla siebie i zwierząt bierze z hotelu w Dobrzcu. Zjada to, co tam by się zmarnowało. Mimo to nie opuszcza swojego dworu. Tylko raz w ciągu 20 lat wyjechał na dłużej, na wycieczkę do Walii. Powrotu do Warszawy sobie nie wyobraża.

– Ale czy nie brakuje innych ludzi, miasta, życia?

– Ludzie, miasto, życie to jest głównie hałas. A ja już się nauczyłem. I ze wszystkich dźwięków najbardziej lubię ciszę.

© KRZYSZTOF STORY

STANISŁAW

Mancewicz: Zacier



PIŁ? NIE PIŁ? PIĆ, NIE PIĆ? KAŻDY, KTO W POLSCE próbuje lekceważyć te pytania – i także pytania pochodne: z kim pił, a z kim nie – nie uczestniczy w podstawowych zmaganiach naszej codzienności, w sporach porannych i wieczornych, dylematach dnia robo-

czego i świątecznego, w miastach i wsiach, w okolicznościach przedmiejskich, nadmorskich i nadrzecznych, wędkarskich, działkowych, leśnych, pieszych i samochodowych, prawicowych i lewicowych. Oto taki ktoś, nieczuły, powinien poważnie zastanowić się nad emigracją. Nie tylko wewnętrzną.

Powinien wyjechać. Nie do żadnego Izraela, nie na Madagaskar, ale pofrunąć rychło na Merkurego. Istnieje cień nadziei, że naszego wychodźstwa tam nie ma, a zatem, że rozmów w tym guście także. Wszędzie, gdzie okrzepnięty nad Wisłą człowiek się znajdzie, postawi swą stopę, owe dylematy dotyczące metafizyki picia pojawiają się szybciej niżli cokolwiek. Jest to bowiem zestaw tematów najważniejszy, wwiercony głęboko, cienkim wiertłem w naszą tożsamość i w niej zagnieżdżony jako ten czip czy jajo. Tu i wszędzie, co minutę, rozmowa złożona z tych pytań i stwierdzeń, i tych odpowiedzi, jest przeprowadzana po wielokroć. Na każdej polskiej drodze, od bitej do wyasfaltowanej za zdradziecki europejski grosz, na porodówkach i oddziałach geriatrycznych, na placach budów, w kancelariach i w mezinach, w gabinetach dentystycznych oraz ministerialnych, od pokoleń. Napić się już czy jeszcze nie teraz? Napić się jutro czy wczoraj?

Tak. To nie pomyłka. I owo pytanie właśnie, brzmiące tak powabnie: Czy napić się wczoraj, i z kim – będzie dziś nam kanwą.

Dobłą. Mamy też nadzieję, że jest ona pretekstem, by napić się tu i teraz.

Żaden naród naszej umierającej planety, poczynsz od tych wielkich, wyposażonych w rozległą literaturę przedmiotu, po te ludy ledwie poznane, widziane przez minutę z drona, dla których zacier to zacier, których kultura picia oparta jest na przekazie oralnym – otóż żaden z nich nie stawia pytań w tym guście. Żaden. Ani te mające w swym dorobku technologicznym bombę atomową, ani owe mające dzidę, dla wszystkich kwestia czasu wypitej literatki jest pozbawiona zbędnych, a na pewno nadmiernych znaków. Coś było wczoraj, coś jest teraz, coś będzie jutro. Tyle. Metafizyka ponadczasowości smolenia wody nie istnieje. Jest wykluczona z systemu wartości, z oznaczania epok, przełomów, reform czy transformacji. Piliśmy, pijemy i pić będziemy – mówią po prostu i szczerze, a to ostrząc krzemień, bądź to naciśkając sobie wesoło guzik atomowe. Na zdrowie.

Czy Kaczyńscy pili z Kiszczakiem 30 lat temu? Nie pili. A właśnie że pili – tym żyje, nie tylko przez ostatni tydzień, trzydziestoparomilionowy naród. Żyje tym 30 lat. Co to znaczyło, jak się odcisnęło, jak się odciska i czym się odcisnie? – o tym się mówi i pisze. Każdy zadaje sobie przy okazji tzw. pytania osobiste. Czy bym wtedy pił? Z kim bym się napił? Czy aby na pewno nie z tym kimś? To łatwe, ale i trudne życiowo. Skoro było pite, szkoda było nie wypić. Ciekawe ile. Łyczek – dywagujemy – z grzeczności i obyczaju? Czy raczej była to bratająca seta? Na raz czy po pół stakanka? Było zimne, ciepłe? Pół litra? Na głowę czy na dwóch? Z popitką czy na żywcą? A może z colą? Z piwkiem? Wszystko ma znaczenie. Są to ciągi logiczne, musowo się włączające. A co wtedy robił umęczony naród? – zadamy pytanie łatwe, bo dramatyczne, a więc obowiązkowe. Ano, żył nadzieją, choć nie. Był w kajdanach. Wciąż jest. Wiadomo, to są pytania i kwestie podstawowe, bo nastrój i klimat w smoleniu wody jest bardzo ważny.

Że to było dawno? Bzdura. To było jak dziś. To się dzieje. Zegarki wariują, czasoprzestrzeń się zgina, grawitacja nie działa, genotyp się replikuje, zacier buzuje, gdy omawiane są czynności święte. Pili? Pili. Nie pili? Nie pili. Narodowy Instytut Badań nad Niepiciem Kaczyńskich z Kiszczakiem powstać musi. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





PREMIERA na 30-lecie nowej Polski!

Malarz hodujący kury, zakonница adoptująca niepełnosprawnego chłopca, blogerka kulinarna, chłopak zjeżdżający na nartach z K2, były więzień i była prezydentowa oraz matematyczka-kwakierka.

Poznajcie dowody na wolność – rozmowy, reportaże, spotkania, czyli najlepsze opowieści o nowej Polsce.



weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności” **JUŻ W SPRZEDAŻY** w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą. Więcej informacji powszech.net/smakwolnosci

WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY WYDANIA



29. Festiwal Kultury Żydowskiej Kraków

21.06-30.06.2019



JEWISHFESTIVAL.PL

29. Festiwal Kultury Żydowskiej odbywa się pod Patronatem Honorowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

29. FKŻ zrealizowano przy wsparciu finansowym:



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



The
Kronhill Pletka
Foundation



American Jewish
Joint Distribution
Committee



Goldman
Sachs
Gives



Media:



Współpraca: